

Amerykański
parasol nad Polską



Jak Kaczyński ograł
Schetynę i Petru

Cena flirtu
Polski z Białorusią

Płużański
o Baumanie



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 3/205 16-22 STYCZNIA 2017



SPOSÓB
NA SMOG



BOB DOLE DLA
„DO RZECZY”:
TRUMP
JAK REAGAN

CHCĄ Z NAS ZROBIĆ RASISTÓW

Lewica próbuje wywołać kolejną wojnę ideologiczną

NOWY PORTAL
dorzeczy.pl



NA KARTĘ

**GWARANCJA
SUPERPROSTEJ
OFERTY!**

GWARANCJA

25 ZŁ MIESIĘCZNIE ZA:

 Nielimitowane rozmowy
do wszystkich sieci

 Nielimitowane SMS-y
do wszystkich sieci

 10 GB Internetu

 Rok ważności konta

LIFE IS FOR SHARING.

Aby aktywować ofertę, wyślij bezpłatnego SMS-a START na numer 469. Oferta aktywowana raz po uzupełnieniu konta za minimum 25 zł odnawia się automatycznie co 30 dni. Rozmowy i SMS-y dotyczą wszystkich sieci krajowych. Szczegóły w Regulaminach Ofert Promocyjnych na www.t-mobile.pl





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Amerykański zamach stanu

Ruski agent w Białym Domu? Znak zapytania na końcu tego zdania stawiają tylko niektórzy. Rzeczywiście można mieć wrażenie, a ja właśnie je mam, że co najmniej od kilku tygodni trwa ostra kampania, która ma zakwestionować czy wręcz zdelegalizować wybór Donalda Trumpa na prezydenta USA. Pięć dni temu swój specjalny raport opublikowali szefowie agencji wywiadowczych. Najpierw spotkali się oni z prezydentem elektą, następnie zaś ogłosili dokument, w którym można przeczytać: „Z dużą pewnością oceniamy, że prezydent Rosji Władimir Putin zlecił przeprowadzenie kampanii mającej na celu pomoc Donaldowi Trumpowi w wyborach prezydenckich w 2016 r.”. Jak wynika z raportu służb, prezydent Rosji miał wynająć hakerów, którzy dostarczyli opinii publicznej informacje kompromitujące Hillary Clinton. Niemal w tym samym czasie Trumpa zaatakował obecny jeszcze wiceprezydent

USA Joe Biden, który nazwał go niedojrzałym i niedorosłym.

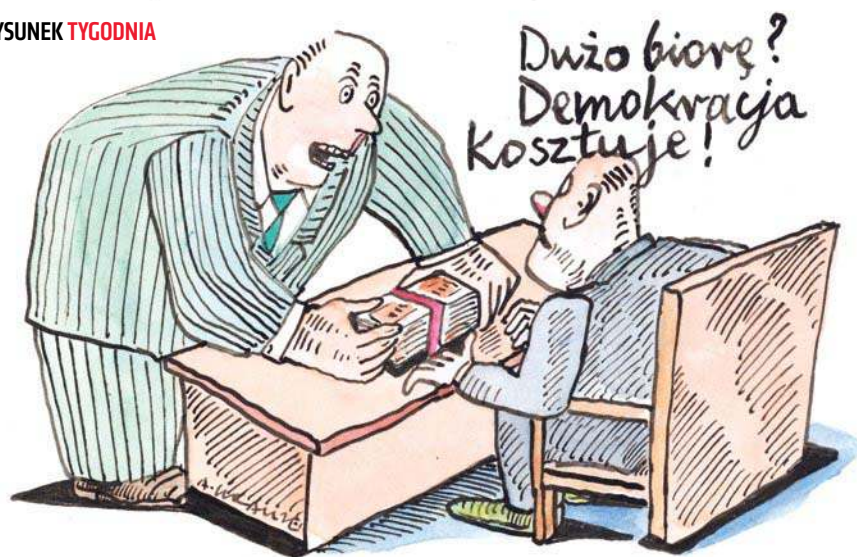
Ledwo uciszyła się afera z upublicznieniem raportu służb, w Internecie pojawił się nowy dokument. Portal BuzzFeed ogłosił 35-stronicowy raport, w którym dowodzi istnienia bliskich związków Trumpa z Rosją. Autorem ma być były brytyjski agent, który swoją pracę wykonał, jak można sądzić, na zlecenie przeciwników politycznych Trumpa. Czy to prawda, że wśród materiałów są jego nieobyczajne nagrania z rosyjskich hoteli? W każdym razie główny wniosek, jaki płynie z tych różnych doniesień, jest prosty: Rosja może szantażować prezydenta USA, który nie jest wobec niej suwerenem.

Cóż, różnie można patrzeć na te doniesienia. Mnie zastanawia, dlaczego nagle z takim natężeniem zaczęły się one pojawiać? Dlaczego owe rzekomo kompromitujące materiały objawiły się teraz, a nie w trakcie długiej przecież wyjątkowo kampanii

wyborczej? Sugerowałoby to, że zarzuty są wątpliwe, a ich głównym celem jest uderzenie w nowego szefa państwa. A może ten wpływ raportów ma być przestrożą dla Trumpa ze strony części służb? Nie jest to wszystko jasne. Czy chodzi tylko o postraszenie? A może ma to być przygotowanie podstaw dla próby impeachmentu? Na pewno przeciwnicy polityczni Trumpa broni nie złożyli. Chcą teraz zrobić z niego marionetkę Putina, wierząc bowiem, że w ten sposób albo uniemożliwią mu rządy, albo przynajmniej znacząco go osłabiają.

To, że Rosjanie mogli woleć Trumpa od Clinton – co wydaje się pewne – nie jest jeszcze tym samym co uznanie, że ten pierwszy jest ich agentem, szpiegiem lub choćby narzędziem. Ta prosta prawda, co ciekawe, nie trafia też do przekonania niektórym polskim komentatorom. Uważają oni, że oskarżenia wobec Trumpa, nawet jeśli nie są prawdziwe, to i tak dobrze, że padają. Przynajmniej utrudnią mu – twierdzą – osiągnięcie odprężenia w relacjach z Rosją. Tak jakby eskalacja wrogości w stosunkach Moskwa – Waszyngton leżała w polskim interesie! Nie bardzo to rozumiem. Polska, najbardziej na wschód wysunięty kraj NATO, w oczywisty sposób w przypadku konfliktu USA – Rosja ryzykuje najwięcej. Dlaczego zatem teraz, kiedy na stałe zagościli nad Wisłą amerykańscy żołnierze, miałyby nam zależeć na wzroście napięcia z Moskwą? Dalibóg, nie pojmuję. Dzięki amerykańskiej obecności militarny atak ze strony Rosji staje się mniej prawdopodobny niż kiedykolwiek. Co zatem mogłaby zyskać Polska na wzroście napięcia w relacjach między USA i Rosją? ©©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOWA PAŁKA NA POLAKÓW – RASIZM
Kreowanie fałszywej rzeczywistości

20 ROZMOWA Z DR. HAB. PIOTREM WAWRZYSKIEM
NARZĘDZIE DO PONIŻANIA

22 ROZMOWA Z DR. MICHAŁEM ŁUCZEWSKIM
TĘSKNOTY ZA BARBARZYŃSTWEM



KRAJ

24 KAMILA BARANOWSKA
OPOZYCJA W RUINIE
PiS wygrał wojnę nerwów

27 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
UNIA TO JESZCZE NIE „TITANIC”

30 ŁUKASZ WARZECHA
BIEŁSAT ZA NIDERLANDY?

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
AMERYKANIE NAD WISŁĄ

34 ARTUR BILSKI
CZY LECI Z NAMI DRON?

36 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM PRZYŁĘBSKIM
WIEDZIAŁEM, ŻE NIE BĘDZIE ŁATWO

40 WOJCIECH WYBRANOWSKI
OPOZYCJA PRZEGRYWA „INTERNETY”

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
DEMONY KOTANA
Pierwsza biografia twórcy Monaru

44 ŁUKASZ ZBORALSKI
KINOMANIA

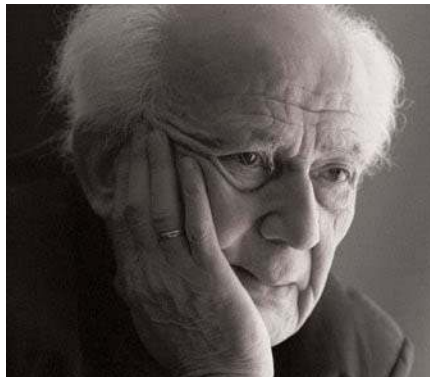


NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 TADEUSZ PŁUŻAŃSKI
JAK BAUMAN UNICESTWIAŁ POLSKĘ
Nie żyje major KBW, agent Informacji
Wojskowej



56 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
REFORMA FRANCISZKA PRZYSPIESZA

60 ROZMOWA Z WALDEMAREM PAWLAKIEM
PEWNE IDEE PIS SĄ MI BLISKE

64 CZESŁAW BIELECKI
SPÓR O NOWE PAŃSTWO

HISTORIA

66 PIOTR ZYCHOWICZ
DZIESIĘĆ PLAG SOWIECKICH
1917–2017. Stulecie puczu bolszewików

ŚWIAT

70 PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU
WOLA ŁUDU PO WŁOSKU
Demokracja tylko dla elit

74 ROZMOWA Z BOBEM DOLE’EM
TRUMP JAK REAGAN

76 OLIVIER BAULT
FRANCUSKA SIEĆ

EKONOMIA

80 ROZMOWA Z MICHAŁEM KRUPIŃSKIM
ODBUDUJEMY ZAUFANIE POLAKÓW
Prezes PZU o planach po przejęciu Pekao SA

82 STEFAN SĘKOWSKI
ANIOŁOWIE I LICZYKRUPY

84 JACEK PRZYBYLSKI
ŚWIAT BEZGOTÓWKOWY



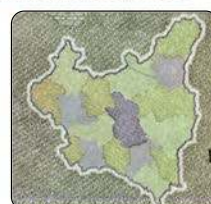
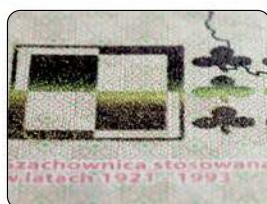
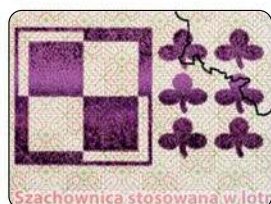
ZDROWIE I NAUKA

90 KATARZYNA PINKOSZ
WYGRAMY ZE SMOGIEM?
Niebezpieczeństwo wisi w powietrzu

PWPW S.A.

na rzecz

Obrony Pamięci Historii Polski



Paszport zaprojektowany i wyprodukowany w PWPW S.A.
dla upamiętnienia Roku Cichociemnych.

Chwała i Cześć Bohaterom

Droży Czytelnicy,

W tym tygodniu echa „kościelnych” tematów poruszanych w świąteczno-noworocznych numerach. W poczcie znajdujemy sporo listów dotyczących publikacji na naszym portalu www.dorzeczy.pl. Przekazujemy je zespołowi odpowiedzialnemu za Internet, choć czasem szybszą drogą byłoby umieszczenie przez Państwa komentarza pod zamieszczonym tekstem.

„Zatrważająco aktualna Fatima”

W numerze 1/2017 ukazał się potrzebny i ważny tekst pana Tomasza Terlikowskiego na temat stulecia objawień w Fatimie. Na wstępie tego artykułu autor pisze o wypełnieniu przez papieża Jana Pawła II prośby Matki Bożej o poświęceniu Rosji Jej Niepokalanemu Sercu. Otóż taki akt tak naprawdę nie miał miejsca. Papież Jan Paweł II w latach 1982 i 1984 dokonał jedynie poświęcenia świata, i to bez wyraźnego skierowania ku Niepokalanemu Sercu Maryi. Słowo „Rosja” nie zostało wymienione w treści ani razu. Poza tym akt ten nie nastąpił w jedności ze wszystkimi biskupami świata. Tak więc żaden warunek postawiony przez Matkę Bożą w objawieniu fatimskim nie został spełniony. Tą i innymi publikacjami rusze chrześcijan są wprowadzane w błąd i próżno wyczekują obiecanego nawrócenia Rosji. I zatrważające jest to, że mija 100 lat od objawień fatimskich, a tak prosta rzecz jak poświęcenie

.Niezręczność

cezar@rykystora.blogspot.com

Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi wciąż nie zostało dokonane. W wyniku tego zaniechania, na przestrzeni lat, błędząca (czyt. nienawrócona) Rosja była sprawcą i przyczynkiem niejednej hekatombi.

(imię i nazwisko do wiadomości redakcji)

„Kościół jako dzieło sztuki”

Od lat jesteśmy czytelnikami tygodnika „Do Rzeczy”, każdy numer jest przez nas niecierpliwie wyczekiwany.

Cieszymy się, że budowa Świątyni Opatrzności Bożej została opisana w świątecznym numerze („Do Rzeczy” 51/2016). Z ogromną przykrością odebraliśmy fakt, że w artykule Pani Agnieszki Niewińskiej wymieniania się ewentualnych przyszłych projektantów i twórców wystroju wnętrza, pomija zaś nazwiska autorów Świątyni. [...]

Lech Szymborski, Wojciech Szymborski

Od redakcji:

Autorów projektu Świątyni – architektów Wojciecha Szymborskiego i Lecha Szymborskiego wraz z zespołem – za to pominięcie przepraszamy.

KNF o składkach OC

Oddziały zagranicznych zakładów ubezpieczeń, po dopełnieniu prostej

procedury notyfikacyjnej, weszły na polski rynek i zaproponowały – żeby na tym rynku zaistnieć – stosunkowo niskie stawki. Rodzime zakłady ubezpieczeń, aby utrzymać klientów, musiały taryfy zagranicznych zakładów ubezpieczeń uwzględnić w swojej ofercie cenowej. Co chcielibyśmy podkreślić: nie nadzorując ubezpieczycieli zagranicznych, KNF miała bardzo ograniczone możliwości wpływania na ich działalność. Wprawdzie o nieprawidłowościach na polskim rynku ubezpieczeń KNF informowała macierzyste organy nadzoru, jednak te początkowo za priorytetowe uznawały zwykle swoje rynki, pozostawiając dużą swobodę działalności oddziałom działającym w Polsce. Dopiero po kolejnych interwencjach zagraniczne organy nadzoru podjęły działania weryfikujące poziom cen i efektywność działalności na terenie Polski nadzorowanych przez siebie oddziałów. Ostatecznie, po konsultacjach z KNF, wiele oddziałów przekształciło się w polskie spółki akcyjne, lub jest w trakcie tego procesu i stąd formalnie podlega lub będzie podlegać naszemu nadzorowi. Z tego względu możliwe było w dużym stopniu przyspieszenie zakończenia konkurencji prowadzonej głównie na podstawie ceny ubezpieczenia.

Jacek Barszczewski z Departamentu Komunikacji Społecznej Urzędu Komisji Nadzoru Finansowego

Pełna odpowiedź KNF po tekście „Zrobię w OC” na stronie DoRzeczy.pl.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@doorzeczy.pl, www.DO RZECZY.pl

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
Zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji), Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cencikiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś, Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Jarosław Kalucki, Katarzyna, Krzysztof Kłopotowski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk, Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrowski, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,

Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torąński, Matthew Tymand, Paweł Wawrzyński, Szezech Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin Wołski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: Miłosz A. Łodowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia), Wojciech Niedzielko (grafik prowadzący), Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotografia: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek
Okladka: Shutterstock; opracowanie graficzne: SUNDAY/PEGAZ

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polska Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Robert Pstrokoński, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@doorzeczy.pl; tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: RR DONNELLEY EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



Order Orła Białego dla Szewacha Weissa

Prezydent Andrzej Duda uhonoruje prof. Szewacha Weissa najstarszym i najwyższym polskim odznaczeniem państwowym – Orderem Orła Białego

O przyznaniu odznaczenia poinformował prezydencki minister Krzysztof Szczerski.

Podkreślił, że „Szewach Weiss jest chyba jednym z najbardziej czytelnych, pobudzających pozytywne emocje przykładów polsko-izraelskiej wspólnej historii. Historii dramatycznej, ale także po tym dramatycznym okresie przybierającej formy otwartego, szczerego i peł-

nego wzajemnego szacunku dialogu, a także współpracy i poszukiwania tego, co łączy”. Krzysztof Szczerski zaznaczył, że Szewach Weiss to człowiek, „który jest pewnym symbolem politycznych, ale też międzyludzkich relacji polsko-żydowskich”.

Szewach Weiss jest profesorem nauk politycznych, był posłem i przewodniczącym Knesetu oraz ambasadorem Izraela w Polsce. Przyszedł na



FOT. JAN KUCIARZ/AG. JEST. NEWS

świat w 1935 r. w Boryslawiu (obecnie na Ukrainie). Po II wojnie światowej wyjechał

do Izraela, ale jego związki z Polską zawsze były bardzo silne. Nad Wisłą bywa często, prowadzi wykłady na polskich uczelniach. Jest doktorem honoris causa m.in. Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Wrocławskiego. Regularnie publikuje w tygodniku „Do Rzeczy”.

Za swoją działalność, zwłaszcza za zasługi dla budowania relacji polsko-żydowskich, był wielokrotnie nagradzany. Jest laureatem m.in. Nagrody Tolerancji, otrzymał także Krzyż Wielki Orderu Zasługi RP i Odznakę Honorową „Bene Merito” (przyznaną przez polskie MSZ za działalność wzmacniającą pozycję Polski na arenie międzynarodowej).

Andrzej Duda uhonoruje prof. Szewacha Weissa podczas swojej wizyty w Izraelu i Palestynie w dniach 16–19 stycznia. Uroczystość odbędzie się w Jerozolimie. **(raw) © ©**

REKLAMA

DZIECI DO
LAT 12
GRATIS!

Zima w górach
W SZKLARSKIEJ PORĘBIE

CRISTAL RESORT®
SZKLARSKA PORĘBA

by ZDROJOWA

Już od 264 PLN za dobę – pokój Standard ze śniadaniem

+48 91 40 40 400

HOTELE W NAJPIĘKNIJSZYCH KURORTACH™



Marine Hotel*****
& Ultra Marine



Diune Hotel*****
& Resort



Sand Hotel****



Jantar Hotel***
& SPA



Boulevard
Ustronie Morskie



Baltic Park Moło
Apartments



Cristal Resort
Szklarska Poręba



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Drakopolityka i jej patron

PiS wygrał wojnę nerwów. W czwartek 12 stycznia Platforma skończyła okupację sali. Nie jest to z pewnością koniec wojny totalnej na linii opozycja – większość parlamentarna, ale w tej odsłonie konfliktu aktorzy z PO schodzą ze sceny w ponurych nastrojach. Zdjęcie Grzegorza Schetyny i jego posłów wychodzących gęsiego z sali sejmowej przy ironicznych minach posłów PiS zrobiło furorę po prawej stronie Internetu. Wszystkie trzy główne siły opozycji: Platforma, Nowoczesna i KOD pokazały, że nie mają przywódców zdolnych udźwignąć swoje role.

W Sejmie przez ostatni miesiąc na pierwszy plan wysunęła się grupa posłów i posłanek, którzy szokowali swoim infantylizmem. To właśnie brak przywództwa ze strony bardziej poważnych posłów sprawił, że nie było komu powstrzymać Joannę Muchę od popisów wokalnych, Sławomira Nitrasa od zabawy w reportera, a posła Ryszarda Wilczyńskiego od grzebania w rzeczach prezesa Kaczyńskiego.

Na czoło przepchnęli się posłowie PO i Nowoczesnej, których zepsuto pochwałami za odpowied-

nio ostre tweety lub zaczepki, takie jak posłanki Scheuring-Wielgus wobec nieulubianych dziennikarzy. Swoją mało chlubny udział w tym podkręcaniu sejmowej polityki jako draki miał też w ostatnim miesiącu Donald Tusk.

Występując w bardzo wygodnej roli patrona Platformy machającego do swoich byłych kolegów z dalekiej Brukseli, w subtelny sposób dolewał oliwy do ognia. Gdy kryzys sejmowy w grudniu miał swoje apogeum, Tusk znalazł czas, aby zajrzeć do Wrocławia i obsypać komplementami uczestników próby zablokowania Sejmu.

„Jesteście dziś najlepszymi strażnikami polskiej reputacji, w Europie i na świecie” – mówił Tusk. Podkreślał, że fenomen Europy to unikatowy model wolnościowej demokracji. „W tej demokracji obywatele, prawa i dobre obyczaje wyznaczają granice władzy, a nie na odwrót” – podkreślał. Szef Rady Europejskiej mówił tak tuż po tym, jak agresywni demonstranci próbowali zatrzymać rządowe samochody, a agresywni aktywiści KOD bez ceregieli popychali posłankę Krystynę Pawłowicz.

To poparcie Tuska dla radykalizmu utrudniło potem szefom obu

największych partii opozycyjnych opanowanie emocji we własnych ugrupowaniach. Gdy przed świętami Schetyna chciał zakończyć protest, posłowie PO bali się, jak przyjmą to ludzie Ryszarda Petru. Potem role się zmieniły i kiedy to lider Nowoczesnej chciał chyłkiem wycofać się z protestu, nagle w rolę radykała wcielił się Schetyna.

Przed paroma dniami Tusk znów włączył się w konflikt, próbując obarczyć obowiązkiem zakończenia sporu jedynie rządzących. Bez skutku. Wypowiedzi Tuska, że tegoroczny budżet mógł zostać uchwalony „niezupełnie legalnie” i że może to wywołać próby wstrzymania dotacji unijnych dla Polski, zabrzmiały jak szkic nowego etapu walki Brukseli z rządem PiS.

Jednak Tusk prowadzi swoją wojenkę z Jarosławem Kaczyńskim, niczego na razie nie ryzykując. Gdy opozycja potyka się o własne nogi, on ma luksus obserwowania losów kolejnej batalii z bezpiecznego oddalenia. A gdy przychodzi porażka, Donald Tusk może tylko z ubolewaniem pokiwać głową. To nie on musi walczyć o pozycję w sondażach. A dożgonną miłość PO i Nowoczesnej i tak ma zapewnioną. Żyć, nie umierać. ©©

KOLEJNE FAKTURY LIDERA KOD

Kwota faktur wystawionych KOD przez firmę Mateusza Kijowskiego i jego żony okazała się wyższa i według „Rzeczpospolitej” sięga minimum 120 tys. zł. Po ujawnieniu tej sprawy lider KOD stwierdził, że kolejne odkryte przez media faktury były „pomyłką” i pieniądze, które dostała firma, zostały zwrócone. Jednak wiceszef KOD Radomir Szumelda w oświadczeniu w sieci napisał, że żaden zwrot na konto stowarzyszenia KOD nie trafił. **(luz)** ©©



FOT. PIOTR SKOLIŃSKI/REPORTER

Historia Polski powojennej



W konferencji weźmie udział m.in. Sławomir Cenckiewicz
FOT. JACEK DOMINIŃSKI/REPORTER

Konferencja naukowo-edukacyjna „Sprzeczne narracje. Historia powojennej Polski” ma być próbą odpowiedzi na różne wersje i oceny wydarzeń z początku Polski Ludowej. Zorganizowana będzie w dniach 19–20 stycznia w Centrum Edukacyjnym IPN.

Czy w Polsce powojennej mieliśmy do czynienia z wojną domową czy nową okupacją? Czy Wojciech Jaruzelski był bardziej karierowiczem czy człowiekiem o rozdartym życiorysie i sumieniu? Kim naprawdę jest Lech Wałęsa? Czy w PRL dokonał się skok

cywilizacyjny? Czy stan wojenny był mniejszym złem? Czy istniała alternatywa dla Polski Ludowej? To kilka pytań, na które odpowiedzi spróbują znaleźć historycy biorący udział w konferencji zorganizowanej przez IPN. Honorowy patronat nad nią objął prezydent Andrzej Duda, a w panelach dyskusyjnych udział wezmą m.in.: dr hab. Sławomir Cenckiewicz, dr Piotr Gontarczyk, dr Paweł Kowal, dr Lech Kowalski, dr Tomasz Łabuszewski, prof. Andrzej Paczkowski, dr Marcin Zaborski, prof. Jan Żaryn. (ww) © ©

**PATRONAT
DO
RZECZY**

POLAK, WĘGIER, DWA BRATANKI

**PATRONAT
DO
RZECZY**

Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie w najbliższą środę 18 stycznia zaprasza na debatę poświęconą 1000-letniej historii stosunków polsko-węgierskich.

„Lengyel, Magyar – két jó barát”, czyli „Polak, Węgier – dwa bratanki” można od lat usłyszeć zarówno w Warszawie, jak i Budapeszcie, a oba kraje stały się silnymi państwami Grupy Wyszehradzkiej. Z Węgrami łączy nas coraz więcej, a młodzi obywatele obu krajów coraz częściej i chętniej manifestują wzajemne sympatie. Czy jednak zawsze tak było? Jak wyglądałyby stosunki obu krajów, gdyby nie wspólne historie zmagania niepodległościowych? Czy istnieją dwa inne państwa, których narody, niezależnie od politycznych gier przywódców, darzyłyby się taką wzajemną sympatią? O tym, jak wyglądałyby stosunki Polski i Węgier, będą debatować: Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”, oraz Grzegorz Górny, pisarz i publicysta, a także János Tischler, dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie. Debatę „1000 lat bratanków”, która odbędzie się 18 stycznia o godz. 18 w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, poprowadzi Artur Kołęda. (ww) © ©

REKLAMA

Już od **319 PLN** za dobę – pokój Standard ze śniadaniem

✉ rezervacja@zdrojowahotels.pl

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™



Marine Hotel***
& Ultra Marine**



Diune Hotel***
& Resort**



Sand Hotel****



Jantar Hotel*
& SPA**



**Boulevard
Ustronie Morskie**



**Baltic Park Moło
Apartments**



**Cristal Resort
Szkłarska Poręba**



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Leminżym tropem

Leming stał się symbolem wszystkich giermków Okrągłego Stołu, ponieważ, jak wiadomo, to sympatyczne zwierzątko słynie z bezmyślnego dreptania za przewodnikiem stada choćby w przepaść (uprasza się biologów o niewyjaśnianie, że to tylko mit, bo naprawdę to właśnie o mit tu chodzi). I jest to naprawdę trafny symbol, trafniejszy niż się komukolwiek wydaje.

W ślad za grupą Palikota **PO** poszła na lewo i zniknęła w czerwonej dziurze

Rzecz bowiem dotyczy nie tylko stadności elektoratów kolejnych wcieleń nieboszczki Unii Demokratycznej i bratniego Sojuszu Lewicy, lecz także samych ich przywódców. Proszę spojrzeć na sprawę z dystansu, z perspektywy lat. Cóż widzimy po tej stronie sceny politycznej?

Widzimy nieustający ruch od środka ku lewemu marginesowi. A więc – ruch odwrotny niż w normalnej, dojrzałej demokracji, gdzie droga do władzy wiedzie zawsze przez środek i jeśli zdarza się radykałowi dobić znaczenia, to – tak jak w przypadku Joschki Fischera – przez mniej lub bardziej szczere ustatkowanie się. Co do samej zasady, że decyduje centrum, Polska niczym się nie różni. Różni nas to, że tutaj partie rządzące kolejno uciekały od dającej władzę centrowości ku lewicowej skrajności, sprowadzając siebie same na manowce.

To niepojęte, ale patrzcie sami – Unia Wolności, SLD rządziły dzięki skutecznemu wmówieniu Polakom, że są umiarkowane i zdroworozsądkowe. Jednak ich liderom wyraźnie było z tym źle, męczyli się i gdy tylko utrata władzy pozwalała im przestać udawać, partie szły w manierę rozporkowo-antyklery-

kalną, tracąc powagę i znaczenie. PO nawet nie wytrzymała do końca władzy, gdy pod zarządem Ewy Kopacz poszła w in vitro, konwencje antyprzemocowe i straszenie „średniowieczem”. W ślad za grupą Palikota, która wcześniej się z PO wyodrębniła, poszła na lewo i zniknęła w czerwonej dziurze, wsysającej po kolei partie III RP. Grzegorz Schetyna coś tam co prawda krzyknął o „konserwatywnej kotwicy”, ale, jak widzimy, i jego porwał tłum własnych lemingów, rwących ku zagładzie.

Kto je tam prowadzi? Leminże media z Czerskiej i Augustówki. To one przekonały układy III RP, że trzeba być genderowym i tęczyowym, bo taki jest świat, i to one, jak flecista z Hameln wyprowadziły „establiszmę” III RP z realnej polskiej polityki. Są powody, żeby ich nie lubić, ale za ten fakt trzeba być michnikowszczyźnie i jej klakierom wdzięcznym. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O postprawdzie

Znaleźliśmy się w rzeczywistości tak zrelatywizowanej, że już nie potrafimy nazwać kłamstwa, głupoty i hipokryzji po imieniu. Spakowane razem nazywają się dziś postprawdą, a w Polsce – jak słyszę – niezręcznością.

Ostatnio do zjawisk postprawdziwych doszło również w Italii. Beppe Grillo, komik, który stworzył potężny antysystemowy Ruch 5 Gwiazd (ponad 30 proc. w sondażach), skierował do swoich aktywistów i zwolenników przesłanie noworoczne. Posłużył się rozprawką „Lekarstwem jest ubóstwo” z 1974 r., w której literat

Goffredo Parise przekonywał, że od duchowej i materialnej śmierci Italii uratować może jedynie życie z umiarem oraz w skromności.

Noworoczne przemówienie Grillo nagrał w swojej 24-pokojowej willi w Genui, z dwoma basenami i ogromnym trawnikiem wypielegnowanym jak korty Wimbledonu. A gdy w sylwestra filmik z przesłaniem ukazał się w Internecie, Grillo z małżonką i ze świętą sączyli szampana na plaży w ośrodku dla superbogaczy w Malindi (Kenia). Co więcej, z Malindi przesłał swoim aktywistom w Italii... kodeks etyczny. W epoce miedzianego czoła nikogo to specjalnie nie oburza.

Wpadł też na pomysł, by powołać sąd ludowy, który karać będzie media za postprawdziwe informacje. Pojawiły się domysły, że Grillo troszczy się o swoich łatwowiernych parlamentarzystów. Czas był najwyższy. Jedną z deputowanych Ruchu wierzy, że syreny istnieją, a jej kolega jest przekonany, iż Amerykanie zainscenizowali lądowanie na Księżycu i wszczepiają noworodkom chip kierujący pracą mózgu.

Polscy wybrańcy narodu, którzy świętują „Święciu Króli”, wierzą w niestworzone brednie, a nawet w to, że nadal obowiązuje Konstytucja 3 maja, nie powinni mieć kompleksów. ©©



NOTES MALKONTENTA

Gdy PiS doszedł do władzy...

Jak PiS dojdzie do władzy...!" – to słowa z najgenialniejszego i zapewne najlepiej pamiętanego skeczu Kabaretu Moralnego Niepokoju Roberta Górskiego. Skecz należał do cyklu „Posiedzenie rządu” i był jedną z wielu bezlitosnych satyr na władzę PO, zajmującej się głównie „harataniem w gałę” i przekonywaniem ludzi, że w tym czasie ciężko pracuje dla dobra Polski i Polaków. Ten schemat działania Górski uchwycił bezbłędnie.

No i PiS do władzy doszedł. Wówczas z wieloma satyrykami (a także dziennikarzami i publicystami) stała się rzecz łatwa niestety do przewidzenia: bezlitości krytycy władzy poprzedniej dla obecnej są łagodni, delikatni i wyrozumiali. Nawet jeśli robi dokładnie to samo, co robili poprzednicy. Postąpili tak jak TVN w niegdyś przez nich samych opowiadany dowcipie z 2007 r., czyli w momencie, gdy PiS władzę stracił, a objęła ją PO: na zebraniu szef redakcji oznajmia: „Dotąd krytykowaliśmy rządzących. Ale ile można walić w jedną bramkę?! Teraz zabierzemy się za opozycję”.

Górski mógł uczynić to samo i na pewno miałyby wygodnie. Zamiast tego postanowił zrobić „Ucho prezesa” – miniseria o Jarosławie Kaczyńskim i jego otoczeniu, którego nikt nie chciał pokazać, więc zawisł sobie na YouTube, zbierając tam kolejne tysiące wyświetleń.

I już za samo to – za pójście pod prąd oraz wierność misji satyryka – Górskiemu należy się szacunek.

Poziom pierwszych dwóch odcinków, które dotąd pokazano, różni różnie oceniają. Cóż, kwestia gustu. Kilka rzeczy wydaje się jednak bezspornych. Po pierwsze – że Kaczyński nie jest sportretowany nawet w połowie tak złośliwie, jak portretowany był Tusk. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że gdy prezes PiS „Ucho prezesa” obejrzy (skądinąd wiem, że nie miał z początku świadomości, iż taki serial powstał), będzie miał niezły ubaw. Mniejszy będzie miało jego otoczenie, pokazane jako banda płaszczących się lizusów, co niestety w wielu przypadkach nie odbiega od prawdy. I to druga kwestia: Górski celnie uchwycił sytuację, w której PiS to teatr jednego aktora. Wszyscy pozostali to przy nim statyści.

Jest jednak jeden problem: niektóre osoby z partii władzy chcą Górskiemu odebrać chleb. Ot, choćby marszałek Kuchciński, wysyłający do „Super Expressu” sprostowanie do swojej fotografii (!) tam opublikowanej, w którym stwierdza, że na zdjęciu wygląda, jakby miał w uchu kolczyk, a naprawdę wcale go nie ma. I tak jak pracę satyrykom odbierała ekipa Tuska, tak z równą ochotą odbiera ją ekipa Kaczyńskiego. Górski ma przed sobą trudne zadanie. © ©

FAJNIE JEST BYĆ TATĄ

Fundacja Mamy i Taty rozpoczęła kampanię, która ma zachęcić mężczyzn do zakładania rodzin. Akcji patronuje tygodnik „Do Rzeczy”. Kampania adresowana jest do mężczyzn, którzy (jak pokazują dane statystyczne) ze względów materialnych, lokalowych czy z powodu chęci wygodnego życia w coraz późniejszym wieku decydują się na założenie rodziny lub nie decydują się na to w ogóle, preferując życie w konkubinatach. Organizatorzy akcji chcą pokazać, że bycie

tatą jest nie tylko dodatkowym obowiązkiem, lecz także wartością, i wywołać społeczną debatę na temat wartości ojcostwa. Wcześniej fundacja zleciła szerokie badania społeczne dotyczące różnych aspektów życia młodych mężczyzn, w tym ojcostwa. Kampania będzie promowana w czasie bezpłatnym w kanałach TVP, radiu, prasie, Internecie, na plakatach oraz w ramach szeroko zakrojonych działań PR. (ww) © ©

PATRONAT
DO
RZECZY

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LITERSKIEGO
**DO
RZECZY**

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49 zł



PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 22 stycznia 2017 r.

1. **Polscy Bohaterowie**
39,00 zł
25,00 zł
2. **POLSKIE PODZIEMIE W OČZACH WROGA**
34,90 zł
24,90 zł
3. **JÜRGEN ROTH SMOLEŃSK 2010 SPISEK KTÓRY ZMIEŃIŁ ŚWIAT**
45,00 zł
33,90 zł
4. **WOJŃ**
49,90 zł
34,90 zł
5. **W.E.B. GRIFFIN ARDYSZPIEDZY**
39,00 zł
26,90 zł

ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

SCHOWANY PIERŚCIONEK

Projektantka Ewa Minge zaręczyła się w święta

Bożego Narodzenia. Z tej okazji opublikowała w Internecie pierwsze wspólne zdjęcie ze swoim partnerem. Chwilę później Minge udzieliła wywiadu telewizji śniadaniowej. Opowiadała o zaręczynach i planowanym ślubie. A także

o drogim pierścionku zaręczynowym. Tak drogim, że boi się go nosić, więc nie nosi. Logiczne. – Mój pierścionek zaręczynowy jest w sejfie, jest tak cenny, że się boję go nosić na co dzień. Do tej stylizacji nie do końca pasuje. Moja reakcja była taka: jaki piękny, ale boję się go nosić. Na drugi dzień świąt dostałam więc miniaturkę. Pokażę go. Mam prawą rękę i lewą, dostałam dwa – pochwaliła się. – Mój narzeczony nie jest z show-biznesu, chronię życie prywatne – stwierdziła na koniec, siedząc na kanapie w telewizji śniadaniowej i opowiadając o kopiach pierścionka. My jej wierzymy.

MĘSKA CHEMIA

Dawno nie było nic o naszym celebryckim ulubieńcu, który kryje się pod wyszukany pseudonimem Ekskluzywny Menel. Tak, to ten bloger modowy, który skromnie stwierdził kiedyś, że jest liderem opinii i ludzie go słuchają. Chociaż jest zajęty strzyżeniem brody i kreacją nowych stylizacji modowych, znalazł czas, by podzielić się ze światem refleksjami na temat męskiej przyjaźni. – Mam dużo kumpli, znajomych, a przyjaciół tylko trzech. Oni wiedzą wszystko, są najbliżsi mojemu sercu. Szastamy słowem „przyjaźń” w dzisiejszym świecie. My się zmieniamy, wcale nie mam poczucia, że przyjaźń musi trwać całe życie. Ludzie przychodzą i odchodzą – stwierdził. Zwłaszcza wypowiadając tę ostatnią mądrość, przybrał minę, jaką przybierają autorytety, gdy mówią rzeczy ważne. – Recepta na męską przyjaźń to chemia. Kiedy się chemię wyczuwa, to fajnie otwierać się przed sobą. Nie wszystko mówi się kobiecie. Męskość teraz w naszym kraju się rozrasta. Kobieta wielu rzeczy nie rozumie – dodał. Faktycznie. Nie rozumie na przykład tego, że o męskości opowiada facet, który przed lustrem spędza więcej czasu niż większość kobiet.

DODA O ŻŁOTYM SERCU

Znana ze swojej skromności piosenkarka Doda postanowiła opowiedzieć, jak wielkoduszną, uczynną i dobrą osobą jest w głębi serca. – Oprócz tego, że od czasu do czasu potrafię być niegrzeczną dziewczynką, to mam złote serce. Złoto waży, to mam ciężki charakter. Zawsze mówię, żeby pomagać innym, szczególnie skłaniać się ku słabym jednostkom. Od dziecka, odkąd pamiętam, w klasie nigdy nie szłam za stadem, tylko zawsze pomagałam tej osobie, która była jedyna i taka uciśniona. Może coś we mnie jest takiego rycerskiego – wyznała. Kto jak kto, ale Doda wie, co to znaczy być uciskany! Zwłaszcza przez ciasny gorset albo przymałą kieckę.

NATASZOWY STYL

Natasza Urbańska podobno właśnie nagrywa nową płytę. I każdy, kto pamięta jej ostatnie dokonania muzyczne, wie, że to nie jest dobra informacja. O wiele lepsza jest ta, że w związku z promocją płyty będzie udzielać więcej wywiadów! Zresztą już zaczęła to robić. Ostatnio na przykład opowiedziała o kobiecości,



FOT. KRZYSZTOF KULZYŃSKI/FOFOM

k którą trzeba odpowiednio dawkować, żeby nie przesadzić. Natasza stwierdziła, że w kobietach najfajniejsza jest kokieteria, a seksapil i erotyzm powinno się umiejętnie dawkować, np. poprzez spojrzenia lub drobne gesty. – Myślę, że każda kobieta ma w sobie takie pokłady seksualności, które może dawkować, nie od razu wszystko i kawa na ławę – podkreśliła. – Ta kokieteria jest chyba najfajniejsza w kobietach, jak ona wypuszcza delikatnie i nie do końca jest to takie wprost, że to jest, a może, a może nie? – dodała. – Kobiety powinny dawkować erotyzm. Jest to taki nataszowy styl – podsumowała. Pamiętamy, jak Natasza dawkowała erotyzm w teledysku do piosenki „Rolowanie”. Było lizanie umywalki, wyginanie się na podłodze w dziwnych pozach i erotyczny taniec. Jeśli zdaniem Nataszy to jest subtelna kokieteria, to strach pomyśleć, jak wygląda ta mniej subtelna! ©©

FOT. PAMEL GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jak znosicie falę mrozów, które przetaczają się powolnie nad tym krajem?

My np. w weekend prowadziliśmy warsztaty dziewiarstwa i szydełkowania, a sporządzone na nich szaliki, czapki, mufki i nauszniki przeznaczyliśmy do otulania bezpańskich świerków <3 Nawet pojechaliśmy do lasu, aby nieco ogrzać zmarznięte osobodrzewa.

Byłoby nam łatwiej, gdyby takie osoboświerki jednak miały uszy, iż nie wiedzieliśmy, jak mamy im założyć te nauszniki. Ale niech tam, każdy osoboświerk może decydować o własnych gałęziach. My niczego nie będziemy im przecież narzucać.

Z dużą uwagą przyglądamy się sejmowemu puczowi i jesteśmy pełni podziwu dla postów opozycji, z jak wielkim poświęceniem walczą o demokrację w tym kraju, uniemożliwiając przeprowadzenie obrad fashystoffskiego, niewłaściwie demokratycznego Sejmu.

Jednocześnie zastanawiamy się, co opozycja będzie mogła zrobić, iżby w następnej kolejności prowadzić protest w obronie

demokracji? Już chyba tylko pozamykać się samemu do więzień, iżby zablokować taką możliwość siepaczom CBA.

Inną możliwością, chyba mniej dolegliwą, jest okupacja Starbunia albo jakiegoś modnego miejsca w Warszawie. Opozycja mogłaby straszyć, iż stamtąd nie wyjdzie, dopóki nie wypije całego latte, nie zje całego jarmużu i nie wyczerpie pakietu internetowego w smartfonach xD

Straszne nas zmartwił smog, który roztacza się nad tym krajem. Na szczęście nasze frendziarzy z kolektywu wpadły na pomysł ręcznej produkcji masek antysmogowych z węgańskim certyfikatem, dlatego jesteśmy w stanie jednocześnie chronić swoje drogi oddechowe, być wege i nie rezygnować ze spodni odslaniających nasze szczupłe kostki.

Of kors zainstalowaliśmy sobie też odpowiednie apki smogowe, dzięki którym idąc po mieście z kubkiem kawy na wynos w jednej ręce, możemy drugą ręką sprawdzić poziom pyłów i poinformować o tym świat za pomocą fejsika, podob-

nie jak wszyscy inni nasi frendzi z kolektywu.

W pozytywnym tonie jest też obecnie rozpoczynać każdą rozmowę w towarzystwie od zak-

Opozycja mogłaby zacząć okupację Starbunia albo jakiegoś modnego miejsca w Warszawie

tualizowania informacji o PM2,5 i benzo(a)pirenie, którego stężenie w tym kraju jest podobno najniższe w... Słupsku. A sami wiecie, kto rządzi Słupskiem i proszę – oto mamy efekty.

Chcieliśmy wziąć przykład z sejmowych puczystów i postanowiliśmy zorganizować okupację open spejsa, iżby Nowy z Tarnowa został zmuszony do rozmowy z nami i do wysłuchania naszych postulatów.

W tym celu zamknęliśmy się w open spejsie i zagroiliśmy Nowemu, iż nie wyjdziemy, dopóki nas nie wysłucha. Nowy się zgodził i zaprosił nas do rozmów, ale w sumie to nawet nie wiedzieliśmy, jakie są nasze postulaty i o co nam do końca chodzi, a w dodatku kolega gej z Alexem pojechali do galerii na wyprzedaż.

Koniec końców powiedzieliśmy Nowemu, iż nie mamy z nim o czym gadać, i wróciliśmy do open spejsa. Rotacyjnie siedzimy tam do dzisiaj, ale już nie pamiętamy, o co nam chodziło i czego chcemy. W dodatku kończy nam się darmowy transfer, a Nowy zmienił hasło do Wi-Fi. Rozważylibyśmy nawet zakończenie protestu, ale tak głupio teraz wyjść. Antyczna komedia, kochani, jak w pismach Sokratesa ;(((©©

Fabryka charyzmatycznych przywódców produkuje nową kukłę na kijku...



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Nie uwierzylibyście, kto od-
wiedził ostatnio prezydenta
Andrzeja Sebastiana. Otóż
kiedy wręczano u niego
tytuły profesorskie, stawiła się
pewna pani prawnik, imieniem
Irena. I odebrała swój. Oklaskiwała
ją córka imieniem Róża. Jak się
okazuje, można oklaskiwać nawet
działania PiS-owskiej, dyktatorskiej
władzy. Kiedy tylko w pobliżu nie
ma męża ani taty, imieniem Andrzej.
Rzepliński.

Skoro jesteś przy tytułach nauko-
wych. Nowym szefem Narodowego
Centrum Kultury ma zostać po
długim bezkrólewiu Rafał Wiśniewski.
Jeszcze nie profesor, ale doktor. Habilito-
wany. Socjolog. Tak jak profesor wicepre-
mier Gliniński.

Nie możemy doczekać się komenta-
rzy „GazWybu” do tej kandydatury.
Doktor Wiśniewski uważa bowiem
np., że wiara w horoskopy jest niezgodna
z dogmatami religii katolickiej. Jedno
stwierdzenie, a już dwa powody do hejtu
w czerskim stylu. Po pierwsze – oni tam
ostatnio nagminnie korzystają z wróżek
na portalu. Po drugie – facet wie, co
to dogmaty religii katolickiej. Czyli
państwo wyznaniowe.

À propos gazet i periodyków. Głupia
sprawa z tymi Paszportami tygo-
dnika „Polityka”. Roni tam łzy,
że dyktatorska władza ignoruje galę.
A jak wiadomo, dla artysty nie ma nic
gorszego niż sytuacja, w której władza
kontestowana kontestatorów po prostu
ignoruje. Niestety, jest gorzej. Sprawdzi-
liśmy. Do Kancelarii Prezydenta Andrzeja
Sebastiana nie trafiło żadne zaproszenie.
Rok temu również. Ignorowanie niech
się ignorowaniem odciska.

Żli ludzie opowiadają, że za plotkami
o rzekomych rozterkach prezydenta
Andrzeja Sebastiana w sprawie
ustawy oświatowej stoją gowinowcy. Co
trochę nas dziwi. To znaczy – nie dziwi
nas to, kto stoi, ale użycie liczby mnogiej.
Aż tylu ich nie ma.

Spinowanie plotek o rozterkach pre-
zydenta miałoby wynikać z kontesto-
wania kształtu współpracy między
resortem edukacji a resortem nauki
w sprawie reformy edukacji. Stanowczo



FOT. ROBERT CAROZINSKI

dwaj panowie g

dementujemy. Nie można kontestować
czegoś, czego nie ma.

Wiemy za to o czymś, co jest. Na
przykład o istnieniu jakiegoś
zyliona ludzi, którzy słyszeli z ust
żony prezydenta Andrzeja Sebastiana,
Agaty, że jest ona gorącą przeciwniczką
gimnazjów. Tyle w temacie „rozterek
prezydenta”. Kolegom z paru gazet
gratulujemy fantazji.

Do Polski dotarły amerykańskie czoł-
gi. Nie wiemy jednak, czy czujemy
się bezpieczniejsi, bo to jednak
najwolniejsza armia świata. Licząc od

1945 r., sforsowanie Odry zajęło jej pełne
72 lata.

Nie wiemy, jak długo amerykańskie
czołgi zostaną w Polsce. Pojawiły
się bowiem plotki, że na wniosek
ministra Waszczykowskiego zostaną
przerzucone do Republiki San Escobar,
by strzec południowej flanki NATO. Woj-
ska San Escobar nie są w stanie bronić
kraju, gdyż przerzucono je do Republiki
Da Grasso.

Rysiek Petru-Swetru przeprosił
Kaszę Lubnauer za numer, jaki
jej wyciął tą całą Maderą. Pamię-
taj państwo, jak się bidulka musiała
tłumaczyć, że załatwiano tam sprawy
partyjne? Nas jednak bardziej interesuje,
czy przeprosił żonę.

Stanowczo protestujemy przeciw
próbom pozbawienia Joanny
Schmidt stanowiska wiceprzewod-
niczącej Nowoczesnej Kropki. To zbyt
okrucieństwa. Wystarczająco ukarała
się, rezygnując z walki
o stanowisko prezydenta
Poznania i zamieniając je
na stanowisko koleżanki
człowieka, który nigdy nie
będzie premierem.

À propos Poznania. Kandydatem
na prezydenta wspieranym
przez kaczystów ma tam
zostać znany wydawca – Tadeusz Zysk.
Kandydował on w ostatnich wyborach
do Sejmu z list PiS i zdobył coś ok. 3 tys.
głosów. Sprawa jest więc dziecinnie
prosta – wystarczy uzyskać jeszcze tylko
dodatkowe 83 tys. i już razem będzie
tyle, ile zdobył urzędujący prezydent
Jaśkowiak Jacek.

Wracając do Nowoczesnej Kropki
i Joanny Schmidt – przerywamy
dowcipasy, bo w sumie to nam
żał. Nie, nie Ryśka. Żał nam się zrobiło
tak ogólnie, bo odsłuchaliśmy radiowy
wywiad z Joanną, którego udzieliła po-
nad rok temu, dwa tygodnie po wyborze
do Sejmu. Cieszyła się ze zdobytego
mandatu, a jakże. „A dzieci się cieszą?” –
zapytał prowadzący. „Dzieci są strasznie
dumne, podekscytowane, szczególnie
teraz, widząc mnie w mediach ogólnokrajowych, szczególnie najmłodszy
syn uwielbia oglądać »Wiadomości«” –
odparła Joanna.

Zostawiamy Joannę, ale nie Nowoczesną Kropkę, która jest rzeczywiście bardzo nowoczesna. W partii uczucia i hormony buzują jak wiosenna burza. Wypad Ryska na Maderę z jedną kobietą to małe miki. Nasze wiewiórki donoszą o panoszących się w Nowoczesnej Kropce romantycznych wielokątach. Może się zdziwić: największą wiedzę o tych figurach mają w Platformie. I nie zawahają się jej użyć.

W jednych miejscach gorąco, w innych zimno. Uwadze ciekawskich nie uszedł fakt, że podczas ostatniej wizyty gospodarskiej w TVP Kaczor-Dyktator witał się z prezesem Jackiem Kura-Kurskim raczej chłodno. No i wszyscy zastanawiają się, co to może znaczyć. Ano nic. Poza tym, że Kaczor-Dyktator preferuje ludzi żyjących w związkach małżeńskich.

Dwa słowa o opozycji antysystemowej. Długotrwałe i intensywne śledztwo prowadzone przez głównych kukistów, którego celem było wytropienie złych ludzi, spełzło na niczym. Chodziło o znalezienie osob-



ników rozsiewających plotki na temat 12 posłów kukistowskich gotowych do przejścia w szeregi kaczystów. Sugerujemy następną fazę – podtapianie. Co prowadzi nas do interesującego pytania: Czy kiedy jeden poseł podtapia drugiego, to wciąż jest to naruszenie przywileju nietykalności?

Ciekawe wieści z frontu walki z korupcją. Wkrótce do Sejmu trafi pierwszy w tej kadencji tak umotywowany wniosek o uchylenie immunitetu. Józef „Legenda” Pinior przy tej sprawie to małe miki. Zresztą sami państwo słyszeli na taśmach Piniora: pięć tysiów plus tysiak. Razem sześć. Kto się łąsi na takie drobne? To wie tylko komisarz Biełkowska.

Jedni są łąsi na pieniądze, inni na order. Pamiętają państwo niejakiego Wojciecha Brochwicza vel Raduchowskiego? Tak, to ten, o którym Lutek Dorn mówił, że jest „uosobieniem wszystkich patologii służb specjalnych”. Mało kto wie, że pod koniec kadencji prezydenta Bronisława Wąsatego A Później Bezwąsego gość ów dostał Krzyż Wolności i Solidarności. Jest jednak pewien kłopot. Facet przez całe lata przez grzeczność nie zaprzeczał, kiedy mówiono, że był w ruchu Wolność i Pokój. Aż sprawa się rypla, kiedy okazało się, że z WiP nikt go nie pamięta. Byli natomiast tacy, którzy pamiętali, że był etatowym funkciem komunistycznej młodzieży w ZSMP w Białymstoku.

Na koniec całkiem poważnie. Dożyliśmy takich czasów, że rzeczy normalne wydają się wyjątkowe, co nie znaczy, że nie warto ich nie zauważać. Minister Elżbieta Rafalska zamieściła w „Naszym Dzienniku” nekrolog, w którym składa Lechowi Wałęsie wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci syna. Zakończymy więc maksymą: jeśli nie wiesz, jak się zachować, to zachowaj się jak Rafalska. ©©

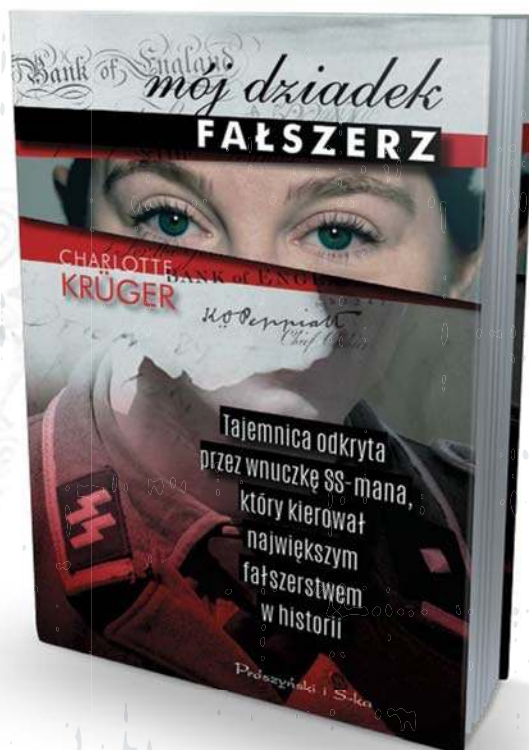
REKLAMA

ŁATWIEJ NIENAWIDZIĆ HITLERA NIŻ własnego dziadka

Prawdziwa historia wnuczki SS-mana,
który kierował największym fałszerstwem w dziejach.

Kiedy Charlotte Krüger była dzieckiem, uważała dziadka za dobrotliwego starszego pana, który kolekcjonuje znaczki pocztowe. Dopiero znacznie później dowiedziała się, że jego życie miało także mroczną stronę. SS-Sturmabführer Bernhard Krüger kierował warsztatem fałszerskim założonym w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Pracowali w nim żydowscy więźniowie, których zadaniem było podrabianie brytyjskich funtów. Akcja przeszła do historii pod nazwą Operacja Bernhard i stanowiła bez wątpienia największe tego rodzaju przedsięwzięcie w historii.

Kim był Bernhard Krüger? Czy starał się chronić swoich „pracowników”, czy też z zimną krwią wysyłał ich na śmierć? Charlotte Krüger w toku pasjonującego śledztwa, podczas którego spotykała się z naocznymi świadkami i przeszukiwała archiwa, rekonstruuje podwójne życie swojego dziadka, by znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania.



Patronat medialny

DO
RZECZYHISTORIA
RZECZY



Rafał A. Ziemkiewicz

Lewica, od dawna starająca się przekonać świat, że Polska wymaga interwencji i „ucywilizowania” przez Oświecony Świat, potraktowała tragiczny, ale banalny w sumie incydent w Elku jako okazję do bicia w największe dzwony

Drugie Jedwabne”, „Polska na skraju pogromu”, „Rasizm w Polsce przybiera na sile”, „Polskie uczelnie coraz bardziej rasistowskie” – to tylko kilka tytułów wykrzyczanych w okresie świątecznym przez gazety i portale. Wszystko to dla przeciętnego Polaka nużące, bo powtarzane od lat przy każdej okazji albo i bez okazji, i jak zwykle luźno się mające do faktów. Przecież jednak nie jest to przekaz do niego kierowany.

Każdy, kim nie kieruje zła wola i zamiar celowego fałszowania rzeczywistości, musi przyznać, że tragiczne wydarzenie jest tutaj wykorzystywane do propagandy w sposób cyniczny i kłamliwy. Po pierwsze – śmierć zadana w bójce czy to z użyciem noża, czy bez niego, to niestety zdarzenie często notowane przez kroniki policyjne. Szczególnie częste podczas imprez masowych, pod klubami, lokalami, gdzie nie brak pijanych bądź odurzonych i okazji do zwady. Na morderstwo w Elku nie zwrócono by zapewne większej uwagi niż np. na niemal równoległy atak nożownika w Krakowie, gdyby tym razem w bójkę nie byli zaangażowani przybysze z Afryki. Tylko że to właśnie oni zamordowali Polaka, a nie odwrotnie, co do narracji o „narastającym rasizmie” zupełnie nie pasuje.

Sztuka propagandy istnieje jednak przecież nie od dziś – z każdej sprawy można wydobyć to, co się chce, jeśli tylko ograniczyć się do pokazania jednej, tej „właściwej” strony zagadnienia. W sieci natychmiast zaroilo się od relacji osób w ten czy inny sposób związanych z miejscem zajścia. W kilku z nich pojawiły się stwierdzenia, że Tunezyjczyk i Algierczyk zatrudnieni przez właściciela już wcześniej zachowywali się w sposób, delikatnie mówiąc, agresywny, wymachując w konfliktowych sytuacjach nożami. Media jednak upodobały sobie tylko jedną – tę, w której na krótko przed zbrodnią



Mimo że sytuacja została szybko opanowana, trąbiono wszem wobec o „antyislamskich zamieszkach”. Na zdjęciu: protest w Poznaniu. FOT. ADRIAN WYKOTA/EAST NEWS

Nowa pałka na Polaków – rasizm



miało w barze przesiadywać jakieś pijane towarzystwo, poniżające imigrantów rasistowskimi obelgami. Niewypowiedziana sugestia, z którą sięgano po tę akurat relację, była oczywista – morderca to tylko biedny człowiek w obcym kraju, któremu w pewnym momencie puściły nerwy, prawdziwymi winnymi są „polscy rasiści”. W fałszywy sposób zrelacjonowano również zbiegowisko i chuligańskie ekscesy, do których doszło potem w miejscu zbrodni. Mimo że sytuacja została szybko opanowana, m.in. dzięki apelowi biskupa Elku, trąbiono wszem wobec o „antysislamskich zamieszkach”, których podłożem miała być jakoby „nienawiść sączona przez prawicę i Kościół”. Wszystko pod z góry założoną tezę: nawet jeśli to imi-

grant zabił Polaka, to trzeba podkreślać, że w Polsce narasta nienawiść i przemoc na tle rasowym i że jest to palący społeczny problem.

Teza „w Polsce narasta rasizm” rozwija się dalej: „z winy PiS”. Wina ta polegać ma na „stwarzaniu atmosfery przyzwolenia” (tu atakuje się rząd za to, że nie zwalcza należycie rasistowskich ugrupowań czy raczej ugrupowań wskazywanych przez lewicę jako rasistowskie – co jest o tyle przewrotne, że jednocześnie ten sam rząd atakowany jest jako nadmiernie represyjny, inwigilujący obywateli etc.) oraz na rzekomym „sprzyjaniu” przez PiS rozwojowi ruchów narodowych na czele z ONR (ani PiS nie ma z nimi nic wspólnego, ani one z żadnym ze stwierdzonych eksce-

sów, które można nazwać rasistowskimi), kultowi żołnierzy wyklętych, a także na głoszeniu treści „antysislamskich”. To ostatnie jest też nieustającym oskarżeniem wobec „prawicowych” mediów, czyli tych, które nie kierują się polityczną poprawnością i nie cenzurują informacji o ekscesach powodowanych w różnych krajach przez imigrantów i o islamskim terrorze.

W kreowanie atmosfery rasistowskich pogromów i zagrożenia odczłowieczają się politycy. O ile przywódców pozaparlamentarnej lewicy można zignorować, o tyle opowiedzenie się po ich stronie Rzecznika Praw Obywatelskich Adama Bodnara jest już niewątpliwym nadużyciem urzędu, który nie powinien być włączany w partyjną propagandę. Rzecznik Bodnar w kilku wywiadach i osobnym oświadczeniu stwierdził, że w Polsce narasta fala ataków rasistowskich i że winę za to ponosi rząd, który odmawia dostrzeżenia problemu. Słowa te doczekały się odpowiedzi na oficjalnym koncie Policji Państwowej w mediach społecznościowych. Przypomniano w niej, że incydenty mające za podłoże „nienawiść na tle rasowym” stanowiły w ubiegłym roku przyczynę ok. 750 interwencji. Zważywszy na to, że ogółem policja interweniowała prawie 80 tys. razy, nie jest to nawet 1 proc. W porównaniu z krajami „starej Unii” problem jest w Polsce praktycznie nieznan.

METODA: DEZINFORMACJA

Medialne narracje nigdy jednak nie opierały się na statystykach. Obrazowo wyjaśniano kiedyś reguły „dyskursu medialnego” następującym przykładem: w ciągu roku rekiny zabijają na świecie kilka osób, natomiast wskutek ukąszeń komarów umiera kilkadziesiąt tysięcy ludzi; mimo to nikt nie boi się komarów i nikt nie nakręci o nich filmu w rodzaju „Szczęk”. Media zawsze starają się odwoływać do tego, co budzi emocje, a nie do zdrowego rozsądku. Kiedy robią to tylko dla oglądalności i dla zysku, można jedynie zżymać się na wilcze prawa wolnego rynku i niszczące debatę publiczną żerowanie na niskich instynktach. Kiedy, tak jak w tym przypadku, używają tego mechanizmu do świadomego szerzenia dezinformacji, po to, by osiągać cele polityczne, trzeba się temu zjawisku przyjrzeć uważniej i zastanowić nad sposobami przeciwdziałania.

Media i politycy obozu III RP w ostatnim roku na wszelkie możliwe sposoby starają się wytworzyć przekonanie, że Polska – jak ujmowały to wprost ich „autorytety” – przypomina weimarskie Niemcy

■ w ostatnich latach przed dojściem Hitlera do władzy. To znaczy, że jest krajem niestabilnym, pogrążonym w głębokim kryzysie gospodarczym i paraliżu demokratycznych instytucji, rozrywanych walkami ulicznych bojówek. Rasistowskie napaści i pogromy są dla tego lewicowego, jakkolwiek go nazwiemy, matriksu czy symulakrum, niezbędnym uzupełnieniem. Dlatego ogłoszone są regularnie bez względu na to, czy trafi się tak wygodny pretekst jak zabójstwo w Elku i zamieszki po nim, czy sprawę trzeba zupełnie, mówiąc fachowym językiem medioznawczym, „wystrugać z banana”.

KŁAMSTWO, ALE SKUTECZNE

Tu znowu narzuca się przykład z ostatnich dni. Pewna blogerka umieściła w sieci przejmującą relację antysemitkiej napaści, której miała paść ofiarą ze swymi żydowskimi przyjaciółmi ze strony kelnerki jednej z warszawskich kawiarni. Rzecz od samego początku wyglądała niezbyt wiarygodnie – czemuż to kelnerka pracująca od dawna w tym lokalu (z powodu lokalizacji często goszczącego cudzoziemców), na którą nigdy nie było skarg, miałaby późną porą dostać antysemitckiego szale i bez przyczyny wyrzucić z lokalu przesiadujących tam od dłuższego czasu gości, krzycząc, że nie będzie obsługiwać Żydów? A jednak patronująca internetowej nagonce na kawiarnię „Gazeta Wyborcza” nawet nie próbowała się zastanowić nad logiką wpisu blogerki. Przeciwno kelnerce i jej pracodawcom skrzyknęto internetową nagonkę (warto zauważyć, że takie internetowe hejty są dzisiejszą formą dawnych pogromów – wystarczy krzyknąć, że „zarżnęli dziewczkę na macę”, a zawsze znajdzie się gotów do działania motłoch, niepotrzebujący pytań, skąd ta przerażająca wieść i na ile jest wiarygodna). Ukoronowaniem błazenady był demonstracyjny najazd na kawiarnię „zwolenników tolerancji” w żydowskich jarmułkach, firmowany zresztą przez byłego ambasadora RP w Stanach Zjednoczonych, Ryszarda Schnepfa.

Relacje innych świadków zdarzenia, wskazujące, że usunięci z lokalu byli zwyczajnie pijani (co potwierdzili policjanci, którzy byli na miejscu już po wyjściu gości z lokalu) i zachowywali się w sposób w pełni uzasadniający decyzję personelu, a ponadto odgrzaali się, że „zgnoją” ten lokal, bo mają znajomych w „Gazecie Wyborczej”, oburzeni „nietolerancją” oczywiście zignorowali. Cóż, można by rzec – zrobiła sobie gazeta „impreskę integracyjną”, o której za kilka dni nikt nie będzie pamiętał.

Tak jednak nie jest. Podobne drobniaki zbierają się w dyskursie publicznym jak szlam. Tu jedno małe kłamstewko, tam drugie, tu manipulacja, tam zupełnie bezpodstawa i niesprawiedliwość, ale „wyrazista” wypowiedź jakiegoś „eksperta” czy „autorytetu” – i powoli zlepią się z nich propagandowy filc. Mało kto zapamięta, że głośne tytuły o „pobicie w akademiku ciemnoskórego studenta” w istocie dotyczyły sprawy, gdy studenci obcokrajowcy pobili się między sobą albo że „rasistowska napaść”, którą spomiędzy innych podobnych zdarzeń wyłuskała gazeta i umieściła na pierwszej stronie, a potem „agregowały” ją liczne portale, media elektroniczne i społecznościowe, okazała się po bliższym przyjrzeniu „zwykłym” napadem rabunkowym, w którym kolor skóry obrabowanego nie miał najmniejszego znaczenia. Można natomiast w dowolnej chwili odwołać się do tych publikacji, nie podając szczegółów, by przytłoczyć odbiorcę liczbą straszliwych, rasistowskich ekscesów, o których donosiły media w danym okresie.

Mamy do czynienia z informacyjną i propagandową wojną

Mający wytknięty cel propagandysta może zawsze odpowiednio użyć materiału. Zamiast powiedzieć, że co tysięczny (!) przypadek pedofilii został zawiniony przez księdza, można skupić się na wybraniu tylko tych potwierdzających linię redakcyjną. Zamiast podać, że ekscesy rasistowskie stanowiły ok. 1 proc. wszystkich przestępstw ubiegłego roku – że nie było tygodnia, by czołowe media o takowych nie donosiły.

Reszta – czyli skuteczność propagandy – zależy tylko od szczelności, z jaką propagandowy przekaz otacza ofiary. Im mniej alternatywnych źródeł wiedzy, im słabszy głos demaskujący nadużycia, tym skuteczność większa. Przykładem służą poprzednie rządy PiS, kiedy to, mając siłę medialnego rażenia dużo większą niż dziś, lewicowe salony wykreowały mit „dusznej atmosfery” i powszechnego zagrożenia „nadużyciami władzy”. Mimo dwóch komisji sejmowych i kilkudziesięciu postępowań prokuratorskich nie znaleziono ani jednego (!) takiego przypadku, a mimo to wiara lewicowych liderów opinii w owe „nadużycia” pozostaje żywa

do dziś, a brak jakichkolwiek konkretnych dowodów w ich przekonaniu tylko tego, że PO „zaniedbała” należne rozliczenia.

Od czasu wyborczego zwycięstwa Andrzeja Dudy i PiS cały „agit-prop” związany z obozem Okrągłego Stołu znowu pracuje według tej samej zasady: pokazywać częstą jako całość. Znaleźć pięciu profesorów i pokazując ich bezustannie w zaprzyżnionych mediach, podkreślać bombastycznymi tytułami, że „środowiska prawnicze” buntują się przeciwko „autorytarnemu zapędowi władzy”. Znaleźć kilku sędziów... Kilku historyków... Kilku aktorów... Kilku studentów... To nic, że mówimy o środowiskach zawodowych liczących w skali kraju po kilkadziesiąt tysięcy osób i prezentowanie głosu kilku z nich, nawet prominentnych w organach korporacyjnego samorządu, jako głosu wszystkich jest oczywistym kłamstwem. To nic, że nawet wśród „pewniaków” obalony układ okazał się mieć tych zdecydowanych politycznych stronników za mało na zrealizowanie planu serii „niezależnych kongresów”, na których miano wypowiadać posłuszeństwo „państwu PiS” – w jedynym „kongresie sędziów” trzeba było wypełnić salę emerytami, a zapis z obrad szybko utajnić. To nic, że bardzo nagłaśniane „newsy” o wygwizdaniu tu czy tam ministra czy prezesa albo o „owacji na stojąco” dla sędziego odnosiły się do sytuacji, gdy w istocie z pełnej sali gwizdało albo klasało kilkanaście czy nawet tylko kilka osób; to nie jest przekaz dla osób skłonnych go sprawdzać.

Kolejne przypadki czysto propagandowych działań mediów identyfikujących się z przegranymi ostatnimi wyborami każą jasno powiedzieć, że mamy z ich strony do czynienia nawet nie z manipulacją, lecz z informacyjną i propagandową wojną, którą wypowiedziały nie tylko prawicy, lecz także całe państwo. Oskarżanie Polski o „problem z rasizmem” jest tylko jednym z wielu sposobów jej realizowania. O tyle charakterystycznym, że w oczywisty sposób pomówienie to obliczone jest nie na polską opinię publiczną, tylko na Zachód. Tam, gdzie problemy rasowe są codziennością, oskarżenia dla przeciętnego Polaka warte wzruszenia ramion traktowane będą z całą powagą. Świadome ich tworzenie z niczego to działanie, które przypomina najgorsze sprawy z naszej przeszłości i każe się zastanowić nad prawnymi możliwościami ukrócenia działań w oczywisty sposób szkodzących państwu polskiemu.

TYGODNIK LUDZIEGA
**DO
RZECZY**

HISTORIA
DO
RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE**
ZAMÓW PRENUMERATĘ NA 2017 ROK

**ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ ROCZNA PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



260 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 33de0ce8c6

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Podobno w Polsce buduje się faszyzm...

DR HAB. PIOTR WAWRZYK: Jeżeli uznamy, że sytuacja, w której rządzący realizują swój program mieszczący się w ramach przepisów prawa i procedur, jest czymś zdrożnym, to rzeczywiście można powiedzieć, że tak jest. Jednak mówiąc poważnie – ja się z taką diagnozą nie zgadzam.

Sprawa Trybunału Konstytucyjnego czy próby ograniczenia dostępu dziennikarzy do relacjonowania obrad Sejmu pana nie przekonują?

W Polsce nie dzieje się nic takiego, co by uprawniało do powoływania się na znane z historii totalitaryzmy. Ja nie rozumiem sformułowań: „mamy autorytaryzm” czy „mamy dyktaturę”. Zwłaszcza kiedy mówią to posłowie opozycji zasiadający w Sejmie, a robią to w mediach, które w żaden sposób nie są przecież z tego tytułu szykanowane. Na czym zatem miałyby polegać ten faszyzm? Wszystkie instytucje państwowe działają na tych samych zasadach, na jakich działają one np. w Niemczech, we Francji czy w Wielkiej Brytanii.

Polak może jednak otworzyć Wikipedię na hasło „faszyzm”, gdzie przeczyta o kulcie państwa, silnym przywództwie. I coś zaczyna mu się kojarzyć...

Gdyby tak traktować sprawę, to z faszyzmem mielibyśmy do czynienia przez osiem lat rządów PO. Nie było wtedy silniejszego polityka niż Donald Tusk. Jednoosobowo mógł podejmować wszystkie decyzje, pod jego dyktando działały wszystkie instytucje państwowe niezależnie od tego, jaki był ich charakter. W PO nie było przecież żadnego polityka ani żadnej frakcji, którzy w jakikolwiek znaczący sposób sprzeciwiliby się polityce Donalda Tuska. To były rządy jednej partii, krótko trzymanej, w której nie było mowy o żadnych głosach poddających wodza krytyce. Mieliśmy tylko jeden taki głos – Jarosław Gowin – który w związku z tym musiał z partii odejść.

Jednak to w odniesieniu do obecnej władzy słyszymy o faszyzmie. Przywołują go politycy, publicyści, a także naukowcy, których trudno posądzić o to, że nie wiedzą, czym był faszyzm.

Problem polega na tym, że słowo „faszyzm” urosło do rangi słowa klucza, symbolu, który ma poniżyć, zdegradować moralnie osoby, które określa się



Z dr. hab. Piotrem Wawrzykiem, politologiem rozmawia Agnieszka Niewińska

Narzędzie do poniżania

tym sformułowaniu. Nie ma bardziej zbrodniczych reżimów w historii świata niż faszyzm i komunizm. Jeśli nazywamy kogoś faszystą, to od razu pojawiają się skojarzenia z Hitlerem i Mussolinim, czyli tymi, którzy mordowali ludzi. I takie skojarzenia ma to wywołać. Tak się dzieje zresztą nie tylko u nas, lecz także we Francji, gdzie tak ostre sformułowania padają wobec Frontu Narodowego, którego akurat nie da się nawet porównać do PiS. W Niemczech i Austrii, które bezpośrednio miały do czynienia z faszyzmem, powiedzenie o kimś, że jest faszystą, to policzek.

U nas jest inaczej?

Polacy nie mają tak emocjonalnego podejścia do polityki. Myślimy racjonalnie, patrzymy na to, co się dzieje, i mamy świadomość tego, że w żaden sposób nie można porównać tego, co się dzieło w krajach faszystowskich czy u nas w czasie wojny pod okupacją, do obecnej sytuacji. Czy w Polsce bije się opozycję? Czy rozpędza się jej wiecie? Wręcz przeciwnie. Policja chroni demonstracje KOD czy partii opozycyjnych. I Polak widzi to, że słowem „faszyzm” żongluje się w celach ściśle politycznych, a nie merytorycznych.

Rzeczywiście, jesteśmy z nim oswojeni i przestaje nas robić wrażenie.

O „kaczym” i „faszyzmie” mówi się w zasadzie od wygrania wyborów przez PiS. Jednak tego rodzaju głosy pojawiały się jeszcze w latach 2005–2007. A im częściej używa się danego słowa, tym łatwiej innym osobom przychodzi jego używanie. W ten sposób ono się zresztą zdewaluowało. Częste używanie radykalnych określeń w odniesieniu do obecnie rządzących ma przekonać krajową opinię publiczną, ale przede wszystkim międzynarodową, że w Polsce dzieje się coś złego. Tyle że to we Francji, a nie w Polsce, na rogatkach czy na lotniskach widzi się żołnierzy z długą bronią.

Lewicowi publicyści twierdzą jednak, że to u nas radykalnie wzrosła niechęć do cudzoziemców. Przywołują zajścia z Elku.

Gdyby do Polski przyjechał obywatel Niemiec i zobaczył, jak się u nas traktuje cudzoziemców, to byłby przekonany, że Polska jest najbardziej tolerancyjnym krajem, jaki zna. To nie u nas, lecz w kra-

jach zachodnioeuropejskich zdarzają się napady na emigrantów. Podpalenia ośrodków, w których przebywają, różnego rodzaju napaści na ulicach czy kampusach uniwersyteckich są codziennością. U nas są one nagłaśniane, ale tak naprawdę zdarzają się sporadycznie. Nie ma powodu, by mówić, że to w Polsce panują: jakiś szczególny radykalizm, rasizm, ksenofobia. Ja bym nawet powiedział, że u nas skala problemu jest mała, choć należy pamiętać, że wynika to także z tego, iż w naszym kraju mieszka stosunkowo mało cudzoziemców obcych nam kulturowo.

Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej” dostrzega jednak, że w ciągu ostatniego roku nastąpił wzrost rasistowskich nastrojów. Uważa, że cudzoziemcy czują się u nas zagrożeni. Obwinia o to polityków prawicy i prawnicze tygodniki opinii.

Niepokój obywateli związany z napływem imigrantów jest faktem, ale to nie działania polityków mają na to

A czy symbolem tzw. krzyża celtyckiego postępują się organizacje mające status nielegalnych, propagujące faszyzm czy komunizm, które są u nas zakazane? Jeżeli to organizacje legalne, to używanie przez nie takiej symboliki jest wyrazem wolności słowa.

Nie uważa pan, że krzyż celtycki jest tożsamy ze swastyką i dlatego posługiwanie się nim powinno być zakazane?

Zgodnie z Europejską Konwencją Praw Człowieka nie jest to symbol zakazany. To rozstrzygnięcie zostawiono państwom członkowskim Rady Europy, więc każdy tego rodzaju przypadek trzeba rozpatrywać indywidualnie. Jeśli zakazemy komuś używania krzyża celtyckiego, to mógłby się on odwołać do Trybunału w Strasburgu, i jeśli wyko-rzystuje go nie w celach propagowania faszyzmu czy rasizmu, to z dużą dozą prawdopodobieństwa Trybunał mógłby uznać, że taki zakaz narusza wolność słowa. To, że Ministerstwo Sprawiedli-

Gdyby tak traktować sprawę, z faszyzmem mielibyśmy do czynienia przez osiem lat rządów PO. Nie było wtedy silniejszego polityka niż Donald Tusk

wpływ. Uprawiany przez nich rasizm czy antyemigrantwo ogranicza się do tego, że nie chcą dopuścić, by u nas pojawiła się duża fala migrantów. To akurat jest pozytywnie postrzegane przez Polaków, którzy oglądają relacje z zagranicy, przeglądają Internet. Docierają do nich informacje np. o tym, że w Szwecji w związku z napływem migrantów liczba niektórych przestępstw wzrosła o kilkaset procent. Słyszą o fali przestępstw dokonywanych przez imigrantów w Niemczech, Austrii czy we Francji, o zamachach terrorystycznych. Nic więc dziwnego, że jesteśmy przekonani o tym, że ze strony imigrantów może nam coś grozić, że powinni być pod większym nadzorem. Gdyby we Francji – tak jak w Elku – z rąk imigranta zginął młody chłopak, skala zamieszek byłaby dużo większa.

Nie niepokoi pana, że Ministerstwo Sprawiedliwości nie chce zakazać używania krzyża celtyckiego ani napisu: „White pride”? Zwrócili się o to posłowie PO, argumentując, że w Niemczech i we Francji symbol jest zakazany.

wości nie widzi powodu, by zakazać używania krzyża celtyckiego, nie jest argumentem świadczącym o rasizmie, faszyzmie ani ksenofobii rządu.

Mówił pan, że określenia „faszysta” czy „rasista” już się zgrały. Przestaniemy nimi szafować w debacie publicznej?

Nie sądzę, bo to już w nią wrosło. Jednak im dłużej to trwa, tym mniejszą przywiązujemy do tego wagę. Gdyby Polacy rzeczywiście uważali te zarzuty pod adresem PiS za poważne, ta partia nie wygrałaby wyborów. Była premier Ewa Kopacz z trybuny sejmowej mówiła do PiS, że jest partią ksenofobiczną i rasistowską, a PiS i tak wygrał wybory, ponieważ Polacy nie postrzegają tak partii rządzącej. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Wawrzyk jest doktorem habilitowanym Uniwersytetu Warszawskiego, wykładu w Instytucie Europeistyki. Pracował m.in. w Biurze Komisji Sejmowych Kancelarii Sejmu RP, Zespole Prawnym Departamentu Integracji Europejskiej Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Uczestniczył w negocjacjach akcesyjnych RP do UE.

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Dla socjologa to muszą być ciekawe czasy. Może pan obserwować, jak powstaje totalitaryzm. A konkretnie „kaczyzm”, czyli odmiana faszyzmu, bo tak ostatnio zdiagnozował sytuację w Polsce prof. Roman Kuźniar.

MICHAŁ ŁUCZEWSKI: Polska to kraj dla socjologów i to nie tylko teraz, lecz także przez ostatnie stulecia. A to dlatego, że idziemy bardzo unikatową drogą, która nas odróżnia zarówno od Wschodu, jak i od Zachodu. I jest to droga kultury, a nie faszyzmu. W Polsce państwo zawsze było słabe. I dalej jest. Z jednej strony nie potrafi porządzić sobie z obstrukcją sejmową, a z drugiej – opozycja nie potrafi się przeciw niemu porządnie zbuntować. Jakie państwo, taki pucz. Zresztą w samej zbitce kaczysz-faszyzm pobrzmiewa ironia. W faszyzmie nie ma przecież nic śmiesznego, w państwie faszystowskim nie rządziła żadna kaczką, tylko żelazna pięść. Dla mnie ciekawsze jest pytanie: Dlaczego określenie „faszyzm” wraca z takim natężeniem?

Protestujący przeciw polityce rządu od razu by odpowiedzieli, że wraca za sprawą Jarosława Kaczyńskiego.

Dla mnie używanie słowa „faszyzm” to nie jest ani diagnoza tego, co się dzieje w Polsce, ani diagnoza tych, wobec których to określenie jest stosowane. To raczej jest klucz do zrozumienia ludzi, którzy stosują to pojęcie. Tu bym się odwołał do Marii Janion i używanego przez nią fantazmatu. Faszyzm jest takim fantazmatem. Janion mówi, że fantazmat to mityczne wyobrażenie, w którym wyrażają się nasze niezrealizowane pragnienia. Tak jak mówi się czasem, że Polska jest krajem antysemityzmu bez Żydów, a nawet – patrząc na dane – antysemityzmu bez antysemitów, tak można powiedzieć, że jest też krajem antyfaszystów bez faszystów. Przecież u nas działalność partii odwołujących się do faszyzmu jest zakazana przez prawo.

To dlaczego w debacie publicznej oponenci rządzących sięgają po określenia „faszyzm” czy „bolszewizm”?

Ponieważ są one elementami gry politycznej, a nie pojęciami, które opisują rzeczywistość.

To takie samo narzędzie jak spot wyborczy, zakulisowe gry polityczne i blokowanie mównicy?

To jeden z instrumentów, choć pusty. Nie wiadomo, do czego się odnosi, ale jasne jest, że do przeciwników. Zresztą mówienie „faszyzm, faszyzm” ma coraz mniejszą siłę rażenia, bo jeśli straszymy faszyzmem,



Z dr. Michałem Łuczewskim, socjologiem
rozmawia Agnieszka Niewińska

Tęsknoty za barbarzyństwem



FOT. LECH GAWLIK/REPORTER

a jednocześnie jedziemy na Maderę, oznacza to, że nie traktujemy serio własnych słów. Nawet ludzie, którzy grają w tę grę, nie do końca w nią wierzą

Skoro nie wierzy się w tę grę, to po co się ją w ogóle podejmuje?

Jakie społeczeństwo mówi cały czas o faszyzmie, mimo że faszyzmu nie ma? Moim zdaniem jest tam – znów odwołując się do Janion – pragnienie. I to perwersyjne pragnienie faszyzmu. Porównałbym to z tym, co pisał grecki poeta Konstandinos Kawafis o barbarzyńcach – że byłiby oni jakimś rozwiązaniem. Przez tych, którzy mówią o faszyzmie, jest on w jakiś sposób upragniony, bo gdyby pojawili się faszyści, to nadaliby naszemu rozpadającemu się mieszczańskiemu światu jakiś heroizm, jakiś cel, byłby powód do prawdziwej walki dobra ze złem. Jednakże mówienie o faszyzmie pozwala nam naszego pragnienia nie zauważać i projektować je na wrogów. Dzięki niemu wreszcie nie musimy myśleć o swoich własnych grzechach i słabościach. O małych i większych zdradach.

Są bowiem ważniejsze sprawy.

W imię których można pozwalać sobie na nieuczciwość, oszustwa albo np. niepłacenie alimentów. Jacek Żakowski twierdził, że rodzina i dzieci Matusza Kijowskiego muszą cierpieć, gdy on idzie na wojnę. Widmo faszyzmu pozwala nam łamać elementarne zasady przyzwoitości.

Jako dowód na faszyzm czy rasizm władzy lewica podaje rosnącą niechęć Polaków do cudzoziemców.

Badania CBOS pokazują, że niechęć do przyjmowania uchodźców radykalnie wzrosła – niemal dwukrotnie między latem 2015 r. a latem 2016 r.

Widzi pan tu winę prawicowych polityków, prawicowych tygodników opinii – jak oceniają to publicyści „Krytyki Politycznej”?

Mówiąc o uchodźcach, też wróciłbym do fantazmatów. My cały czas sobie coś wyobrażamy: że idę w Marszu Niepodległości i nienawistnie na mnie patrzą. Jadę tramwajem i wyobrażam sobie, że jestem żydowskim dzieckiem, na które ktoś źle patrzy. To cały czas są wyobrażenia i spór toczy się właśnie na poziomie tych wyobrażeń, a nie realnych konfliktów. Tak jest w Polsce z uchodźcami, bo przecież ich realnie tu nie ma. Nie mamy z nimi żadnego kontaktu, więc co możemy robić? Tylko snuć jakieś wyobrażenia.

Czytamy prasę, oglądamy telewizję. Wielu z nas ma obawy, że trudna sytuacja w związku z rosnącą liczbą muzułmanów we Francji czy w Niemczech mogłaby się powtórzyć i u nas.

Jedną z przyczyn porażek PO jest to, że partia ta nie doceniła wzrastającej niechęci wobec przyjmowania uchodźców. To ta sprawa spolaryzowała wyborców, to w tym fantazmacie skupiły się inne kwestie: polityczne, ekonomiczne i światopoglądowe. Jeśli już jednak mówimy o jakichś obawach, to boją się dwie strony. I ci, którzy nie chcą przyjmować uchodźców, i ci, którzy przyjmować ich chcą. Ci ostatni nie mówią o trudnościach ani zagrożeniach z tym związanych. We Francji przestało się nawet podawać dokładną liczbę zamieszkujących kraj muzułmanów. W Niemczech nie określa się pochodzenia sprawcy przestępstwa, jeśli jest to muzułmanin. Jest tu analogia do średniowiecza, kiedy obawiano się wymawiać nazwy tego, co powodowało strach. Takim słowem była wtedy „dżuma”. W politycznej poprawności słyszę echo tego dawnego, pierwotnego strachu. Wszyscy się boimy, zamiast rozmawiać i wspólnie zastanowić się, co zrobić. Są przed nami trzy drogi. Jedna – i tak rozumiem politykę Kaczyńskiego lub Orbána – to odcięcie się, zaostrzenie i egzekwowanie prawa, deportacja osób przebywających nielegalnie, tak, by nie doprowadzić do chaosu. Druga droga jest paradoksalna. To jeszcze większe otwarcie, przyjmowanie jeszcze większej liczby uchodźców. Żeby opanować chaos, zwiększamy chaos. Proponował to np. Soros. Mechanizmem, który w takim stanie prowadzi do odzyskania porządku, jest – o czym się woli nie pamiętać – znalezienie ofiary, którą uczynimy za ten chaos odpowiedzialną. Dopiero jej eliminacja przywraca pokój. Jeśli wybierzemy tę opcję, to kożłem ofiarnym staną się moim zdaniem chrześcijanie. Paradoks polega na tym, że to właśnie oni sformułowali jedyną drogę rozwiązania kryzysu. To droga Jana Pawła II i Franciszka. Przyjmowanie ludzi nie w wyobrażeniach, ale w parafiach, pomaganie na miejscu, korytarze humanitarne.

Zwolennicy przyjmowania uchodźców odwołują się właśnie do chrześcijańskich wartości.

Co jest swego rodzaju perwersją, bo zazwyczaj Kościół jest dla nich symbolem wszelkiego zła, faszyzmu. Powołują się na chrześcijaństwo, ale biorą pod uwagę tych dalszych bliźnich – uchodźców, a przecież powinni też wziąć pod uwagę swoich

sąsiadów, którzy się boją. Dlaczego mam mieć więcej empatii wobec uchodźców niż wobec tych, którzy mieszkają na tej samej ulicy? Można tu mówić o paradoksie Majcherka, bo to Janusz Majcherek pyta: Jak to jest, że każe się nam teraz przyjmować uchodźców, którzy reprezentują jeszcze bardziej ksenofobiczny punkt widzenia, niż ten, z którym walczyliśmy? Muzułmanie są jeszcze bardziej „dewocyjni”, „zamknięci” niż katolicy, z którymi walczyliśmy w Polsce lewica. Ich kultura – jak pisze Majcherek – ma znacznie więcej ciemnych stron niż zniechęcające Radio Maryja.

Zamysł nie jest taki, by islamem wykorzeni chrześcijaństwo?

Islam reprezentuje prawo i zamknięcie, społeczeństwa liberalne – coraz częściej przekroczenie i transgresje. Połączyć je może jedynie wspólna ofiara, tj. ekspulsja chrześcijaństwa. Bo chrześcijaństwo jest dla nich innym, z którego się wywodzą i którego zwalczają. Pokazuje inną drogę, tzn. uznanie się wzajemnie za osoby obdarzone godnością. Dobrze byłoby to sobie w Polsce przypomnieć.

Nie martwi pana to, że dzielimy się do tego stopnia, iż nie potrafimy już ze sobą rozmawiać?

Jesteśmy krajem pełnym paradoksów. Ja te paradoksy jako socjolog po prostu chcę rozwiązywać. Dlaczego ludzie najbardziej tolerancyjni często są najbardziej brutalni? Dlaczego w imię pokoju i niedzielenia Polaków, dzielimy się i walczyliśmy? Dlaczego Janusz Majcherek ma się zachwycać islamem? Jak to jest możliwe, że ktoś płacze nad krowami, które prowadzi się na rzeź, ale prowadzi na rzeź swoje dziecko? Jesteśmy rozchwiani i dzicy. W każdej chwili możemy popaść w chaos. Dlatego powinniśmy sobie narzucić granice, wskazać rzeczy, których nie robimy. Na przykład nie szukamy w innych faszyzmu. A jeśli faszyzmu szukamy, to najpierw u siebie. Jednym ze sposobów na kanalizowanie emocji jest śmiech, innym odbicie jakiejś wspólnej żaloby – po wspólnocie, po tym jak zbudowaliśmy Solidarność. Razem: lewicowcy i prawicowcy, Michnik i Macierewicz. Konflikt między nami jest skutkiem tego, że płaczemy nad innymi, a nie nad sobą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Michał Łuczewski jest adiunktem w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego i zastępcą dyrektora Centrum Myśli Jana Pawła II.



Kamila Baranowska

Finał sejmowego protestu to klęska opozycji – podzielonej i nieskutecznej. Protest zawieszono, nie uzyskawszy niczego w zamian. PiS osiągnął to, co chciał: zatwierdził ustawę budżetową i doprowadził do odblokowania sali sejmowej

Pan Bóg nam sprzyja – miał zażartować Jarosław Kaczyński, komentując poczynania opozycji. Słowa padły podczas posiedzenia klubu PiS, które zwołano we wtorek wieczorem. Czyli tuż przed mającymi się rozpocząć następnego dnia kluczowymi obradami Sejmu i po kilku turach negocjacji, które nie zakończyły się porozumieniem.

Gdy prezes PiS wypowiadał te słowa, nie wiedział jeszcze, jaki będzie finał kryzysu parlamentarnego – że opozycja zakończy swój protest skłócona, podzielona i ośmieszona brakiem skuteczności. Grzegorz Schetyna, ogłaszając zawieszenie protestu, tłumaczył, że sukcesem jest przywrócenie dziennikarzy do Sejmu, ale chyba nikogo nie przekonał. Zwłaszcza że dziennikarzy przywrócono dużo wcześniej, a głównym postulatem Platformy było od jakiegoś czasu powtórzenie głosowania nad budżetem, do czego doprowadzić się nie udało.

WOLTA PETRU

11 stycznia, czyli w dniu, w którym miało się odbyć pierwsze w nowym roku posiedzenie Sejmu, budynek parlamentu przypominał twierdzę. Policyjne wozy, barierki. Spodziewano się powtórki z 16 grudnia, gdy tłum przeciwników PiS przez wiele godzin blokował posłom tej partii wyjście z Sejmu. Kancelaria Sejmu była przygotowana na konieczność przeniesienia posiedzenia do Sali Kolumnowej – dostawiono krzesła, zainstalowano większą liczbę kamer i zamówiono przenośne maszyny do głosowania. Andrzej Grzegorzka z Kancelarii Sejmu przekonuje jednak, że ten scenariusz był traktowany jako ostateczność i marszałek Sejmu działał tak, by nie musieć z niego korzystać.

Dlatego od rana trwały rozmowy, które miały doprowadzić do zakończe-



Opozycja w

nia sporu i odblokowania sali plenarnej, a przy okazji pozwolić wszystkim wyjść z tego konfliktu z twarzą.

Wcześniej fiaskiem zakończyły się rozmowy zainicjowane przez marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego. Wzięli w nich udział liderzy partii parlamentarnych – z wyjątkiem Schetyny, który postanowił rozegrać to po swojemu i widząc, że do rozmów z Kaczyńskim siada Ryszard Petru, ustawił się w kontrze, kreując siebie na jedynego lidera antypisowskiej opozycji totalnej. Gdy po rozmowach Petru zadeklarował, że Nowoczesna nie będzie blokować

mównicy w Sejmie i zgadza się na tzw. wariant senacki, Schetyna jeszcze bardziej utwardził stanowisko. – Żałuję, że nie doszło wtedy do porozumienia, bo wariant senacki był naprawdę dla wszystkich dobrym rozwiązaniem – mówi „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL. – Mam żal do PiS, że za późno zdecydował się na negocjacje, i do Platformy, że niepotrzebnie utwardzała swoje stanowisko, skupiając się na rozgrywaniu Nowoczesnej, a nie zażegnaniu kryzysu.

Wariant senacki wydawał się kompromisem, który wszystkim pozwala



ruinie

Po czterech tygodniach okupowania mównicy w Sejmie opozycja przerwała protest

FOT. GRAŻYNA MYŚLIŃSKA / FORUM

wyjść z twarzą. Zakładał przegłosowanie w Senacie poprawek do ustawy budżetowej, tak by wróciła ona do Sejmu. W Sejmie odbyłyby się wówczas: debata budżetowa, której w poprzednim, zbojkotowanym przez opozycję posiedzeniu zabrakło, i ponowne głosowanie w normalnych warunkach. W zamian opozycja miała wycofać się z okupowania sali plenarnej i mównicy.

Drugiego dnia rozmów Ryszard Petru nagle zmienił zdanie i stwierdził, że wariant senacki jednak go nie satysfakcjonuje. – Nie ma możliwości porozumienia, bo PiS uważa, że to, co się stało w Sali

Kolumnowej, było zgodne z prawem – oznajmił, wprawiając w osłupienie polityków, którym dzień wcześniej mówił co innego.

– Zachował się jak amator, który ugina się pod naciskiem kilku krytycznych komentarzy. Gdyby wtedy nie stchórzył, to on byłby ostatecznie górą – komentuje jeden z ważnych polityków PiS. – Platforma zostałaby wówczas postawiona pod ścianą, trudno byłoby jej samotnie protestować, gdy reszta opozycji jest przeciwko. Petru mógłby zaś odrzucić sukces w postaci rozwiązania kryzysu – zauważa.

Petru przestraszył się reakcji własnych działaczy i sympatyków, dla których w ciągu jednego dnia do rangi bohatera urósł lekceważony dotąd Schetyna. „A więc Nowoczesna wystawiła »zjednoczoną opozycję« do wiatru i za plecami PO dogadała się z PiS. Zwykła zdrada, to gorsze niż Madera” – grzmiał Tomasz Lis. W podobnym tonie wypowiadały się inne antypisowskie autorytety.

CZEGO ŻĄDAŁ SCHETYNA

11 stycznia negocjacje przeniosły się do Sejmu. Na decyzję, co dalej, czekał Senat, który miał tego dnia zajmować się ustawą budżetową.

Od uczestników rozmów słyszymy, że Jarosław Kaczyński był gotowy do ustępstw. Chciał, by sprawa budżetu była jasna oraz niekwestionowana przez opozycję i zależało mu na normalizacji sytuacji w parlamencie. Pojawiła się propozycja przyjęcia przez Sejm uchwały na temat wydarzeń z 16 grudnia. Sęk w tym, że Kaczyński nie chciał się zgodzić na sformułowania o nielegalności budżetu, przy których miał upierać się Schetyna. Lider PO nie zgadzał się z kolei na zdania o legalności budżetu, które proponował Kaczyński. Wtedy pojawił się pomysł kompromisowej wersji uchwały o kontrowersyjnych okolicznościach uchwalenia budżetu w Sali Kolumnowej. Kaczyński był gotów przystać nawet na to, by zapisać w niej apel do prezydenta o skierowanie ustawy do Trybunału Konstytucyjnego. W zamian Platforma miała zrezygnować z postulatu reasumpcji głosowania i przystać na wariant senacki. Schetyna te propozycje odrzucił.

– W pewnym momencie dla wszystkich było jasne, że Schetyna nie chce żadnego porozumienia, że prowadzi własną grę polegającą na grillowaniu Petru i pokazywaniu światu, kto jest prawdziwym, nieugiętym liderem opozycji – uważa jeden z uczestników rozmów. – Licytował, licytował, aż przelicytował. Kaczyński okazał się sprytniejszy.

Prezes PiS, widząc, co się dzieje, odpuścił dalsze rozmowy. Senat przyjął budżet bez poprawek, co kończyło dywagacje o tzw. wariancie senackim. Parlamentarne prace nad ustawą dobiegły końca, ustawa miała lada chwila trafić do prezydenta. W tym samym czasie marszałek Kuchciński rozpoczął obrady 34. posiedzenia Sejmu, by po pięciu minutach zarządzić przerwę. Po co to zrobił? W momencie formalnego rozpo-

częcia 34. posiedzenia Sejmu postulat reasumpcji głosowania wysunięty przez Platformę tracił rację bytu, głosowanie można powtórzyć tylko w trakcie tego samego posiedzenia. Kaczyński wytrącił opozycji z ręki argument, że wciąż trwa 33. posiedzenie, które nie zostało zakończone.

PLATFORMA PRZELICYTOWAŁA

W tej sytuacji protest w sali sejmowej stał się całkowicie bezprzedmiotowy. Następnego dnia Schetyna po licznych naradach z własnym klubem i zarządem partii ogłosił zawieszenie protestu, co zostało odebrane jako kapitulacja. – Mówiłem Grzegorzowi Schetynie, że trzeba szukać innych rozwiązań, on powiedział, że wejdzie na trybunę, no to wlaź i zlaź – komentował nie bez satysfakcji lider Nowoczesnej.

– Protest kończyć się wtedy, gdy można ogłosić zwycięstwo. PSL zrezygnowało z niego tuż po świętach, gdy dostaliśmy obietnicę, że media będą obecne w Sejmie na starych zasadach. Wiedzieliśmy, że nie ma sensu dalej w to brnąć – zauważa w rozmowie z „Do Rzeczy” Kosiniak-Kamysz.

– Dobrze, że protest się zakończył. Politycy przez miesiąc urządzali kpiny z Sejmu i nadużywali nerwów Polaków. Teraz wracamy do punktu wyjścia i normalnej pracy w parlamencie – dodaje Stanisław Tysza, wicemarszałek Sejmu (Kukiz'15).

Politycy Platformy przekonują, że Schetyna, stawiając dziś na pierwszym miejscu walkę z Petru, powtarza manewr Kaczyńskiego, gdy ten był w opozycji – chce oczyścić sobie teren i pozbyć się konkurencji. Ma do tego na karku wewnątrzpartyjną opozycję, która dała o sobie znać przy okazji protestu. To młodzi posłowie PO, tacy jak Sławomir Nitras i Agnieszka Pomaska, domagali się nieustępliwości i zdecydowanych działań. Podobają się twardym antypisowskim wyborcom, którzy są dziś najbardziej widoczni w Internecie i na marszach KOD, ale to nie dzięki nim Platforma wygrywała wybory. A „młodym, wykształconym, z dużych ośrodków” niekoniecznie musi się podobać awanturnictwo wymieszane z groteską.

– Słabość Schetyny we własnej partii widać było najbardziej wtedy, gdy nerwowo zwoływał kolejne posiedzenia klubu, zarządu, z którymi musiał uzgadniać każdy szczegół. Nie mógł sobie pozwolić na decyzję bez konsultacji, bo ryzykowałby bunt na pokładzie – opowiada jeden

z posłów PiS. – My mieliśmy jedno posiedzenie klubu we wtorek przed rozpoczęciem obrad Sejmu, gdzie rozmawialiśmy o różnych wariantach oraz scenariuszach, i to wystarczyło – dodaje.

Podczas posiedzenia klubu w PiS pojawiły się głosy, by zdecydowanie rozprawić się z opozycją blokującą Sejm, nie bacząc na straty wizerunkowe. Na to nie zgodził się jednak Kaczyński. Przekonywał, że nie wolno dać się sprowokować do takich działań. Przy czym zastrzegł, że „absolutnie nie może być zgody na anarchizację parlamentu” ani „nie może mniejszość rządzić większością”. – Dobrze, że okupacja się skończyła, natomiast muszą być wyciągnięte wnioski, i te dotyczące wydarzeń, które za nami, czyli tych wszystkich deliktów regulaminowych, i te dotyczące kwestii prawno-karnych, które miały miejsce – powiedział Jarosław Kaczyński po zakończeniu protestu przez PO. – Trzeba wyciągnąć

Schetyna po licznych naradach z własnym klubem i zarządem partii ogłosił zakończenie protestu, co zostało odebrane jako kapitulacja

wnioski na przyszłość, trzeba tak przebudować Regulamin Sejmu, aby tego rodzaju operacje były bardzo, bardzo utrudnione – podkreślał. Kolejną próbę kontynuowania politycznego sporu podjętą przez PO, czyli wniosek o odwołanie Kuchcińskiego, nazwał „nieracjonalną, jeśli nie kabaretową”.

Marszałek Kuchciński zapowiedział dwutygodniową przerwę w obradach Sejmu, potrwa do 25 stycznia. Chodzi o obniżenie emocji. Na to zgodzili się przedstawiciele wszystkich partii. Chociaż nie wszystkim się to podoba. – Straciliśmy już wystarczająco dużo czasu, nie ma sensu marnować więcej. Co by było, gdyby podatnicy zrobili sobie przerwę? – pyta Stanisław Tysza z Kukiz'15.

OPOZYCJA NIEZADOWOLONA

Zdaniem opozycji zakończenie protestu nie kończy wcale pytań o legalność budżetu. – Uważamy dalej i będziemy o tym mówić, że budżet jest przyjęty w sposób wadliwy, że tak naprawdę jest nielegalny – stwierdził Schetyna.

– Apelujemy do prezydenta Dudy, żeby go nie podpisywał, bo jeżeli będzie sankcjonował procedurę legislacyjną, która łamie prawo, będzie także stawiał siebie w przyszłości w świetle odpowiedzialności za tę decyzję – ostrzegali.

Prezydent zgodnie z konstytucją nie może nie podpisać budżetu, może go za to skierować do Trybunału Konstytucyjnego.

Własny wniosek do Trybunału o zbadanie sposobu uchwalenia budżetu chce skierować Nowoczesna, a PSL zwróciło się o opinie do Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego.

– Najbliższe dni pokażą, jak te wydarzenia ocenią Polacy i komu w tym sporze przyznają rację. Mam nadzieję, że uda nam się ich przekonać, iż działaliśmy zgodnie z prawem i uchwaliliśmy budżet w sposób legalny, mimo że opozycja robiła wszystko, by nam w tym przeszkodzić – mówi „Do Rzeczy” Krzysztof Łapiński z PiS.

A Stanisław Tysza dodaje: – Jeśli chodzi o budżet, to jest oczywiste, że regulamin Sejmu został złamany przez blokowe głosowanie nad poprawkami. Jednak z czysto formalnego punktu widzenia nie da się podważyć jego legalności. Może to zrobić jedynie Trybunał Konstytucyjny. Problem w tym, że Trybunał jest tak upartyjnowany, iż jego orzeczenie trudno będzie traktować jako wiarygodne. Ta sytuacja pokazuje, jaki problem mamy z konstytucją i państwem na poziomie systemowym. Każdy kolejny kryzys będzie powodował podobne problemy.

Pytając polityków różnych partii o podsumowanie tego, co wydarzyło się w ostatnich dniach, można często usłyszeć, że „wiele musiało się wydarzyć, by wszystko zostało po staremu”. To przytyk do tego, że spór polityczny wraca na utarte tory – PiS kontra Platforma, a mniejsi idą w odstawkę. Dla obu stron to wygodna sytuacja, co pobudza polityków pozostałych partii opozycyjnych do spekulacji na temat zawartego w tajemnicy porozumienia między Schetyną a Kaczyńskim. Cel? Rozegrać Petru i skomplikować sprawę liczącemu być może na powrót do Platformy Tuszkowi. Nawet jeśli spekulacje te mają się nijak do rzeczywistości, to dobrze oddają stan opozycji. Kompletny brak zaufania, podejrzliwość i niechęć do jakichkolwiek wspólnych przedsięwzięć. Jarosław Kaczyński może z jeszcze większym uśmiechem mówić, że jeśli chodzi o opozycję, to niebiosy mu sprzyjają.



**Z Ryszardem Czarneckim, europoseł PiS,
wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego**
rozmawia Marcin Makowski

Unia to jeszcze nie „Titanic”

MARCIN MAKOWSKI: Ponad rok temu na Monachijskiej Konferencji Polityki Bezpieczeństwa jeden z prowadzących zażartował, że sukcesem będzie, jeśli Unia przetrwa do następnych obrad. Stało się, czyli mamy sukces.

RYSZARD CZARNECKI: Czasami mam wrażenie, że z Unią jest jak z Markiem Twainem. Pogłoski o jej śmierci są mocno przesadzone. Owszem, politycznie jest to trudny czas dla Europy, ale projekt zjednoczeniowy ma nadal powab dla krajów takich jak Ukraina, Gruzja, Serbia, Albania, Czarnogóra, Macedonia... Za szybko spisujemy go na straty.

Wspomina pan o Ukrainie, ale przecież to scenariusz, który coraz bardziej się oddala.

Tygodnik „Politico” ocenia szansę na jej akcesję na ok. 20 proc., a może się to stać nie wcześniej niż przed 2035 r. Gdy to zobaczyłem, uśmiechnąłem się, bo pamiętam, jak w wywiadzie w listopadzie 2013 r. powiedziałem, że Ukraina wejdzie do Unii nie wcześniej jak za 20–25 lat. Wtedy mało kto w to wierzył, uważano mnie za pesymistę. Dlaczego o tym mówię? Bo dzisiaj musimy być przede wszystkim eurorealistami. Jest źle, ale nie katastroficznie. Unia to jeszcze nie „Titanic”.

Czy zaryzykuje pan zatem stwierdzenie, że miniony rok był najgorszym w historii UE?

Na pewno jednym z najgorszych, ale te poprzednie bardzo źle nie miały nad sobą swoistej imigracyjnej gilotyny, jaką obserwujemy dziś. Z pewnością powaga i prestiż Unii zostały naruszone Brexitem, szczególnie z perspektywy zewnętrznej, tj. relacji z USA, Chinami

czy Rosją. Również wewnątrz Unii po raz pierwszy na taką skalę zaczęto wątpić w sensowność samego projektu. To może być swego rodzaju „breaking point”, który w wyborach za prawie 2,5 roku zaowocuje najbardziej antyunijnym europarlamentem w historii. Niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę, ale już w tej chwili spośród 750 europosłów ok. 100 to wyrażni euronegatywiści. W tej chwili są podzieleni, ale to się może zmienić.

W Unii najwięksi płatnicy netto coraz mocniej „dociskają budżet” pod presją swoich eurosceptyzujących się obywateli

Malta pokieruje pracami Rady UE w pierwszym półroczu 2017 r. Przed nią wiele wyzwań: zarządzanie kryzysem migracyjnym, napięciami w polityce zagranicznej i negocjacjami w sprawie Brexitu. Sądzi pan, że tak małe państwo udźwignie ten ciężar?

Mam wielki szacunek dla tego dumnego katolickiego narodu. Wiele razy byłem na wyspie i szanuję Maltańczyków, niestety w tej sytuacji można powiedzieć: „Miej proporcję, mocium panie”. Jest rzeczą oczywistą, że ta prezydencja będzie się odbywała pod dyktando największych graczy. Oczywiście każdy kraj wnosi do swojej kadencji jakiś wkład, np. Węgry – strategię naddunajską, ale poza akcentami Malta niewiele będzie mogła zrobić.

Pytanie, na ile znacząca będzie ta kontrola w sytuacji wewnętrznych przetasowań we Francji czy w Niemczech?

Cykl wyborczy nie będzie miał dużego znaczenia dla stopnia samodzielności Malty. Jeśli pyta pan o prognozy, to choć wiadomo, że nowym prezydentem RFN będzie Frank-Walter Steinmeier, to wynik wyborów do Bundestagu nadal stoi pod znakiem zapytania. Dominacja CDU-CSU jest niezachwiana, kanclerz Merkel może myśleć o kolejnej kadencji, ale nie jest powiedziane, z kim będzie tworzyć rząd. Ponownie z SPD? A może powstanie koalicja czarno-zielono-żółta, tj. CDU-CSU-Zieloni-FDP? Po raz pierwszy istnieje, teoretyczna raczej, szansa na czerwono-zielono-czerwony sojusz SPD, Die Linke i Partii Zielonych. Jeśli chodzi o wybory prezydenckie we Francji, to w przeciwieństwie do liberalnych mediów uważam, że są one już rozstrzygnięte i wygra je François Fillon. Wracając do punktu wyjścia – nadchodzące półrocze to czas przetasowań i wszyscy musimy zadać sobie w Unii pytanie: „Czy leci z nami pilot”? Jednak bez względu na obrany kierunek to nie Malta będzie trzymać za stery.

Czyli mamy konflikt wyzwań wewnętrznych z zewnętrznymi, przy jednoczesnym kryzysie tożsamości europejskiej. Tymczasem Unia w ramach swoich priorytetów na 2017 r. nie zwalnia tempa. Migracja, walka z unikaniem płacenia podatków, walka z terroryzmem, wspólny rynek cyfrowy. Nie za dużo naraz?

Odpowiem panu francuskim bon motem: „Jak ktoś za dużo bierze, to źle ściska”. Faktycznie – jeśli ktoś ma zbyt

■ wiele priorytetów, to nie ma żadnego. Niestety, w Unii nadal panuje myślenie życzeniowe, liczy się opakowanie towaru, a nie jego zawartość. W tej żonglerce wyzwań na obecny rok widzę chęć zaspokojenia różnych lobby, zamiast skupić się na projektach, które da się ukończyć, a pochwalić się powierzchownym sukcesem.

Od razu powierzchownym. Na początku roku zaplanowano głosowanie nad nową dyrektywą o zwalczaniu terroryzmu. Wreszcie skończy się fala ataków w Niemczech.

Rozumiem, do czego pan zmierza, ale tutaj pana zaskoczę. Podobne zabiegi są pożyteczne o tyle, o ile towarzyszą im równocześnie podejmowane konsekwentnie i na szeroką skalę działania, które ograniczą źródła terroryzmu. Unia musi stanąć twarzą do lustra i powiedzieć sobie jednoznacznie, że dotychczasowa polityka migracyjna nadaje się wyłącznie na śmietnik.

Bruksela dojrzała w tej kwestii do realnych działań?

Obawiam się, że nie. Ta świadomość jest coraz silniejsza w poszczególnych krajach Unii, co widać choćby po duńskim referendum z grudnia 2015 r., w którym opowiedziano się za zaostrzeniem polityki migracyjnej, i po zapowiedziach Szwecji o wyrzuceniu kilkudziesięciu tysięcy imigrantów. Pod tym względem państwa narodowe kierują się większym pragmatyzmem, a Bruksela nadal jest zakładnikiem własnych zakłęb i chciałaby być dobrą mamą dla wszystkich imigrantów. Jeśli wraz ze wspomnianymi przez pana dyrektywami zmieni się realna polityka, to będziemy bliżsi rozwiązywania problemu.

Jest jeszcze jeden unijny priorytet obecnego roku – reforma systemu handlu uprawnieniami do emisji gazów cieplarnianych. Czy z perspektywy Polski mamy się czego obawiać?

Jestem skrajnie sceptyczny co do tych pomysłów. One są może dobre dla starej Unii, grup ekologów i firm, które oferują alternatywne źródła energii. Bogaci myślą, że jeśli pozamykali kopalnie węglowe, to nie ma problemu. Pod tym względem Unia musi wrócić do wewnętrznej solidarności, a nie wymuszać swoje stanowiska, także te dotyczące energetyki, przegłosowując część krajów.

wodniczący PE, rezygnuje z chęci kandydowania na stanowisko kanclerza Niemiec. Szykowany jest za to na szefa MSZ. Potwierdza pan te spekulacje?

Tak, to efekt niejawniej umowy koalicyjnej, która została zawarta w Berlinie kilka tygodni temu, gdzie podzielono stanowiska w ewentualnym przyszłym rządzie. W tej układance Sigmar Gabriel zachowa również stanowisko wicekanclerza i przewodniczącego SPD, ale wystartuje do wyścigu o stanowisko Merkel. To porozumienie zawierało zgłoszenie Martina Webera na szefa Parlamentu Europejskiego, tylko że Niemiec przeliczył głosy i uznał, że może przegrać z włoskim socjalistą Giannim

Pittellą, i się wycofał. Ta umowa koalicyjna jest korzystna dla obecnej kanclerz, ponieważ w sposób oczywisty łatwiej wygra wybory z koalicjantem z SPD, gdy na jego czele będzie stał niespecjalnie charyzmatyczny i ubrudzony rządzeniem przez cztery lata Gabriel, niż gdyby stał bardziej przebojowy i niemający zgranej karty rządowej w swoim politycznym życiorysie Martin Schulz.

Z polskiej perspektywy decyzja Schulza wydaje się co najmniej niezrozumiała. Rezygnować z unijnych apanaż na rzecz powrotu do krajowej polityki?



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Wróćmy do spraw personalnych w europejskiej polityce. Martin Schulz, ustępujący prze-

Sytuacja Schulza świadczy tylko o tym, że państwa narodowe nadal są istotnym punktem odniesienia również dla tych, którzy robią karierę w UE. Przypomnę choćby liczne rezygnacje z funkcji europosła po to, aby objąć funkcję ministra. Przecież niedawni prezydenci Estonii i Włoch to też byli europosłowie. Z drugiej strony trzeba pamiętać, że Martin Schulz niespecjalnie miał wybór: w Brukseli czuć już było wyraźne zmęczenie jego dwoma kadencjami jako szefa europarlamentu i nie miał szans na reelekcję.

W takim razie kto za niego?

Wybór rozstrzygnie się między Włochami: szefem frakcji socjalistycznej Gianni Pittellą a chadekiem Antonio Tajanem, byłym dwukrotnym komisarzem i obecnie pierwszym wiceprzewodniczącym PE. Po raz pierwszy mamy do czynienia z bardzo realnymi wyborami, gdzie dzień przed głosowaniem nie mamy żadnej pewności, kto będzie szefem Parlamentu Europejskiego. Dotychczas był to efekt porozumienia między poszczególnymi frakcjami – zazwyczaj chadecją i socjalistami.

Chciałbym zapytać o rzecz z kulis polityki, ale istotną z perspektywy idei. Czy 20 grudnia z budynku europarlamentu faktycznie na polecenie Martina Schulza usunięto choinkę? Jeden z polskich europosłów stwierdził, że był to „atak na chrześcijaństwo”.

Choinka, którą tradycyjnie przywożą austriaccy deputowani, stoi, tyle że 20 grudnia usunięto z niej wszelkie ozdoby świąteczne, o czym informowałem na Twitterze i Facebooku. Faktycznie dziwne postępowanie, ale jednak jej nie zabrano. Schulz to człowiek lewicy, ale przez pięć lat nie pozwolił sobie na taki ruch. Oczywiście Unia stara się ukrywać swoje chrześcijańskie korzenie, lecz akurat w tym przypadku zabrano nie choinkę, tylko bombki i inne ozdoby. Niemądre, ale wynikające z pewnej specyficznej atmosfery.

Wróćmy do spraw przyziemnych. Właśnie odbyło się przesłuchanie komisarza Günthera Ottingera, który na polecenie Jeana-Claude'a Junckera przygotowuje unijny budżet. Czego możemy się po nim spodziewać?

Musimy mieć świadomość, że w Unii najwięksi płatnicy netto coraz mocniej „dociskają budżet” pod presją swoich eurosceptyzujących się obywateli. Państwa zaczynają się dopominać o „swoje”, a właściwie o powrót jak największej części składki członkowskiej. Chodzi o przesunięcie środków: mniej na fundusze strukturalne, wyrównywanie poziomu wewnątrz UE – więcej na technologie, badania i rozwój. Ja rozumiem tendencje tych krajów. Pewnie gdybym był Holendrem, robiłbym to samo, tyle że jestem polskim politykiem i muszę przeciwko takim tendencjom występować, inaczej przy następnym budżecie nasz kraj będzie wyraźnie poszkodowany.

Kolejna debata na temat demokracji w Polsce odbyła się w grudniu zeszłego roku przy prawie pustej sali. Zagrożenie demokracji nikogo w europarlamencie nie interesuje?

To jest już pewnego rodzaju rytuał, w którym część opozycji przenosi wewnętrzne polskie spory na arenę unijną. Poza nimi na sali znajdują się właściwie tylko europosłowie z tylnych rzędów. Nie ma czołowych polityków jak podczas pierwszych debaty, na „kryzysie demokracji” w Polsce już niczego nie ugrają.

Skoro brak zainteresowania, to czego możemy się spodziewać z biegiem czasu? Prób wprowadzenia sankcji?

Być może, ale nawet sami wnioskujący muszą mieć świadomość, że to scenariusz fikcyjny. Będziemy po prostu oglądać kolejne odcinki opery mydlanej, tym razem w roli Isauiry Polska, nie wiem kto w roli Leoncia. Może Timmermans? Ważne, żeby społeczeństwo w kraju miało świadomość, że w europarlamencie nikt takich debat nie traktuje poważnie.

Tutaj pan ironizuje, ale już poważniejszą kwestią jest odejście europosła Kazimierza Ujastrowskiego z PiS. Czy ta decyzja zmienia sytuację EKIR wewnątrz PE?

Nie bagatelizuję jego decyzji, ale ma ona wymiar przede wszystkim krajowy. Z perspektywy prac Europejskich Konserwatystów i Reformatorów niewiele się zmienia. Europoseł

zostaje w szeregach naszej frakcji i chce wierzyć, że będzie głosował zgodnie z polskim interesem.

Skoro jest pan człowiekiem wiary, to czy wierzy pan również w reelekcję Donalda Tuska na stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej? A jeśli nie Tusk, to kto?

Jeżeli 17 stycznia szefem europarlamentu zostanie przedstawiciel chadecji Antonio Tajani, to szanse Tuska wyraźnie maleją. W innym przypadku jeszcze będzie w grze, ale delikatnie mówiąc, nie jest faworytem w walce o drugą kadencję.

Nie sądzi pan, że w przypadku tak małej liczby Polaków na wysokich stanowiskach unijnych powinniśmy w tym przypadku zawiesić na kołach wewnętrzne spory i lobbować za kandydaturą Tuska?

Faktycznie, Polska jest niedoszaczona w strukturach UE, przede wszystkim pod względem jakości stanowisk, ale też ilościowo. Przy naszej populacji powinniśmy mieć w tej chwili 10–11 ambasadorów w ramach unijnej dyplomacji, a mamy pięciu. Pod tym względem Czechy, Węgry czy Słowacja radzą sobie lepiej, a Polska musi zintensyfikować swoją ofensywę dyplomatyczną w tym zakresie.

Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Swego czasu miałem opinię taką, jak pan zawarł w swoim pytaniu. Rzecz w tym, że w maju przewodniczący Tusk nagle poparł propozycję Komisji Europejskiej karania państw członkowskich wysokimi grzywnami za każdego nieprzyjętego uchodząc. Ponieważ w październiku 2015 r. na szczycie UE premier Ewa Kopacz „załatwiła” nam dyslokację ponad 11 tys. emigrantów, to by oznaczało, że Polska – jeden z sześciu najbiedniejszych krajów UE – miałaby zapłacić ponad 3 mld euro za odmowę ich przyjęcia. Mamy udawać, że nic się nie stało?

Niedługo również koniec pana kadencji na fotelu wiceprzewodniczącego PE. Chodzą plotki, że pana ambicje są bardzo wysokie. Tak wysokie jak fotel szefa MSZ?

Tydzień, w którym ukaże się ten wywiad, będzie czasem mojego ponownego kandydowania na wiceszefa Parlamentu Europejskiego. Jak widać, myślę o godnym reprezentowaniu Polski na arenie międzynarodowej. Na razie.

Zapowiadana przez ministra Witolda Waszczykowskiego likwidacja lub znaczące ograniczenie działalności Biełsatu stały się najbardziej widocznym elementem nowej polskiej strategii wobec Białorusi. Rzecz jasna, oficjalnie politycy zaprzeczają, aby chodziło o jakikolwiek targ z Mińskiem – my wygaszamy Biełsat, a wy w zamian coś nam dajecie. Zaprzeczył temu również w niedawnym wywiadzie udzielonym „Rzeczpospolitej” marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Jak jednak powiedział ksiądz Gorczakow, nie powinno się wierzyć w wiadomości niezdementowane.

Karczewski we wspomnianej rozmowie wypowiadał się o Białorusi i prezydencie Łukaszence w zadziwiająco ciepłym tonie, niemal całkowicie sprzecznym z narracją o złym dyktatorze. Narracja ta jest zresztą w dużej mierze fałszywa. Jak ocenił w mojej książce „Między Berlinem a Pekinem”, będącej zapisem rozmów z analitykami Ośrodka Studiów Wschodnich, jego obecny dyrektor Adam Eberhardt: „[...] autokratyczny model rządów Łukaszenki jest entuzjastycznie przyjmowany przez jedną trzecią Białorusinów. Podobna liczba, może ciut mniejsza, jest mu niechętna. A ci pośrodku opowiadają się za prezydentem, ponieważ nie widzą ani nie wyobrażają sobie alternatywy. Obsesją Białorusinów jest stabilność, a Łukaszenko jest postrzegany jako gwarant spokoju i pokoju”.

Wśród kręgów zajmujących się polską polityką wschodnią od dawna pojawia się opinia, że Łukaszenko jest wprawdzie strategicznie od Rosji uzależniony, ale zarazem stanowi bufor między nią a Zachodem, bo zależy mu na tym, aby podległość nie stała się zbyt głęboka. I dlatego warto z nim flirtować.

Łukaszenko od lat balansuje między podkreślaniem własnej odrębności a pozycją wasala, starając się odnieść jak najwięcej korzyści. W ostatnim czasie jednak rośnie lista spraw spornych. Opublikowana niedawno analiza OSW autorstwa Kamila Kłysińskiego wskazuje kilka kluczowych punktów, wśród których najistotniejsza jest energetyka. Białoruś kupuje od Rosji gaz, ale na mocy swojej jednostronnej decyzji płaci za niego mniej, niż chciałaby Rosja, twierdząc, że wynika to z reguły Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, której oba państwa są członkami. W odwecie Rosja zmniejszy-

Zlikwidowanie telewizji prowadzonej przez Agnieszkę Romaszewską byłoby oddaniem atutu bez pewnego zysku FOT. JACEK WASZKIEWICZ/REPORTER



Biełsat za Niderlandy?



Łukasz Warzecha

Ostre zwroty w relacjach z Białorusią trudno uznać za politykę opartą na realistycznych założeniach. Mamy do czynienia z kolejną próbą takiego zwrotu, a jego ofiarą miała paść telewizja Biełsat

ła właśnie dostawy ropy dla Białorusi i twierdzi, że dług za gaz wynosi już ponad 425 mln dol. Inne spory dotyczą otwarcia rosyjskiej bazy lotniczej w Bobrujsku, statusu granicy między Rosją a Białorusią (Rosja nie uznaje jej za granicę zewnętrzną) i zaostrożonych rosyjskich norm fitosanitarnych, za sprawą których białoruskie produkty mleczne tracą dostęp do rosyjskiego rynku. To wszystko – jak mogłoby się wydawać – daje okazję do poprowadzenia gry z Łukaszenką. A jest o co grać nie tylko w planie strategicznym, bo przecież naszym specyficznym polskim problemem pozostaje status nieuznawanego przez Mińsk Związku Polaków na Białorusi, kierowanego dziś ponownie przez Andżelikę Borys, a mającego konkurencję w postaci „lojalistycznego” związku, uznawanego przez administrację Łukaszenki za legalny.

ZACHWIANIA I ZWROTY

Rozsądna i realistyczna polityka zagraniczna nie może być ani skrajnie chwiejna, ani reaktywna. Tymczasem polska polityka wobec Białorusi taka właśnie jest.

Poprzedni zwrot odbył się za rządów PO przed wyborami prezydenckimi, gdy Łukaszenko odkręcił nieco śrubę. Jednak wkrótce po wyborach ponownie ją przykręcił, dokonując aresztowań członków opozycji. Ze zbliżenia nic nie wyszło. Latem 2015 r. Łukaszenko dotrzymał danej niedługo wcześniej obietnicy i zamkniętych opozycjonistów faktycznie zwolnił. Między Rosją a Białorusią narosły opisane wcześniej konflikty, a do tego pojawiły się gesty takie jak zesłotygodniowy dekret o zniesieniu wiz na pobyt do pięciu dni dla obywateli 80 krajów świata, w tym wszystkich państw UE. Przyszła więc pora na kolejne zbliżenie. Tyle że w ten sposób nasza polityka wobec Białorusi zaczyna przypominać rajd pijanego rowerzysty – od jednego do drugiego krawężnika.

Próżno szukać głębszego strategicznego uzasadnienia najnowszego zwrotu. Nic się przecież zasadniczo nie zmieniło. Wszystko wskazuje na to, że jest to po prostu jedyny punkt w polskiej polityce wschodniej, która poza tym cokolwiek nie funkcjonuje, gdzie można chociaż trochę ugrać. Lub może nie tyle ugrać, ile po prostu zagrać i pokazać, że coś się robi.

Można się zastanawiać, na ile architektki polskiej polityki zagranicznej

rozumieją specyfikę sytuacji Białorusi i strategię Łukaszenki. We wspomnianym wywiadzie Stanisław Karczewski opowiada, jak gospodarze podczas jego wizyty podkreślali swoją samodzielność. I faktycznie – dla Łukaszenki odrębność Białorusi jest bardzo ważna, tyle że budowanie odrębności państwa bardzo łatwo pomylić z mającą znacznie poważniejsze konsekwencje budową świadomości narodowej. Łukaszenko robi to pierwsze, czyli – sięgając po zgrabny angielski termin – realizuje state-building, ale nie robi drugiego, czyli nation-building. Tymczasem z polskiego strategicznego punktu widzenia znaczą

Skoro Łukaszenko cały czas balansuje między Zachodem a Rosją, to my też powinniśmy balansować, korzystając z atutu, który mamy

nie ważniejsze byłoby właśnie budowanie narodu białoruskiego. Państwo bowiem może zostać w krytycznej sytuacji łatwo przejęte, a jego mocne struktury takie przejęcie jeszcze ułatwią. Znacznie trudniej przejąć naród, którym ma świadomość własnej odrębności.

WYRZUCANIE ASA

I tu wracamy do kwestii Biełsatu. Pomysł, aby telewizję, kierowaną przez Agnieszkę Romaszewską, wygasić i zastąpić bezpłciową TVP Polonia, był błędem – par excellence w takim znaczeniu, w jakim w słynnej maksymie mówił o błędzie książę Talleyrand. Podstawową zasadą działania państwa w polityce zagranicznej powinno bowiem być trzymanie jak najdłużej kart przy orderach i niepozbywanie się asów, jak długo się da. A jeśli już trzeba się ich pozbyć, to wyłącznie w zamian za pewne, sprawdzone i niemożliwe do wycofania korzyści.

Biełsat takim asem bez wątpienia jest. Potwierdziły to dwie zamówione przez MSZ niepubliczne ekspertyzy, przygotowane niezależnie przez OSW i Polski Instytut Spraw Międzynarodowych.

Biełsat ma walor, którego nie ma i z zasady mieć nie może TV Polonia: przez lata działania wokół niej zorganizowało się prężne, prozachodnie

środowisko. Sieć korespondentów, pracownicy techniczni, zapraszani do dyskusji eksperci i osoby publiczne oraz to, że dla pracowników Biełsatu jest on po prostu źródłem utrzymania – wszystko to są atuty, których oddanie można nazwać lekkomyślnością. Biełsat na Białorusi stworzył przez lata coś, co podziwiamy u naszych lepiej zorganizowanych, silnych sąsiadów – system wpływu na elity lub przynajmniej ich część. Taki mechanizm konstruuje się bardzo długo, ale bardzo łatwo go zniszczyć.

Co ważne, Biełsat nie był przez reżim Łukaszenki bezwzględnie tępiący. W ubiegłym roku, pierwszy raz od dziewięciu lat, jego korespondenci otrzymali cztery akredytacje. Niedawno doszła piąta. Być może wynika to również z tego, że polska stacja realizuje zadania, których nie mogłaby realizować mińska administracja bez wywołania niezadowolenia Kremla, czyli w małej skali podbudowuje białoruską tożsamość. Nie ma takiej siły oddziaływania, aby zaczęło to Łukaszenkę zagrażać, ale akurat taką, aby wesprzeć jego państwowotwórcze działania.

Skoro Łukaszenko cały czas balansuje między Zachodem a Rosją, to my też powinniśmy balansować, korzystając z atutu, jaki mamy. Tracąc Biełsat, stracimy instrument nacisku na Mińsk. To absolutnie nie leży w polskim interesie.

Jest wreszcie kwestia stylu uprawiania polityki przez wschodnich satrapów. Łukaszenko jest pod tym względem zdecydowanie w kręgu Putina, a nie przywódców Zachodu. Bez wątpliwości odczytałby polskie ustępstwa takiej miary jak rozmontowanie Biełsatu jako wyraz słabości. Obiecać może nam wcześniej nawet sto polskich szkół, a gdy już my damy mu to, czego chciał, nie zbuduje ani jednej. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że pomysł pozbycia się Biełsatu upadł na mocy politycznej decyzji premier Szydło.

Partnerstwo Wschodnie, niedgdyś powołane z inicjatywy Radosława Sikorskiego, które miało być naszym sposobem oddziaływania na Wschód, praktycznie nie istnieje. Zamiast niego mamy na Białorusi, za naprawdę niedużo pieniędzy, instrument realny. Używajmy go elastycznie i mądrze do osiągania własnych korzyści, zamiast oddawać go w zamian za Niderlandy.

Na wrocławskim lotnisku wylądowało 250 amerykańskich żołnierzy. Przylecieli z indywidualnym uzbrojeniem. Do portu w Bremerhaven dobiły dwa statki z ciężkim sprzętem, który do Polski wyruszył drogą lądową przez Niemcy. W ten sposób w ubiegłym tygodniu zaczęły się materializować postanowienia warszawskiego szczytu NATO o wzmocnieniu wschodniej flanki sojuszu. Jak zapewnia Ministerstwo Obrony Narodowej, do końca stycznia do Polski przybędzie ponad 4 tys. amerykańskich żołnierzy i blisko 1,5 tys. sztuk ciężkiego sprzętu. Będą to oddziały 3. Brygadowego Zespołu Wojsk Pancernych, wchodzącego w skład 4. Dywizji Piechoty (Zmechanizowanej). Jednostka na co dzień stacjonuje w Fort Carson w stanie Kolorado. Zespół brygadowy przywiezie ze sobą ponad 400 pojazdów gąsienicowych i ponad 900 kołowych. Wschodniej flanki NATO bronić będzie 87 czołgów M1A2 Abrams, 144 bojowe wozy piechoty Bradley, ponad 400 samochodów Humvee, 18 samobieżnych haubic Paladin. Dowództwo brygady, pododdziały zabezpieczenia i bataliony wsparcia, pułk artylerii polowej, szwadrony kawalerii zostaną skoszarowane w Żaganiu, Świątoszowie, Skwierzynie, Bolesławcu i Drawsku Pomorskim. Jeden batalion czołgów będzie stacjonował w krajach bałtyckich, drugi w Bułgarii i Rumunii. Szkoleniami i konserwacją sprzętu zajmować się będzie batalion rozmieszczony w niemieckim Grafenwöhr. Brygada pozostanie pod amerykańskimi rozkazami. Element dowodzenia 4. Dywizji, w której skład wchodzi 3. Brygadowy Zespół Wojsk Pancernych, będzie się mieścił w Baumholder w Niemczech.

Amerykańskie wojska lądowe na wschodniej flance NATO potrzebują także wsparcia lotnictwa. Zapewni je baza w Powidzu. Zgodnie z planem ma tam stacjonować 10 dwuwirnikowych transportowych śmigłowców typu Chinook, 50 black hawków oraz 24 śmigłowce Apache.

ROTUJĄCE SIŁY

Amerykanie przyjeżdżają do Polski na stałe. Raz na dziewięć miesięcy przeprowadzona będzie rotacja stacjonujących w Polsce jednostek. – Należy podkreślić, że będzie ona miała charakter, jak określają to nasi sojusznicy, „heel-to-toe”, czyli nakładających się rotacji – mówi „Do Rzeczy” Bartłomiej Misiewicz, rzecznik MON. – Oznacza to, że każda grupa amerykańskich żołnierzy pozosta-



Maciej Pieczyński

Ustalenia warszawskiego szczytu NATO właśnie wchodzą w życie. Do końca stycznia do Polski przyjedzie 4 tys. amerykańskich żołnierzy i ich ciężki sprzęt



Amerykanie

je w Polsce do czasu przybycia kolejnej rotacji i przekazania jej zadań.

Kolejne, po 3. Zespole Brygadowym, zmiany wojsk amerykańskich w Polsce będą wystawiane przez inne jednostki. Dowództwo wojsk USA nie ogłosiło jeszcze, które z nich zostały wyselekcjonowane.

Nawet media niechętnie rządowi PiS podkreślają wagę wydarzenia. „Polityka” przypomina, że po raz pierwszy od zakończenia zimnej wojny do Europy przyjadą amerykańskie czołgi.

Większość jednostek zostanie skoncentrowana w pobliżu zachodniej granicy Polski. – Proszę zauważyć, że w Polsce porządne koszary i porządne poligony skoncentrowane są właśnie przy zachodniej granicy, na obszarze poniemieckim. Dlatego nic dziwnego, że na mapie amerykańskiej obecności są takie punkty jak Żagań, Świątoszów czy Drawsko – mówi gen. Bolesław Balcero-wicz, profesor nauk o bezpieczeństwie

z Uniwersytetu Warszawskiego. – Od ćwierćwiecza mamy ten problem, że ściana wschodnia jest огоłociona z obiektów wojskowych. Rozbudowa infrastruktury na tamtych terenach wiązałyby się jednak z ogromnymi kosztami. Poza tym manewry „Anakonda” temu właśnie m.in. służyły, aby przeciwić daleki przerzut wojsk.

Generał Roman Polko uważa, że stacjonowanie wojsk amerykańskich na zachodzie Polski jest dobrym pomysłem. – Byłoby dla nas dyshonorem, gdyby pierwszymi ofiarami rosyjskiej agresji na Polskę byli Amerykanie – uważa. – Ostatecznie my sami musimy być przygotowani do przyjęcia pierwszego uderzenia i obrotu przemyślu suwalskiego. Amerykanie są w stanie w szybkim tempie przerzucić wojska na wschód. Poza tym jeśli dojdzie do konfliktu, to najpewniej nie będzie to wojna pozycyjna, zamiast jednolitej linii frontu dojdzie do ataku w kilku różnych



Amerykańskie wojska w Polsce

Do Polski w styczniu trafia:

- ponad 4 tys. żołnierzy
- 1,5 tys. sztuk ciężkiego sprzętu (400 pojazdów gąsienicowych, ponad 900 kołowych, w tym: 87 czołgów M1A2 Abrams, 18 samobieżnych haubic Paladin, 144 bojowe wozy piechoty Bradley, ponad 400 samochodów Humvee) z 3. Brygadowego Zespołu Wojsk Pancernych z Fort Carson w stanie Kolorado.

Wsparcie lotnicze amerykańskiej brygadzie zapewni baza w Powidzu. Zgodnie z planem ma tam stacjonować 10. Brygada Lotnictwa Bojowego z Fort Drum w stanie Nowy Jork. Przywiezie do Polski:

- 10 dwuwirnikowych transportowych śmigłowców typu Chinook.
- 50 black hawków.
- 24 śmigłowce uderzeniowe Apache.

FOT. MARCIN BIELECKI/PAP, WYS. PEGAZ

nad Wisłą

miejscach i obszarach działań, oprócz regularnej armii zaatakują też zielone ludziki i V kolumna, przeciwko którym na wschodzie Polski wystąpią Wojska Obrony Terytorialnej.

MOCNIEJ W REGIONIE

Chociaż większa część Pancernej Brygadowej Grupy Bojowej będzie zlokalizowana w zachodniej Polsce, to wojska amerykańskie będą działać w całym regionie wschodniej flanki NATO, w tym ćwiczyć w różnych miejscach naszego kraju. – W kwietniu niedaleko wschodniej granicy zostanie rozmieszczona wielonarodowa batalionowa grupa bojowa NATO – informuje „Do Rzeczy” Misiewicz. – Jej państwem ramowym również są Amerykanie, którzy będą współdziałać z pododdziałami brytyjskimi i rumuńskim. Dodatkowo minister Antoni Macierewicz podjął decyzję o wzmocnieniu potencjału Sił Zbrojnych RP na wschód od Wisły m.in.

poprzez ogłoszone niedawno przebazowanie jednego z batalionów czołgów z zachodniej do wschodniej części kraju. Również formowanie Wojsk Obrony Terytorialnej rozpoczęliśmy od województw podlaskiego, lubelskiego i podkarpackiego.

Profesor Bolesław Balcerowicz uważa, że obecność amerykańskich wojsk na terenie Polski z pewnością pociągnie za sobą odpowiednią reakcję Rosji. – Rosjanie już naciskają na Mińsk w sprawie baz wojskowych na Białorusi, prężą też muskuły w obwodzie kalininingradzkim – wskazuje. – Obecność amerykańskich wojsk nie jest gwarancją naszego bezpieczeństwa, ale na pewno w zakresie, przeliczalnym na konkretną siłę militarną, to nasze bezpieczeństwo zwiększa. Trzeba też się liczyć z tym, że NATO od dawna podejmuje z Moskwą podwójną grę: z jednej strony nie drażnić Rosji, ale z drugiej strony dawać jej do zrozumienia, że nie może pewnych granic przekraczać.

Gen. Polko nie uważa, że obecność amerykańskich wojsk może spowodować Moskwę do agresywnych działań. – Wbrew argumentom, którymi szermują Rosjanie, wojska NATO przygotowują się do obrony, nie do ataku – mówi. – Cieszę się, że polski rząd skończył z polityką, zgodnie z którą pani premier zamyka za sobą drzwi i liczy na to, iż bandyta nie wejdzie do środka [w tym tonie o reakcji na zagrożenie odpowiedziała kiedyś Ewa Kopacz – przyp. red]. Powinniśmy budować własny potencjał, zamiast chować głowę w piasek. Trudno mówić o prowokacji, bo za aneksję Krymu, destabilizację Donbasu czy bombardowania Aleppo nie są odpowiedzialni ani Polacy, ani Amerykanie.

CO ZROBI TRUMP?

Donald Trump wielokrotnie wyrażał wolę ułożenia dobrych relacji z Rosją. Czy to może oznaczać, że nowy prezydent Stanów Zjednoczonych będzie przeciwny amerykańskiej obecności w Polsce? – Przywołując spekulacje, powiększa pan strumień dezinformacji – odpowiadał na takie pytanie w programie „Warto rozmawiać” szef MON Antoni Macierewicz. – W polityce najważniejsze są nie słowa, lecz czyny. Pan prezydent elekt Trump na stanowisko sekretarza obrony mianował gen. Mattisa, znanego nie tylko z tego, że bardzo jasno definiuje Rosję jako głównego wroga wolnego świata, lecz także z walki razem z polskimi jednostkami w Afganistanie, z wielu teatrów wojennych, w których pokazywał swoje zdecydowane i antykomunizm, i świadomość konieczności wzmocnienia Polski jako tego państwa, które jest przedmurzem wolnego świata dzisiaj – przekonywał. Zauważył też, że prorosyjskość zarzucają Trumpowi „ludzie, którzy sami najczęściej znani są z tego, że w przeszłości podejmowali działania prorosyjskie”, takie jak reset w stosunkach USA – Rosja. – Zarówno w samych Stanach Zjednoczonych, jak i w Polsce są to ci, którzy propagowali politykę ustępstw wobec Rosji, ci, którzy mówili, że to polski prezydent popełnił samobójstwo, namawiając do tego jeszcze polskich pilotów – mówił.

– Trump nie jest dyktatorem, więc nawet jeśli by chciał się dogadać z Moskwą ponad naszymi głowami, to jest wiele instytucji, które mogą mu w tym przeszkodzić – twierdzi gen. Polko, który wierzy, że Amerykanie dochowają wierności sojuszniczej. – Trump może mówić, co chce, od słów ważniejsze są czyny – dodaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



siębiorcami nie jest istotna dla kategoryzacji instytucji naukowej.

Profesor Marek Ilnicki z Polskiej Grupy Zbrojeniowej wskazuje również, że zasada wyznaczania projektów badawczych musi bazować na tzw. zasadzie top-down, czyli wyznaczeniu celu i szukaniu partnerów do jego realizacji. Przy tym należy być świadomym zarówno swoich możliwości, jak i możliwości podmiotu współpracującego. Należy też przygotować wspólną politykę w dziedzinie współpracy międzynarodowej w zakresie transferu technologii oraz realizacji z partnerem technologicznym określonych projektów. Należy odejść także od „innowacji dla innowacji” i kierować się pragmatyzmem.

Te problemy ma rozwiązać Polskie Konsorcjum Technologiczne, które ma reprezentować świat nauki w sferze przemysłowej i instytucji państwowych, w tym w MON. Ideę tę zaprezentowano podczas Safety Forum. PKT miałyby skupiać przy Polskiej Grupie Zbrojeniowej firmy oraz środowisko akademickie zajmujące się innowacyjną gospodarką.

Profesor Mirosław Gerigk z Politechniki Gdańskiej, czołowy specjalista w dziedzinie wojskowych dronów morskich, uważa, że należy się szybko przygotować w różnych dziedzinach związanych z rozwojem nauki i wdrożeniami efektów badań naukowych, by wziąć aktywny udział w tzw. czwartej rewolucji technologicznej. W tym celu należy zmienić m.in. proces kształcenia na wyższych uczelniach, i to nie tylko technicznych, z modelu „uczymy rutynowo wszystkiego” na model „jak rozwiązać konkretny problem, jak to zrobić” w konkretnych dziedzinach gospodarki i życia przy zastosowaniu kluczowych technologii.

Ideę zmian wspiera przewodniczący sejmowej Komisji Obrony Narodowej poseł Michał Jach (PiS), który uważa, że konieczne jest utworzenie Agencji Uzbroidzenia w ramach MON, czyli struktury, która będzie zajmowała się: planowaniem i wyznaczaniem kierunków badań, wdrażaniem projektów, a także koordynacją w realizacji projektowania i we wdrażaniu technologii na potrzeby wojska.

Istniejący dziś Inspektorat Uzbrojenia zatrudnia 400 pracowników. Często jeden zajmuje się kilkoma projektami wartymi setki milionów złotych. W Szwecji, w której jest mniejsza różnorodność zapotrzebowania na uzbrojenie, analogiczna instytucja zatrudnia 1,5 tys. osób przy budżecie w wysokości ok. 2,5 mld dol.

Czy leci z nami dron?



Artur Bilski

W najbliższych latach polska armia będzie musiała zmierzyć się z największym problemem – nieumiejętnością wdrażania nowoczesnego uzbrojenia

Wszystkie programy modernizacji polskich sił zbrojnych od 1990 r. łączy jedno – żaden nie został w pełni zrealizowany. W rezultacie Polska nie ma nowoczesnych technologii dla armii – począwszy od uzbrojenia raketowego (kupujemy u Norwegów i Szwedów, być może od USA), przemysłu stocznioowego i Marynarki Wojennej (postawiona na stan upadłości i wystawiona na sprzedaż Stocznia MW), a skończywszy na siłach powietrznych (państwo nie ma fabryki śmigłowców). Co gorsza, coraz trudniej jest w ogóle pozyskać jakiegokolwiek uzbrojenie.

To paradoks, bo Polska ma spory potencjał, jeśli chodzi o uczelnie techniczne. Jest ich 26, kształcą 320 tys. studentów. W infrastrukturę uczelni zainwestowano ok. 10,5 mld zł, a w projekty badawcze zaangażowanych jest 45 tys. osób.

Potencjał ma też przemysł zbrojeniowy, którego liderem jest PGZ. Skupia 60 firm zatrudniających 15 tys. pracowników.

Niestety, ta ogromna baza naukowa w żaden sposób nie przekłada się na efekty

gospodarcze. Cała produkcja Polskiej Grupy Zbrojeniowej uplasowała Polskę na 67. pozycji wśród firm produkujących uzbrojenie. W XXI w. kupiliśmy sprzęt obronny za ok. 4,3 mld dol., z czego największe zakupy były w latach 2010–2015 na kwotę ok. 1 mld dol. W tym samym czasie sprzedaliśmy sprzęt zaledwie za 240 mln dol.

Ten niekorzystny bilans w zestawieniu z olbrzymią bazą naukową świadczy o tym, że gdzieś tkwi potworny błąd systemowy. Gdzie?

Podczas ubiegłorocznej konferencji Safety Forum w Szczecinie eksperci uznali, że projekty realizowane przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju z tegorocznym budżetem 4,5 mld zł są głównie projektami nieodpowiadającymi potrzebom komercyjnym. Są też dublowane przez różne instytuty badawcze. Mankamentem jest system oceniający prace naukowców w instytucjach publicznych i prywatnych oparty na prezentowaniu wyników prac w krajowych czy międzynarodowych czasopiśmiech oraz podczas konferencji, sympozjów etc. Ocena współpracy z przed-

Problemy z nowymi technologiami najlepiej widać w obszarze technologii związanej z bezzałogowymi statkami powietrznymi, dronami morskimi i statkami autonomicznymi. MON ma trudności nawet z określeniem, ile takich statków bezzałogowych dla armii potrzebujemy i jakie zadania mają realizować. Minister obrony narodowej Antoni Macierewicz raz zapowiada zamówienie tysięcy minidronów, a za chwilę szacowana liczba zamówienia spada do 200. Takie deklaracje wprowadzają wiele zamieszania. Warto przypomnieć, że w 2007 r. MON zapłaciło 10,56 mln zł za sześć izraelskich systemów mini-BSP Orbiter wraz z pakietem szkoleniowym. Zaawansowane technologicznie zestawy polskich firm kosztują porównywalnie. Ciągłe jednak mówimy o minidronach, które mają ograniczony zasięg i czas przebywania w powietrzu.

Obecnie jedyną jednostką zajmującą się rozpoznaniem za pośrednictwem BSP jest 12. Baza Bezzałogowych Statków Powietrznych, która ma 15 zestawów mini-BSP Orbiter. Jej dowódca – pułkownik pilot Łukasz Andrzejewski-Popow – zapowiedział podczas Safety Forum w Szczecinie, że w ciągu najbliższych kilku lat baza

nie tylko zwiększy liczbę stacjonujących żołnierzy z 500 osób do 1,5 tys., lecz także, dzięki przeszkoleniu kadry, możliwe będzie obsługiwanie nowoczesnych systemów bezzałogowych statków powietrznych klasy średniej i statków operacyjnych typu MALE (średniego pułapu i dużej długo-trwałości lotu), które mogą przebywać w powietrzu do 24 godzin i osiągnąć pułap lotu do kilku tysięcy metrów.

Według danych przedstawionych przez dyrektora Programów Bezzałogowych PGZ płk. dr. inż. Tomasza Gugałę w przyszłości 12. Baza ma posiadać zdolności prowadzenia rozpoznania na głębokości ponad 200 km od styczności linii bojowej przy długotrwałym locie.

Bydgoszcz jest z kolei docelowym miejscem, w którym ma powstać centrum koordynacyjne Systemów Bezzałogowych Statków Powietrznych w ramach PGZ. Będzie ono odpowiadało za wszelkie zagadnienia związane z działalnością systemów ze strony producenta: projektowanie, produkcję, testy, sprzedaż, modernizację i szkolenia.

Czas nagli. Doradca sejmowej Komisji Obrony Narodowej płk dr. Paweł Rodzoś zauważa, że na 12 ogólnowojskowych

brygad, jakimi dzisiaj dysponują polskie siły zbrojne, zaledwie dwie realnie mają bezzałogowe statki powietrzne.

Największe problemy z modernizacją i nowoczesnością ma niedoinwestowana od lat Marynarka Wojenna. Badania dotyczące opracowania założeń konstrukcyjnych pierwszej autonomicznej platformy morskiej rozpoczęły się w roku 2008.

Drony morskie mogą realizować misje obserwacyjne, patrolowe, misje z zakresu zwalczania zagrożenia ze strony min morskich oraz morskich improvisowanych ładunków wybuchowych, a także zwalczania okrętów podwodnych. Nad tego typu projektami pracują m.in. Centrum Techniki Morskiej w Gdyni i szczeciński Autocomp Management. Profesor Gerigk zajmuje się już nowszymi koncepcjami opartymi na platformach wielostanowych – chodzi o różne konfiguracje morskiego bezzałogowca, które pozwolą się poruszać nie tylko nad wodą, lecz także na wodzie i pod wodą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor, komandor porucznik rezerwy, jest absolwentem Wydziału Bezpieczeństwa Międzynarodowego Naval Postgraduate School w Monterey w USA. Szef think tanku Nobilis Media.

REKLAMA

KLINIKA UZDROWISKOWA

„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II w Ciechocinku



Czy cierpisz na?

- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgotopodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- **nietrzymanie moczu**

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 15.01-26.02.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu posiłki w formie bufetu szwedzkiego

- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy **lub** stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. **dziennie**
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. **co drugi dzień**
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

ORGANIZUJEMY TURNUS ODCHUDZAJĄCE



Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

www.podtezniami.pl
rezervacja@podtezniami.pl

tel. **54 416 70 00**



Z prof. Andrzejem Przyłębskim,
ambasadorem RP w Niemczech
rozmawia Piotr Semka

Wiedziałem, że nie będzie łatwo



PIOTR SEMKA: Mija pół roku pana misji w Berlinie. Emocje na temat Polski, jakimi tętnią niemieckie media, dalekie są od uspokojenia. To chyba mission impossible?

ANDRZEJ PRZYŁĘBSKI: Może nie tyle misja niemożliwa, ile trudna. A zarazem bardzo potrzebna krajowi.

Z ogromnym niepokojem obserwowałem, jak od zeszłego roku poszerza się za Odrą obszar niezrozumienia tego, co się dzieje nad Wisłą, i celów nowego rządu. Gdy otrzymałem propozycję – nie zastanawiałem się długo. Jeśli moje doświadczenie i znajomość Niemiec mają się do czegoś przydać, to najlepiej akurat w takim niełatwym momencie.

Emocjonalne głosy niemieckich polityków nieocichły?

Tak. Pozostaje jednak problem sporej liczby bardzo pobieżnych stereotypów o sytuacji w Polsce. Podjąłem się próby zmiany tego stanu rzeczy.

Żona się zgodziła na pana wyjazd do Berlina?

Ona sama, obejmując funkcję sędziego, a od niedawna prezesa Trybunału Konstytucyjnego, musiała przenieść się z Poznania do stolicy. A ja wyruszyłem w odwrotną stronę – nad Szprewę. No cóż, musimy jakoś żyć na linii Berlin – Poznań – Warszawa. Moja żona też nie ma jednak łatwo. Przyzwyczajamy się (śmiech).

Znał pan Niemcy ze służby dyplomatycznej w latach 1996–2001. To była chyba zupełnie inna epoka?

Tak. Niekiedy przecieram oczy, kiedy widzę, jak niektórzy niemieccy publicyści zajmujący się Polską – których pamiętam jako dociekliwych, rzeczowych autorów – dziś zadowalają się bardzo jednostronnym spojrzeniem na polskie sprawy.

No to musi mieć pan skórę słonia i upór nosorożca?

Lubi pan bardzo barwne porównania. No cóż, nie mogę obrażać się na rzeczywistość, ale muszę próbować ją zmienić. Jestem tu, aby przedstawiać inne spojrzenie niż to, które dominuje w mediach RFN. Od początku wiedziałem, że do swojej misji potrzebuję trzech rzeczy: cierpliwości, cierpliwości i jeszcze raz cierpliwości.

A zdarza się panu, że ta cierpliwość wystawiana jest na ciężkie próby?

Niekiedy tak. Niedawno spotkałem się z jednym z ważnych polityków niemiec-

kich. Przez 75 proc. czasu spotkania to on mówił mi, co się w jego opinii dzieje w Polsce.

I jak pan zareagował?

Zwracałem uwagę, że w każdym kraju zadaniem ambasadora jest bycie źródłem informacji. Problem zaczyna się wtedy, gdy moi rozmówcy są przekonani, że wszystko wiedzą lepiej. A wiedzę czerpią zazwyczaj z bardzo jednostronnych przekazów medialnych.

Skąd ta odmowa wiedzy?

Z polegania jedynie na opiniach ludzi, których poznali w Polsce w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, bez zdawania sobie sprawy, że bywają oni bardzo zaangażowanymi uczestnikami polskich sporów. A w głębszym planie – często z niechęci do zrozumienia, że sąsiedni kraj może chcieć wybrać inną drogę i innych polityków niż ci, do których było się przyzwyczajonym latami. W wielu wypadkach ogromne zaskoczenie budzą moje cierpliwe tłumaczenia, że Polska nie musi w każdej sprawie podążać za wskazówkami dużych państw unijnych. Że ktoś po 27 latach budowania demokracji chce mieć własne zdanie. Polska przez ten czas urosła i chce mieć trochę szacunku dla swojego sposobu myślenia. Tymczasem niekiedy dopuszcza się tylko dwie możliwości – albo dobry uczeń obysypywany pochwałami, albo krnąbrny przeszkadzacz zasługujący na jakąś formę kary.

Czyli raz musi pan polemizować, a kiedy indziej cierpliwie tłumaczyć?

Dokładnie tak. Jako ambasador muszę reagować na publicznie wyrażane opinie, które uważam za krzywdzące nasz kraj. Niedawno szefowie trybunałów konstytucyjnych RFN Andreas Vosskuhle i Francji Laurent Fabius napisali list opublikowany przez „Süddeutsche Zeitung”, w którym pojawiła się teza, że w Polsce zapanował autorytaryzm.

Krytykowano pana, nazywając napisanie polemiki do tego listu „awanturnictwem”.

Napisałem w tekście będącym polemiką z listem, że sugerowanie, iż w Polsce nie ma wolnych wyborów, to jakiś absurd. W liście do pana prezydenta Vosskuhle wyraziłem głębokie zaniepokojenie tym, że człowiek piastujący funkcję publiczną cieszącą się takim autorytetem w społeczeństwie niemieckim pozwala sobie wtrącać się w procedury prawne w są-

siednim państwie. Gdyby jakiś polityk z Polski zaczął publicznie pouczać niemiecki TK, to jestem pewny, że wywołałoby to spore oburzenie. Chodzi mi jedynie o stosowanie takich samych standardów.

Niedługo potem współorganizowałem spotkanie w Berlinie z sędzią Trybunału Konstytucyjnego prof. Lechem Morawskim, znakomitym teoretykiem prawa z Uniwersytetu Toruńskiego, oraz z prof. Bogumiłem Banaszkiewiczem, dziekanem Wydziału Prawa na uniwersytecie w Zielonej Górze, wybitnym konstytucjonalistą. Zaprosiłem ok. 30 dziennikarzy i 20 profesorów prawa z czterech najważniejszych uniwersytetów Berlina i Brandenburgii – Uniwersytetu Humboldtów, Freie Universität w Berlinie, Uniwersytetu Poczdamskiego i z Viadriny we Frankfurcie nad Odrą.

I co? Jaka była frekwencja?

Przyszło dwóch dziennikarzy i dwóch profesorów. Byli pod wrażeniem spójności argumentacji polskich prelegentów, czemu dali wyraz w rozmowie ze mną. Profesor Vosskuhle przysłał grzeczny list, że nie może przybyć.

Ktoś może zarzucić, że zaprosił pan dwóch prawników, z których jeden został nominowany przez sejmową większość PiS.

No dobrze, ale chodziło przecież o przedstawienie stanowiska, które było pomijane w relacjach niemieckich mediów. Wywiady z prezesem Andrzejem Rzeplińskim pojawiały się w wielu niemieckich gazetach. Jeśli ktoś aspiruje do wydawania sądów o naszym kraju, to powinien poznać argumenty drugiej strony.

Innym zarzutem stawianym panu był pomysł wyświetlania filmu „Smoleńsk”.

W tej sprawie także odrzucam logikę, w myśl której samo prezentowanie innego poglądu niż ten, który dominuje w niemieckich mediach, jest – jak to napisał jeden z moich polskich krytyków – „bezsensowną szarżą”. Jeśli do opinii publicznej w RFN bardzo skutecznie przebiła się nieuczciwa rosyjska narracja o katastrofie spowodowanej „nadużyciem alkoholu przez generała, który wdarł się do cockpitu”, to moim obowiązkiem jest ułatwić przedstawienie innego spojrzenia na tamte wydarzenia.

Zarzucono panu, że chce pan lansować tezę o zamachu.

W filmie kwestia zamachu przedstawiona jest niejednoznacznie. Mnie bardziej

■ zainteresowało w tym filmie pytanie o zachowanie się wielkich mediów w momencie tak tragicznego wydarzenia. To film o myśleniu stadnym, o narzucaniu narracji dziennikarzom przez ich szefów.

Co spowodowało, że aż dwa kina z rzędu najpierw zgodziły się na projekcję „Smoleńska”, a potem gwałtownie się z tego wycofywały?

To dość zagadkowa sprawa. Sam chciałbym wiedzieć, jakie mechanizmy zadziały. Przy okazji muszę sprostować jedną kwestię. Ambasada nie była organizatorem projekcji. Zadania tego podjął się Instytut Polski w Berlinie przy udziale sponsora w postaci PZU. Za każdym razem słyszeliśmy od właścicieli kin, że muszą wycofać się z racji jakichś tajemniczych zagrożeń – „Anfeindungen”, czyli oznak wrogości. Poprosiliśmy berlińską policję, aby podjęła się śledztwa, o jakie wrogie działania może chodzić. Niczego konkretnego się jednak do dziś, a mija już 10 tygodni, nie dowiedzieliśmy. Jednak z planów pokazów nie rezygnujemy. Formuła zależy do uzgodnień z niemieckim partnerem.

Do jednej projekcji w Berlinie już jednak doszło. Zorganizował ją Klub Polskich Nieudaczników – nieformalne stowarzyszenie Polaków w stolicy Niemiec – tyle że do debaty zaproszono polskiego krytyka sztuki zamieszkałego nad Szprewą i niemieckiego dziennikarza „Berliner Zeitung” – lewicowej gazety znanej z prześmiewczego stosunku do starań o wyjaśnienie katastrofy. Co pan na to?

Dobrze, że ten film wreszcie w Berlinie pokazano. Berlin zdjął dzięki temu z siebie odium miasta zamkniętego na pluralistyczny dyskurs artystyczny i polityczny. Organizatorzy nie ratowali, jak buńczucznie twierdzą w mediach społecznościowych, „honoru Polski”, lecz raczej honor Berlina. Złe się jednak stało, że pokaz przebiegał, z woli organizatorów, w tak skandalicznym stylu. Podczas pokazu spożywano napoje alkoholowe, prowokowano salwy śmiechu w trakcie poszczególnych scen, a na koniec zaserwowano widzom osobliwą dyskusję z udziałem trzech osób podważających sens zrobienia tego filmu i jego wartość artystyczną. W żaden sposób nie odniesiono się do wartości poznawczej, do przekazu, który film niesie: roli mediów w kształtowaniu demokratycznego, nie-manipulowanego dyskursu społecznego. Moim zdaniem niezbędny jest następny pokaz, bo nie wszyscy czytają niszowe gazety, w których był reklamowany, a wielu dyplomatów pyta mnie, kiedy i gdzie mogą ten film zobaczyć.

A jak wygląda sytuacja polskiej mniejszości w Niemczech?

Jestem chyba najbardziej otwartym na organizację polskie ambasadorem po 1989 r. i mam wrażenie, że jest to przez Polonię dostrzegane. Przedstawiciele ambasady – ja również – regularnie uczestniczą w imprezach polonijnych, ostatnio w 3. Kongresie Organizacji Polonijnych, który odbył się w Berlinie przed kilkoma tygodniami. Rozmawiamy z niemieckim MSW, aby wpływać na realizację katalogu postulatów polskich organizacji w Niemczech. Mamy jeszcze bardzo wiele do zrobienia. Trzeba rozszerzyć nauczanie języka polskiego w Niemczech oraz dokończyć remont Polskiego Domu w Bochum. Z innych spraw, już dotyczących naszej placówki w Berlinie, stoi przed nami zadanie budowy nowego gmachu polskiej ambasady przy Unter den Linden. Interesujemy się też inicjatywą budowy pomnika

wdzięczności obywatelom państw Grupy Wyszehradzkiej za ich udział w wydarzeniach lata i jesieni 1989 r., które otworzyły drogę do obalenia muru berlińskiego. Może pana zaskoczę, ale optymizmu mi nie brakuje.

Poważnie?

Poważnie. Czas robi swoje. Politycy niemieccy często co innego mówią oficjalnie, a co innego w rozmowach nieoficjalnych. Polska zaczyna być postrzegana jako element stabilizacji w dość rozchwianej dziś Europie. Dzisiaj już znacznie lepiej rozumiany jest nasz sprzeciw przeciw odgórnemu rozdzielaniu kwot uchodźców. Nowa ekipa przestaje być uważana za coś sezonowego. To działa na naszą korzyść. Chociaż nie mam też złudzeń – czeka mnie jeszcze długa i żmudna droga do przedstawiania naszego stanowiska. Trudno. Dobrze wiedziałem, że nie będzie łatwo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Andrzej Przyłębski

Rocznik 1958, filozof i kulturoznawca, profesor nauk humanistycznych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Studia rozpoczął na **Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza (UAM)** w Poznaniu, gdzie w 1982 r. obronił pracę magisterską poświęconą Martinowi Heideggerowi. W 1987 r. w Instytucie Filozofii UAM uzyskał doktorat na podstawie dysertacji o Emilu Lasku. W latach 1991–1992 był stypendystą bońskiej **Fundacji im. A. von Humboldta**, pracując naukowo nad habilitacją na temat filozoficznej Szkoły Baderńskiej na **Uniwersytecie w Heidelbergu**. W 1994 r. uzyskał stypendium **Konferencji Rektorów Niemieckich Akademii Nauk w Berlinie**, w trakcie którego pracował nad hermeneutyczną teorią historii. Kolejne stypendium w 1995 r. przyznał mu **Instytut Wiedzy o Człowieku w Wiedniu**, gdzie dokonał przekładu „Filozofii pieniądza”, fundamentalnego dzieła niemieckiego teoretyka kultury Georga Simmela. W latach 1993–1996 był wicedyrektorem Instytutu Filozofii UAM, w latach 1996–2001 pełnił funkcję radcy **Ambasady RP w Niemczech** (attaché ds. kultury i nauki).

W 2001 r. Andrzej Przyłębski powrócił do pracy naukowej, w 2002 r. został profesorem UAM. W 2009 r. prezydent Lech Kaczyński nadał mu tytuł profesora. W 2003 r. oraz w latach 2006–2007 był profesorem filozofii na **Technische Universität Chemnitz**. W 2011 r. przeszedł z Instytutu Filozofii UAM do Instytutu Kulturoznawstwa UAM.

W latach 2004–2010 był wiceprezydentem **International Hegel Society** oraz współwydawcą Hegel-Jahrbuch, zaś od 2010 r. zasiada w Radzie Naukowej tego towarzystwa. W latach 2010–2016 był wiceprezesem **Polskiego Towarzystwa Fenomenologicznego**, od 2004 r. jest redaktorem naczelnym pisma „Fenomenologia”, organu tego stowarzyszenia. Zasiada w radach naukowych polskich pism filozoficznych oraz niemieckiego czasopisma „Allgemeine Zeitschrift für Philosophie”.

Napisał osiem książek o tematyce filozoficznej oraz ok. 100 artykułów naukowych. Przełożył również cztery książki z języka niemieckiego oraz jedną z angielskiego.

Jest członkiem **Akademickiego Klubu Obywatelskiego w Poznaniu** oraz zarejestrowanego w Warszawie **Stowarzyszenia Twórców dla Rzeczypospolitej**.

W październiku 2015 r. został członkiem **Narodowej Rady Rozwoju** powołanej przez prezydenta Andrzeja Dudę, w której został koordynatorem zespołu „Polityka zagraniczna”.

W lipcu 2016 r. powołano go na stanowisko **ambasadora RP w Niemczech**.

Jest mężem Julii Przyłębskiej, wybranej 2 grudnia 2015 r. na stanowisko sędziego Trybunału Konstytucyjnego, a 21 grudnia 2016 r. na stanowisko prezesa Trybunału Konstytucyjnego.

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ** NA 2017 ROK

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

+ KSIĄŻKA „ZASMAKUJ W SIENKIEWICZU”



133 zł

oszczędzasz 224 zł

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

+ KSIĄŻKA „KONAN DESTYLATOR”



131 zł

oszczędzasz 219 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 33de0ce8c6



Wojciech Wybranowski

W mediach społecznościowych opozycja się wzmocniła, ale wciąż nie potrafi odbić sieci z rąk sympatyków prawicy

Narzucanie tematu dyskusji, prowadzenie własnej narracji w sieci to od miesiąca idée fixe Platformy Obywatelskiej – ugrupowania, którego posłowie i aktywiści licznie udzielają się w głównych kanałach komunikacyjnych w mediach społecznościowych: na Twitterze i Facebooku. Postulaty dotyczące takich działań w sieci – jako jednych z głównych działań partii – sformułowano nawet podczas ubiegłorocznej konwencji PO w Gdańsku. Od dłuższego czasu opozycja

ma z tym jednak problem, oddając pole internetowych bitew wyborcom szeroko pojętej prawicy.

– Nie wydaje mi się, byśmy musieli jakoś szczególnie Internet odzyskiwać. Jesteśmy w nim obecni, aktywni, to, co piszemy, dociera do wyborców. Ja sam, prowadząc konto na Twitterze oraz fanowskie na Facebooku, widzę znaczący napływ osób zainteresowanych tym, co ja czy moje ugrupowanie mamy do powiedzenia. To jest kilka tysięcy nowych osób w ostatnich

tygodniach – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” poseł Krzysztof Brejza, minister sprawiedliwości w „gabiniecie cieni Platformy Obywatelskiej”, członek komisji śledczej ds. Amber Gold.

Jednak z badań przeprowadzonych przez autorów strony „Polityka w sieci”, zajmującej się analizą mediów społecznościowych, wynika, że ugrupowaniom opozycyjnym – mimo znacznie większej aktywności i sporego zainteresowania internautów okupacją Sejmu – nie udało się znacząco przebić z własną narracją. Dlaczego?

Jeszcze w połowie grudnia, gdy opozycja rozpoczynała blokadę parlamentu, polski Internet żył wydarzeniami przy ulicy Wiejskiej. Według analityków „Polityki w sieci” zasięg komentarzy i wpisów dotyczących tej sprawy był spory – w ciągu 24 godzin w mediach społecznościowych teoretycznie mogło je przeczytać blisko 42 mln osób [rzeczywisty zasięg wpisów internetowych jest dużo mniejszy – przyp. red.]. Do 20 grudnia prawie 16 mln internautów mogło przeczytać wpisy posłów i sympatyków opozycji oznaczone wspólnymi hasztagami „#wolnemediawsejmie” i „#wolnemediawsejmie”. Analiza wydarzeń kolejnych dni w mediach społecznościowych pokazała, że ugrupowania opozycyjne nie potrafiły tego wykorzystać. Zainteresowanie internautów sytuacją w Sejmie spadło i mimo prowadzonej okupacji sali plenarnej nie było większe niż przed wybuchem całej afery. Polacy chętniej też niż informacje o powodach protestu posłów opozycji do wyszukiwarek internetowych wpisywali hasła: „Nitras przeszukuje”, „Nitras grzebie” czy „Joanna Mucha śpiewa”, szukając nagrań kompromitujących sejmową akcję opozycji.

Prawicowi internauci wykreowali też własne hasło – hasztag „#ciamajdan” sztygający z działań opozycji. Oznaczone nim wpisy cieszyły się między 20 a 29 grudnia piętnastokrotnie większym zainteresowaniem użytkowników mediów społecznościowych niż opozycyjne, oznaczone jako „#wolnemediawsejmie”. W praktyce oznacza to, że posłom PO i Nowoczesnej nie udało się zbudować w sieci skutecznej, przekonującej narracji dotyczącej prowadzenia protestu w sali sejmowej ani też przekonać internautów do poparcia bardziej radykalnych działań.

„MADERA” WBIJA SZPIŁĘ

Gwoździem do trumny okazały się wyjazd lidera Nowoczesnej Ryszarda

Petru w towarzystwie posłanki Joanny Schmidt w tajemniczą podróż i wyciek rachunków wystawianych KOD przez firmę Kijowskich. Sympatycy opozycji nie znaleźli sposobu na narzucenie własnej narracji dotyczącej tych wydarzeń.

Sprawa wyjazdu Petru po prawej stronie Internetu skutkowałą setkami memów i dziesiątkami tysięcy komentarzy. Zainteresowanie domniemanym romansem lidera Nowoczesnej i poznańskiej posłanki w mediach społecznościowych dwukrotnie przebiło zainteresowanie sprawą okupacji Sejmu.

Wpisy internetowe opatrzone hasztagami nawiązującymi do sprawy, np. „#Madera”, popularnością kilkukrotnie przebiły w sieci wcześniejsze akcje opozycji nawiązujące do sprawy Misiewicza czy prokuratora Piotrowicza. – Okazuje się, że nasi przeciwnicy potrafią szybko reagować, mobilizować i tworzyć swój przekaz. U nas ta komunikacja, interakcja w sieci ciągle szwankuje – żali się jeden z posłów Platformy.

„Sprawa #Petru czy #Kijowskiego pokazały, że zwolennicy partii rządzącej potrafią wywołać większe zainteresowanie (liczba interakcji) danym tematem

niż np. »ciąża« Roberta Lewandowskiego” – oceniają analitycy „Polityki w sieci”.

PRZESZKOLENI?

Dziennikarz i analityk mediów społecznościowych Stanisław Stanuch zwraca jednak uwagę, że w internetowej aktywności opozycji, zwłaszcza PO, po fatalnych kampaniach – prezydenckiej i parlamentarnej – widać jednak pewną poprawę oraz znaczne uaktywnienie trzech związanych z nią grup, które mają znaczenie dla narzucania narracji i „wygrywania” mediów społecznościowych: polityków, dziennikarzy i tzw. bezinteresownych sympatyków, w tym trolli internetowych.

– Widać, że prawdopodobnie ludzie PO przeszli jakieś głębsze szkolenie, bo zaczynają sobie w necie radzić. Ba, niekiedy nawet ogrywać dobrych w te klocki sympatyków rządu – ocenia Stanuch.

– Tak np. opozycja przejęła i wykorzystuje kpiąco hasło „dobra zmiana”, które przecież do celów kampanii stworzyli ludzie PiS – zauważa. Dodaje jednak, że „lepiej” nie znaczy „dobrze”. – Brakuje interakcji polityków z internautami, wewnętrznej komunikacji, co sprawia, że

akcje opozycji się rozłazią, brakuje konsekwencji, za to w przestrzeni wirtualnej pojawia się sporo głupoty – wytyka.

Wpadek opozycji nie brakuje. W Święto Trzech Króli autorzy internetowego „Soku z Buraka” – hejterskiego konta na Facebooku wspierającego partię opozycyjną – wrzucili do sieci memy kpiące z chrześcijan. W jednym z nich sugerują, by kredą na drzwiach zamiast „K + M + B” po prostu napisać „WOŚP” w hołdzie Jerzemu Owsiakowi. W kolejnym – że Kamil Stoch, zwycięzca Turnieju Czterech Skoczni, w oczach Polaków zdetronizował właśnie Jezusa Chrystusa.

Wywołało to fale oburzenia internautów, którzy – odcinając się od poparcia dla PiS – pytali: „Czy tak ma wyglądać budowa »chadeckiej PO«?”. Z kolei gdy nawet liderzy opozycji krytykowali Mateusza Kijowskiego za sprawę pieniędzy zarabianych w KOD, posłanka PO Małgorzata Niemczyk na Twitterze pisała: „Jest #muremZaHanka, jest #muremZaZukiem, będzie #muremZaKijowskim – chcę nas poróżnić, nie damy się”, co natychmiast wywołało serie kpin i memów szydzących z opozycji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Czasami życie zależy od rzeczy...

Barbara, lat 68.

Koncentrator tlenu umożliwił mi życie z astmą. Dotychczas podczas ataków duszności, musiałam korzystać z hospitalizacji.



Dzięki wpływom z 1 % Caritas Polska zakupiła:

- 4841 łóżek pielęgnacyjno-rehabilitacyjnych sterowanych pilotem wraz z materacami
- 436 ssaków medycznych
- 851 koncentratorów tlenu

- Oraz innego rodzaju nierefundowany sprzęt medyczny i rehabilitacyjny, który ułatwia codzienność 12 000 osób chorych i poszkodowanych w wyniku różnego rodzaju wypadków w całej Polsce.

...bo czasami życie zależy od rzeczy.



KRS: 0000 198 645

Pobierz darmowy program do rozliczeń PIT 2016 i przekaz swój 1% Caritas Polska.
www.jedenprocent.caritas.pl



Demony Kotana



Piotr Gociek

Przy wszystkich swoich wadach Marek Kotański był taranem wyważającym w Polsce drzwi, które trzeba było rozwalić. Bywał jednak jeźdźcem bez głowy

Wiosną roku 1986 pomaszerowaliśmy na wycieczkę szkolną do kina. Dyrekcja liceum zarządziła bowiem seans edukacyjno-ostrzegawczy – film nosił tytuł „... jestem przeciw” i mówił o zagrożeniu młodzieży narkomanią. W roli głównej Rafał Wieczyński, dziś reżyser (m.in. „Popiełuszko. Wolność jest w nas”). O filmie było wtedy głośno, w PRL-owskich mediach przetaczała się wielka dyskusja o sposobach walki z nałogiem – poruszanie tego tematu od czasu pierwszej Solidarności było już dozwolone. Konsultantem filmu był Marek Kotański, jedna z głównych postaci (ambitny i kontrowersyjny terapeuta) była wzorowana właśnie na nim i – co ciekawe – przez długie lata, gdy myślałem o tym filmie, byłem przekonany, że Kotański również w nim zagrał. Rolę Grzegorza zarządzającego ośrodkiem pomocy narkomanom kreował tymczasem Daniel Olbrychski, ale ta omyłka mojej pamięci mówi wiele – Kotan był postacią tak wyrazistą, tak jednoznacznie kojarzącą się wówczas tylko z tym tematem, że nawet nie wyobrażałem sobie, by mogło być inaczej. I tak obrázky z Polskiej Kroniki Filmowej, która często śledziła poczynania Kotańskiego, zlały się w mojej głowie w jedno z filmem fabularnym w reżyserii Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego. Kotan, niezależnie od tego, co kto o nim sądzi, to był ktoś.

JEDNOOSOBOWA ORKIESTRA

Przemysław Bogusz, autor biografii „Kotan. Czy mnie kochasz?”, pracował przez cztery lata w Monarze, materiały do książki zbierał jeszcze dłużej. Widać

tę robotę na kartach książki, która poza nieco przydługim wstępem o rodzicach Kotańskiego jest lekturą niesłychanie zajmującą. Nie jest to laurka – opinie krytyczne przytaczane są równie często jak pochwały, podobnie jak dokumenty i wspomnienia obciążające bohatera książki.

W kilku pierwszych rozdziałach syn znanego japonisty, delikatny chłopczyk z Żoliborza zamienia się na kartach tej książki w ambitnego pioniera nowych metod terapii antynarkotykowych. Moje pokolenie kojarzy Kotańskiego przede wszystkim z ośrodkami Monaru i sam nieraz ze zdziwieniem drapałem się w głowę, kiedy autor przypominał wszystkie późniejsze pasje Kotana: po narkomanach także alkoholicy, po alkoholach również nosiciele HIV, później bezdomni, wreszcie uchodźcy, a wcale nie wyczerpuje to listy zamierzeń człowieka, który stał się jednoosobową orkiestrą pomocy wszystkim. Chciał zmienić sposób postrzegania w Polsce osób niepełnosprawnych, ale na to nie starczyło siły i czasu, chciał zbierać pieniądze na leczenie dzieci (nie tylko nosicieli HIV) i niewiele brakowało, by to Kotański, a nie Owsiak zorganizował coś na kształt WOŚP. Krótki fragment poświęcony współpracy obu panów jest jednym z ciekawszych w książce. Rzecz dzieje się w roku 1992, Kotański organizuje wtedy „polskie Wembley”, wielki koncert charytatywny na Stadionie Dziesięciolecia. Cel: zbiórka funduszy na budowę ośrodka dla dzieci z HIV. Do prowadzenia jednego seta koncertu Kotański zaprosił poznanego w Jarocinie Jerzego Owsiaka. Ten, znany dotąd głównie jako muzyczny konferansjer oraz animator Towarzystwa Przyjaciół Chińskich Ręczników, po koncercie wpada w ekstazę. „Po swoim secie Jurek powiedział: »Kurwa, Marek, ja już

teraz wiem, po co grać. Trzeba grać dla dzieci, dla ludzi potrzebujących pomocy» [...] Kotan i Owsiak rozmawiali zresztą o tym, że trzeba zrobić cykl koncertów, ale dwie tak wielkie osobowości w jednym kotle – to się okazało za dużo. Lider mógł być tylko jeden” – opisuje Bogusz. Owsiak podebrał też inny pomysł Kotana, któremu jako pierwszemu marzył się „polski Woodstock”.

OKRAKIEM NA BARYKADZIE

O zasługach Marka Kotańskiego napisano wiele, skupmy się na zarzutach i kontrowersjach. Czasy się zmieniały, a kontrole – czy to w latach stanu wojennego przez Ministerstwo Zdrowia, czy już w III RP przez NIK – wykazywały podobne zaniedbania: brak dozoru nad środkami zbieranymi na pomoc uzależnionym i chorym, wykorzystywanie tych środków do celów prywatnych. Nie takie były intencje Kotana, ale taki był efekt jego stylu pracy, załatwiania „na gębę”, zatrudniania bez papierów, omijania urzędów. W tych warunkach musiało dochodzić – i dochodziło – do rozmaitych patologii, do handlu darami z Zachodu, przywłaszczzeń i innych nadużyć. Jednocześnie – co do tego kontrole także były zgodne – patologie nigdy nie były tak duże, by wypaczyć działanie Monaru, a potem kolejnych animowanych przez Kotańskiego inicjatyw. Prawdą jest jednak, że bałagan pozostawiony przez Kotana zwykle sprzątać musieli inni.

Osobny rozdział poświęca Bogusz współpracy Kotańskiego ze Służbą Bezpieczeństwa. Papiery podpisał chętnie, na spotkaniach dzielił się swoją wiedzą, pieniędzy nie brał – w każdym razie pokwitowań brak. Kotan był normalnym TW (pseudonim Marek), a działał się to w latach 80. Z opinii prowadzących go oficerów wynika, że najbardziej lubił mówić o sobie – jaki to jest zajęty, dokąd musi podróżować i tak dalej. Czy mógł pozwolić sobie na odmowę współpracy? Chyba raczej uważał ją do pewnego stopnia za naturalną w sytuacji, kiedy niemal wszystko w jego działalności zależało od aprobaty komunistycznej władzy. Kotański siedział więc okrakiem na barykadzie. Zabawne są fragmenty o tym, jak to w rozmowach z sekretarzami partyjnymi niskiego szczebla powoływał się na znajomość z Wojciechem Jaruzelskim (należał do jego Rady Konsultacyjnej), a podczas wizyt u proboszczów – na rekomendacje papieża Jana Pawła II, którego spotkał raz,

na zwykłej audyencji, ale przecież nikt nie musiał wiedzieć, że zdanie „Ojciec Święty prosił, by was pozdrowić” jest fikcją.

Od czasu, kiedy w drugiej połowie lat 80. Kotańskiego mnóstwo było w mediach (chciał wykorzystać tę popularność, startując w wyborach do Senatu w 1989 r., zdobył jednak 40 tys. głosów), mnożyły się zarzuty, że gwiazdorzy, że kolejne głośne przedsięwzięcia – czy to Łańcuch Czystych Serc, czy wielki miting antyalkoholowy na Torwarze – to działania, które mają promować przede wszystkim ich pomysłodawcę. Kotan zbijał te argumenty, tłumacząc (miał to zresztą robić do końca życia), że musi w ten sposób zabiegać o rozgłos, by łatwiej pozyskiwać fundusze i wsparcie dla swoich pomysłów. Jednocześnie jednoznaczne wsparcie władz komunistycznych dla Kotańskiego sprawiało, że młodzież zaczynała się od niego odsuwać. Wiał inny wiatr; wiarygodni byli aktywiści WiP, działacze raczkujących ruchów ekologicznych, anarchiści, radykałi niepodległościowcy, młoda generacja Solidarności, a nie wąsaty gość pokazywany w „Dzienniku Telewizyjnym”.

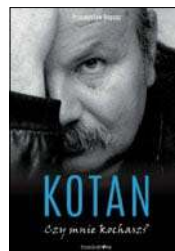
PEŁEN SPRZECZNOŚCI

Można długo się spierać o granice kompromisów Kotana (i o rozmiar bałaganu, jaki po sobie pozostawiał), ale broniły go efekty. Rola, jaką odegrał w Polsce, jest nie do przecenienia. W tym sensie jego biografia, szczególnie po roku 1989, kiedy zajmuje się najpierw nosicielami HIV i chorymi na AIDS, a potem bezdomnymi, jest też wstydliwą historią transformacji ustrojowej i dziwnej pierwszej dekady III RP, kiedy większość Polaków (a na pewno niemal cała elita władzy) zdawała się zapominać, że hasłem, które wywołało w 1981 r. rewolucję, było słowo „solidarność”, a nie zdanie: „Bogaćcie się i nie troszczcie o innych”. Przy wszystkich swoich wadach był Kotański taranem wyważającym w Polsce drzwi, które trzeba było rozwalić. Dlatego najbardziej bolesne dla jego wyznawców mogą być te partie pod koniec książki Bogusza, w których padają zarzuty nie o gwiazdorzenie czy prywatę, lecz o metodę. Tutaj rzecz jest najciekawsza, był bowiem jeźdźcem bez głowy.

Nie ma wątpliwości, że duża część głośniejszych sporów z mieszkańcami sprzeciwiającymi się zakładaniu w ich okolicach ośrodków dla chorych z HIV została rozegrana przez Kotańskiego fatalnie. Niewłaściwie wybierał lokalizacje, zbyt wcześnie nagłaśniał sprawę, a niekiedy swoją ostentacją krzywdził tych, którym chciał pomóc. Kiedy pracował z bezdomnymi, skopiował bezmyślnie rozwiązania z ośrodków Monaru, wtrącając niektórych z nich w wieloletnie uzależnienie od pomocy, podczas gdy wielu z nich potrzebowało tylko miejsca, w którym mogliby prznocować, bo byłiby w stanie znaleźć normalną pracę. Jednak przeniesiona z Monaru zasada, że pierwsze wypracowane pieniądze zobaczysz dopiero po roku, uniemożliwiała takie rozwiązania. Pojawiały się zarzuty o przekształcenie ośrodków dla bezdomnych w obozy taniej siły roboczej – gdy połączymy je ze sprawą niegospodarności i zawłaszczania części środków przez personel, sprawa zaczyna wyglądać ponuro. O tych rzeczach w biografii Kotana mówią zarówno byli podopieczni, jak i byli pracownicy.

Biografia napisana przez Przemysława Bogusza daje wiele okazji do spierania się o granice mniejszego zła czynionego w imię większego dobra. Wyważona, wielostronna, drobiazgowa, gdzie trzeba jest pomnikiem dla osiągnięć Kotańskiego, gdzie indziej wyrzutem pod adresem tych, którzy w odróżnieniu od niego byli obojętni, ale przede wszystkim przez cały czas opowieścią o trudnym w obsłudze, pełnym sprzeczności człowieku. Kotański stawał w obrobie skrzywdzonych i poniżonych, bez wahania ufał tym, w których na pierwszy

rut oka dostrzegał potencjał, manipulował i łamał zasady w imię sprawy. Jednocześnie był to człowiek zakochany w luksusowych zegarkach, właściciel ponad 200 skórzanych kurtki, kabotyń żądny sławy i akceptacji. Nawet na fotografii otwierającej rozdział o jego nawróceniu pozuje na tle ściany ozdobionej trzema wielkimi krucyfikami – tak jakby jeden krucyfik to było dla niego za mało. Więcej, głośniejsze, mocniej. Życie Kotańskiego. Całkiem jakby trawił go niemal narkotyczny głód.



★★★★★
PRZEMYSŁAW
BOGUSZ
„KOTAN. CZY
MNIE KOCHASZ?”
TRZECIA STRONA
2016



Łukasz Zboralski

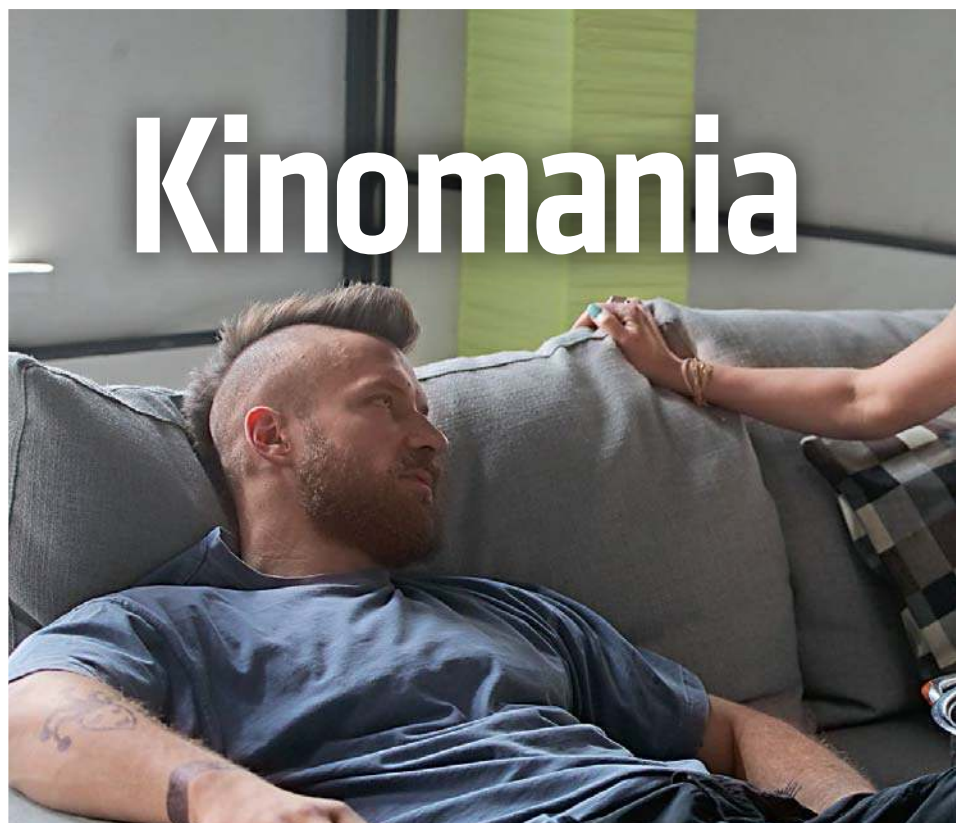
Prawie 52 mln widzów obejrzało w ubiegłym roku filmy w kinach w Polsce. To absolutny rekord od upadku komuny. Przyczyniły się do tego świetne polskie produkcje

Ja w ogóle nie lubię chodzić do kina, a szczególnie na filmy polskie – tłumaczył Zbigniew Maklakiewicz w scenie kultowego „Rejsu”. – Nudzi mnie to po prostu. Zagraniczny, to owszem, pójde sobie. Fajne są filmy zagraniczne, wie pan, można jakoś to przeżyć. A w filmie polskim to jest tak: nuda, nic się nie dzieje, proszę pana... Dialogi są złe, niedobre. W ogóle brak akcji jest. Nic się nie dzieje. Aż dziw bierze, że nie wzorują się na zagranicznych – dodawał.

Nie było tak złe. A i potem mieliśmy w polskim kinie fantastyczne momenty jak nurt kina moralnego niepokoju oraz prawdziwych gigantów. A dziś te słowa z 1970 r. stają się podwójnie przerysowane. Polskie kino ma się świetnie. Rekordowo świetnie. Z podsumowania polskiego Box Office'u 2016 wynika, że w ubiegłym roku do kin poszło w Polsce aż 51,6 mln osób. To o 7 mln więcej niż rok wcześniej. Tak wielu przed dużymi ekranami nie zasiadło jeszcze nigdy od przemiany ustrojowej w 1989 r.

Ceny biletów w relacji do pensji nie są niskie. Czteroosobowa rodzina w dużym mieście za jeden seans zapłacić musi ok. 100 zł (nie licząc dodatkowych wydatków na jedzenie, którym kuszą multiplexy). A jeszcze bilety w 2016 r. podróżowały i kosztowały średnio 18,6 zł. Jest zatem coś, co sprawiało, że widzowie w Polsce skłonni byli otworzyć portfele na kinową sztukę. Musiały to być świetne propozycje.

I takich nie brakowało. Wśród nich na filmowych afiszach pojawiały się naprawdę dobre rodzime produkcje. A te polskiego widza interesują najbardziej. Najlepszym na to dowodem są wyniki oglądalności – wśród 50 filmów z największą widownią w ubiegłym roku jest aż 10 polskich obrazów. A w ścisłym topie – czyli w pierwszej dziesiątce – połowa to filmy polskie. Ba, w pierwszej piątce jest zaledwie jedna zagraniczna



Kinomania



PITBULL.
NIEBEZPIECZNE KOBIETY

2,769
mln widzów



PLANETA SINGLI

1,917
mln widzów



EPOKA LODOWCOWA 5:
MOCNE UDERZENIE

1,459
mln widzów



WOŁYŃ

1,434
mln widzów



PITBULL.
NOWE PORZĄDKI

1,433
mln widzów



mocna widownia, można sobie uzmysłowić, porównując to np. z inną polską listopadową premierą, czyli filmem „Jestem mordercą” Macieja Pieprzycy. Ten inspirowany głośną w PRL sprawą seryjnego mordercy – „Wampira z Zagłębia” – zdołał przyciągnąć do kinowych foteli 170 tys. osób. A Vega do swojego rekordowego roku dorzucił debiutujący jeszcze w styczniu w kinie „Pitbull. Nowe porządki”, który z liczbą 1,433 mln widzów jest w topie na miejscu piątym.

Thumy ruszyły też na dobrze wpasowaną w walentynkowy termin komedię „Planeta singli”. Mitja Okorn swoim filmem zgarnął drugie miejsce pod względem sprzedanych biletów (1,917 mln widzów). Niewiele mniej osób obejrzało w ubiegłym roku fantastyczną produkcję Wojtka Smarzowskiego, który postanowił zmierzyć się na ekranie z trudną historią polsko-ukraińską. Wyszło świetnie i dowodem na to jest czwarte miejsce „Wołynia” na liście najchętniej oglądanych filmów ubiegłego roku (1,434 mln).

Na przemian z polskimi filmami do kin porywały – zapewne całe rodziny – familijne zagraniczne produkcje. Choć było kilka całkowitych nowości: „Sekretne życie zwierzątek domowych” (szóste miejsce w topie z wynikiem 1,418 mln widzów) czy „Zwierzogród” (ósmie miejsce, 1,264 mln widzów), to najwięcej do kin przyciągnęła już piąta odsłona „Epoki lodowcowej” (trzecie miejsce, 1,459 mln widzów).

W czołowej dziesiątce oprócz tych produkcji znalazł się „Łotr 1. Gwiazd-

ne wojny – historie” (siódme miejsce, 1,278 mln widzów) oraz trzecia część filmowej Bridget Jones (dziewiąte miejsce, 1,173 mln widzów). Ten top zamyka polski film – druga komedia romantyczna, czyli „7 rzeczy, których nie wiecie o facetach” Kingi Lewińskiej (1,143 mln widzów).

MILIARD W KASACH

Milionową widownię zdołał zgromadzić w ubiegłym roku jeszcze jeden film – bazujący na olbrzymiej popularności mobilnej gry – „Angry Birds Film”.

Do miliona widzów niewiele brakowało komediodramatowi „Moje córki krowy”. Film Kingi Dębskiej (734 tys.).

Wśród 50 najczęściej oglądanych filmów na dalszych miejscach znalazły się dwie bardzo głośne produkcje. Pierwsza to „Smoleńsk” Antoniego Krauzego. Obejrzało go w kinach 461 tys. osób. To wynik niewiele odbiegający od laureata 41. Festiwalu Filmowego w Gdyni, czyli filmu opartego na historii malarza Zdzisława Beksińskiego i jego syna Tomasza. „Ostatnią rodzinę” Jana P. Matuszewskiego na ekranach widziało 504 tys. widzów. Gorzej poradziła sobie również głośno zapowiadana w ubiegłym roku „Historia Roja” – losy jednego z żołnierzy wyklętych obejrzało 310 tys. osób.

Milionowe oglądalności musiały zakończyć się również finansowymi rekordami. Przez kinowe kasy przepłynął prawie miliard złotych. To był wynik o prawie 150 mln zł wyższy niż w roku 2015.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

produkcja! Z blisko 52 mln widzów 12 mln osób poszło właśnie na rodzime produkcje.

ROK VEGI

Nie byłoby tego polskiego rekordu bez Patryka VEGI. To właśnie jego „Pitbull. Niebezpieczne kobiety” okazał się najchętniej oglądanym ubiegłorocznym filmem (2,769 mln widzów), choć do kin wszedł dopiero w listopadzie. Jak jest to



SEKRETNE ŻYCIE
ZWIERZĄTEK DOMOWYCH

1,418
mln widzów



ŁOTR 1. GWIAZDNE WOJNY
– HISTORIE

1,278
mln widzów



ZWIERZOGRÓD

1,264
mln widzów



BRIDGET JONES 3

1,173
mln widzów



7 RZECZY, KTÓRYCH
NIE WIECIE O FACETACH

1,143
mln widzów



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Całkowite zaćmienie



★★★★★
**REŻ. PAOLO
GENOVESE**
**„DOBRE SIĘ
KŁAMIE W MIŁYM
TOWARZYSTWIE”**
WŁOCHY 2016

wyst. Marco
Giallini, Kasia
Smutniak, Alba
Rohrwacher,
Edoardo Leo

Amerykane od lat celują w superprodukcjach dla młodzieży, które bez bólu mogą oglądać również ich rodzice. Europejczycy zdają się iść w przeciwnym kierunku: pasjami kręcą filmy przeznaczone wyłącznie dla zblazowanych starszaków.

„Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie”, a właściwie „Doskonale nieznajomi” to właśnie przykład dzieła, przed którym nastoletnia widownia powinna być chroniona wszystkimi możliwymi sposobami. Potwierdza bowiem ich najgorsze podejrzenia, żywione wobec świata ludzi dorosłych.

Przejdźmy jednak do konkretów. Oto siódemka przyjaciół, zagryzając domowe specjały i sącząc biodynamiczne wino, podziwia zaćmienie Księżyca. Znają się od lat i myślą, że

wiedzą o sobie wszystko. Jednak – jak mawia mój znajomy psychoterapeuta – tkwią w mylnym błędzie. Eva zamierza powiększyć sobie biust, jej mąż Rocco cichaczem uczęszcza na terapię. Wufista Peppe walczy z nadwagą i wstydzi się pokazać światu nową dziewczynę. Cosimo chwytą się różnych zawodów, ale co chwyt, to zawód. Jego połowica Bianca utrzymuje kontakt z dawnym narzeczonym. Carlotta przed wyjściem z domu ukradkiem zdejmuję majtki, zaś jej małżonek Lele chyba ma kogoś na boku.

Zaskoczeni? Włosi są, jak powszechnie wiadomo, niepoprawnymi gadułami. Cenią rozkosze stołu i łoża. Przestrzeganie przykazań (zwłaszcza szóstego) sprawia im duży kłopot. Nie grzeszą odwagą i często mijają się z prawdą. Czasem nawet tracą instynkt samozacho-

wawczy. Bo jak inaczej wythumaczyć, że godzą się – dla częściej rozrywki – upublicznić zawartość swych smartfonów, słusznie nazwanych przez Evę „czarnymi skrzynkami naszego życia”?

Pierwszy SMS o treści „Chcę twego ciała” jest żartem, ale potem zabawa przestaje być dla naszej siódemki zabawną. Z każdym kolejnym połączeniem pograżają się coraz bardziej. No cóż, tak to już jest z wynalazkami: zwykle służą trochę innym celom, niż chcieliby idealisci. Internet i telefony komórkowe miały zbliżać ludzi, lecz równie dobrze pomagają w pielęgnowaniu egoizmu, snuciu intryg i dogadaniu pierwotnym instynktom.

Stopniowo nabieramy pewności, że zbiorowy coming out musi skończyć się katastrofą. Przecież nawet farsa ma swoje granice. Tymczasem twórcy zamiast katharsis fundują nam przewrotną pointę.

„Doskonale nieznajomi” przypadli do gustu szafarzom nagród filmowych, co nie dziwi. Bardziej zaskakuje fakt, że Włosie masowo zapragnęli przejrzeć się w (krzywym) zwierciadle, które przedstawili im Genovese i spółka. Pieniądz jest smarem dla gospodarki, a hipokryzja dla życia społecznego. Pilnujcie swoich smartfonów! ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „LA LA LAND”

Ile nominacji, tyle nagród – siedem Złotych Globów trafiło do rąk twórców tego musicalu. I to w kategoriach m.in.: Najlepszy Film, Najlepszy Scenariusz, Najlepszy Reżyser, Najlepszy Aktorzy w Musicalu lub Komedii. A Damien Chazelle, główny architekt sukcesu (napisał scenariusz i wyreżyserował film), to przecież jak na Hollywood nowicjusz.

Historią spotkania (i uczucia) początkującej aktoreczki oraz aspirującego muzyka próbuje odtworzyć magię dawnego Hollywood.

©© **Piotr Gociel**

• „La La Land”, reż. Damien Chazelle, wyst. Ryan Gosling, Emma Stone, Rosemarie DeWitt, USA 2016

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Manchester by the Sea”, reż. Kenneth Lonergan, USA 2016
- „Split”, reż. M. Night Shyamalan, USA 2016
- „Dlaczego on?” („Why Him?”), reż. John Hamburg, USA 2016

Dusza boli

Z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach. To jedyny sensowny wniosek, jaki można wyciągnąć z „Nieprawych”.

Familia Anghelescu na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie dość zwyczajnej. Owszem, młodzi noszą pretensjonalne imiona (Gilda, Sasza, Romeo) i są do siebie zgoła niepodobni, zaś ich ojciec – z zawodu lekarz – pozuje na filozofa. Jednak podczas rodzinnego obiadu eksploduje pierwsza bomba. Okazuje się, że Victor przed laty donosił na kobiety zamierzające dokonać – niezgodnej z komunistycznym prawem – aborcji. Potomkowie oczekują, że się pokaja i wytłumaczy. Gdy ten odmawia, wybucha karczemna kłótnia i na jaw wychodzą kolejne sekrety.

Sitaru, podobnie jak inni rumuńscy filmowcy, uprawia realizm w wersji skrajnie ascetycznej. Są ludzie, którym się to podoba. Gorzej, że na ekranie panuje chaos, zupełnie jakby reżyser kręcił „Nieprawych” w chwilach wolnych od innych zajęć, dys-



★★★★★
REŻ. ADRIAN SITARU
„NIEPRAWY”
(„ILEGITIM”)
RUMUNIA/
FRANCJA/POLSKA
2016

wyst. Adrian Titieni,
Alina Grigore,
Robi Urs, Bogdan
Albulescu, Cristina
Olteanu

ponując wstępnym szkicem scenariusza i aktorami z łapanki. A za główny motyw muzyczny robi „Sonata księżycowa”. Nie jest to kino rozliczeniowe ani wiwiskcja ludzkiej natury w stylu „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni”. Sitaru mozolnie buduje jakąś dramaturgię, by w finale jednym ruchem ją unieważnić. Z ulgą żegnamy patologiczną rodzinę z Bukaresztu. Jeżeli twórca chciał wywołać u widzów niesmak, to cel osiągnął. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŚPIEWAĆ KAŻDY MOŻE

Hugh Grant przerwał dla tego filmu aktorską emeryturę, bo bardzo chciał zagrać u boku Meryl Streep. Któż by nie chciał! Efekt? Cztery nominacje do Złotych Globów, włącznie z najbardziej niespodziewaną – dla Simona Helberga (znany go z sitcomu „Teoria wielkiego podrywu”). Tytułowa Florence to postać autentyczna, głosna swego czasu w Nowym Jorku. Dziedziczka fortuny, mecenas muzyki i fatalna wokalistka, która mimo to nie porzuciła marzenia o występach na scenie (kto bogatemu zabroni?). Nie jest to jednak satyra na nieznosną bogaczkę, lecz kameralna opowieść o krzywdzie, jakiej doznała młoda Florence, i jej ciągnących się dekadami skutkach. Najciekawszą postacią wydaje się jej mąż St. Clair Bayfield, średnio utalentowany aktor, który zarazem wspiera ją i zdradza. Każda z postaci jest tu godna naszego współczucia i dobrze zagrana, z wyjątkiem pianisty Cosmé McMoona – Helberg jest zbyt płaski, za bardzo telewizyjny. ©©

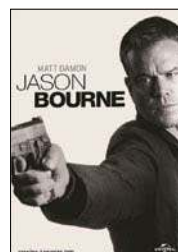


wyst. Meryl Streep,
Hugh Grant,
Simon Helberg

★★★★★
REŻ. STEPHEN FREAKS
„BOSKA FLORENCE”
(„FLORENCE FOSTER JENKINS”)
WIELKA
BRYTANIA 2016,
MONOLITH

ZABILI GO I UCIEKŁ

Jason Bourne, były spec CIA od mokrej roboty, znów rzuca wyzwanie swoim dawnym szefom. Z ukrycia (zarabia na życie, biorąc udział w nielegalnych walkach bokserkich) wyciąga go znana nam z poprzednich filmów Nicky (Julia Stiles), która wykradła z amerykańskich serwerów sekrety agencji, wśród nich dokumenty na temat ojca Bourne'a oraz początków programu, którego Bourne był ofiarą. Żli ludzie w dalszym ciągu chcą naszego bohatera zlikwidować, on chce wiedzieć więcej o swej przeszłości (te dwie reguły to esencja serii). W tej walce nieoczekiwanie pomoże Bourne'owi rozłam wśród ważnych figur CIA. Akcja przenosi się z Islandii do Grecji, z Berlina do Las Vegas, ale wszystko to jest dość monotonne, mimo starań reżysera Paula Greengrassa. W pamięci zaś najbardziej zostaje nie pojedynek finałowy, lecz zamieszki na placu Syntagma w Atenach.



wyst. Matt Damon, Tommy Lee Jones,
Alicia Vikander

★★★★★
REŻ. PAUL GREENGRASS
„JASON BOURNE”
USA 2016,
FILMOSTRADA

©© recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „WAR THUNDER”

Ponad trzy lata trwały prace nad ostateczną wersją jednego z najbardziej grywalnych symulatorów pola walki – „War Thunder”. Obok popularnego „World of Tanks” studia Wargaming Gaijin Entertainment równocześnie tworzyło własny wirtualny poligon, na którym gracze mogli przetestować

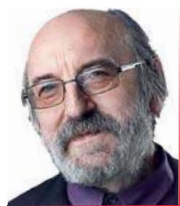
refleks, zasiadając za sterami czołgów lub samolotów z okresu II wojny światowej oraz koreańskiej. Opłaciło się. „War Thunder” odróżnia się od swojego głównego konkurenta przede wszystkim fizyką rozgrywki i dbałością o realizm. Oczywiście kosztem prostoty gry, która przyciągnęła do



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„World of Tanks” bardziej casualowych graczy. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** FPS
- **Platforma:** PS4/PC
- **Producent, dystrybutor:** Gaijin Entertainment
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Życie i śmierć Rafała Blütha

W jednej z pierwszych egzekucji przeprowadzonych w Warszawie w listopadzie 1939 r. przez niemieckiego okupanta rozstrzelano 15 mężczyzn skazanych na śmierć „za wykroczenie przeciw zarządzeniu o zakazie posiadania broni i za plądrowanie”. Przedostatnim na opublikowanej w „Nowym Kurierze Warszawskim” liście skazańców był Rafał Marceł Blüth, doktor filozofii, literat, mieszkający w Warszawie przy Alejach Ujazdowskich 15. Ojciec Tomasza Szaroty, historyka, autora znanych prac „Okupowanej Warszawy dzień powszedni” czy „Karuzela na placu Krasińskich”, oraz dziadek Piotra Szaroty, psychologa i kulturoznawcy, spod którego pióra wyszły takie książki jak „Od skarpetek Tyrmanda do krawata Leppera”, „Wiedeń 1913” i „Londyn 1967”.

Tomasz Szarota nigdy nie zobaczył swego ojca, urodził się jako pogrobowiec. Hitlerowcy aresztowali zresztą również jego matkę, zwalniając ją ze względu na zaawansowaną ciążę. Kiedy jej ojciec, interweniując w sprawie zatrzymanego zięcia, udał się do siedziby gestapo, zabierając ze sobą posiadane odznaczenia, w tym francuską Legię Honorową, niemiecki oficer je podeptał. A powody aresztowania Rafała Blütha były zgoła inne niż te oficjalnie podane. Kiedy mianowicie Niemcy przyszli do mieszkania przy Alejach Ujazdowskich, chcąc je obejrzeć ze względów bezpieczeństwa (Hitler tam właśnie miał przyjmować na- zajutrz defiladę), na biurku, obok maszyny do pisania, spoczywał tekst tłumaczonego przez rodziców Tomasza Szaroty, na zlecenie Stefana Jaracza, dramatu „Sprawa Jakubowskiego”. Dziesięć lat wcześniej sztuka Eleonory Kalkowskiej była wystawiana w Berlinie, Lipsku oraz Dreźnie i uchodziła za antyniemiecką. Któryś z dokonują-



FOT. PRZEMISŁAW TRACZAK

cych oglądu mieszkania członków Einsatzgruppe IV o tym wiedział, nazwisko Kalkowskiej było zresztą znane.

Elida Maria Szarota, żona Rafała Blütha, syna używającego jej nazwiska urodziła w styczniu 1940 r. Trudno to sobie wyobrazić, ale nikt jej nie poinformował o komunikacie wydrukowanym w „Kurwarze”. Nie była więc świadoma śmierci męża, a kilka miesięcy później Niemcy przyszli po nią po raz wtóry; dziewięć miesięcy trzymała ją na Pawiaku.

Egzekucja Rafała Blütha – co ustalono dopiero w 1971 r. – odbyła się w parku Natolińskim. Pułkownik Josef Meisinger, odpowiedzialny za zbrodnię, został w 1947 r. powieszony w więzieniu mokotowskim. Po odkryciu szczątków ofiar i odnalezieniu m.in. obrączki ślubnej Blütha z wygrawerowanymi inicjałami jego żony rodzina chciała pochować zamordowanego w Laskach, z którymi był związany jako współzałożyciel znajdującego się tam ośrodka dla niewidomych, współpracownik

Verbum, jeden z najwybitniejszych intelektualistów katolickich międzywojennej Polski. Nie było to jednak możliwe, nie robiono jeszcze badań DNA, ostatecznie więc Rafał Blüth wraz z innymi ofiarami egzekucji spoczął na cmentarzu przy ul. Wałbrzyskiej.

A Tomasz Szarota pogłębiał wiedzę o swoim nieznanym ojcu. Nie tylko był on wybitnym krytykiem literackim, znawcą Mickiewicza i Conrada (jego szkice poświęcone autorowi „Lorda Jima” czekają na publikację), lecz także doskonałym znawcą problematyki rosyjskiej, literatury powstającej w ZSRS i tamtejszych stosunków społeczno-politycznych. Naturalnie przez lata PRL nawet wspomnienie o tym było niecenzuralne. Tym bardziej warto teraz zwrócić uwagę na książkę, w której znalazły się wszystkie teksty Blütha dotyczące Sowietów, a trzeba też wiedzieć, że jako jeden z pierwszych pisał on o wielkich procesach moskiewskich lat 30., zwracał także uwagę na charakterystyczną zmianę w podejściu sowieckiego państwa do zagadnień rodziny, jakże odległą od zasad swobody obyczajowej firmowanych u progu bolszewii przez Aleksandrę Kołontaj.

W 1987 r. ukazały się, nakładem Znaku, „Pisma literackie Rafała Blütha”, obecnie poznajemy jego szkice sowietologiczne (nawiasem mówiąc, autor ich nie był nigdy w ZSRS, pilnie za to studiował to wszystko, co pisano na temat tego pierwszego w świecie „państwa robotników i chłopów”. Z wolna coraz pełniejszy staje się obraz tego autora, także świetnego publicysty katolickiego, orędownika – co należy podkreślić – papieża Piusa XI i jego polityki zarówno wobec ZSRS, jak i III Rzeszy. A nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że na katolicyzm przeszedł Rafał Blüth z judaizmu dopiero w 1921 r. Miał wtedy 30 lat. ©



★★★★★

**RAFAŁ MARCEŁ
BLÜTH**

„»LIKWIDACJA
LENINOWSKIEJ
ELITY« ORAZ
INNE PISMA
SOWIETOLOGICZNE
1933–1938”
BIBLIOTEKA
„WIĘZI”,
WARSZAWA 2016



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Koniec świata nastąpił

Szukając przegapionych nowości roku 2016, o których warto opowiedzieć nawet z opóźnieniem, niespodziewanie znalazłem jedną z najciekawszych premier roku 2015, o której kilka razy chciałem napisać, ale zawsze były pilniejsze sprawy. Naprawiam niniejszym swoje dawne zaniedbanie. Tym bardziej że książkę bez trudu nadal można kupić.

„Stacja Jedenaście” autorstwa Kanadyjki Emily St. John Mandel to powieść, która napisana została niedawno (oryginalne wydanie to rok 2014), a już trafiła do kilku różnych zestawień typu „sto najlepszych książek SF wszech czasów”. Należy do podgatunku, który nazywam „cichą apokalipsą”. Podobnie jak u Stephena Kinga w „Bastionie” mamy tu zmutowaną gripę, która wybija ludzkość. Ocalałych jest jednak więcej, a życie powoli zaczyna się odradzać. Zupełnie inne życie, rzecz jasna, bo cywilizacja cofnęła się do czasów sprzed elektryczności.

Akcja książki zaczyna się tuż przed katastrofą, ale trzon opowieści rozgrywa się 20 lat później, czyli w chwili, kiedy dorasta już całe pokolenie, dla którego opowieści o działających telewizorach czy Internecie są takimi samymi bajkami jak historie

o wrózkach. Ładnie napisana, nastrojowa opowieść zyskuje dzięki prostej zasadzie „mniej znaczy więcej”.

Zamiast straszyć czytelnika obrazami zagłady, Mandel koncentruje się na ludziach – choćby członkach wędrownego trupy teatralnej, którzy w spustoszonej świecie wciąż (na życzenie widzów) wystawiają Szekspira. „Ludzie pragną tego, co było najlepsze w starym świecie” – tłumaczy jeden z bohaterów. Potrzeba muzyki, potrzeba opowieści, potrzeba cudowności to coś, co łączy mieszkańców świata „sprzed” i „po”, przy czym ci drudzy oczywiście bardziej resztki kultury doceniają. A dla dziejów kilku postaci z tej powieści najważniejsza okazała się pewna publikacja (nie zdradzę szczegółów, ale ma związek z tytułem książki) istniejąca w wyjątkowo małej liczbie kopii.

Sztuka bowiem ocala – może nie narody, ale ludzie. I nieważne, że jest to sztuka uważana przez niektórych za bardzo niską. Ta wiara w potęgę opowieści, w to, że nie da się ludzkości zabić dopóty, dopóki niesie ona ze sobą swe opowieści (od Szekspira do komiksów), łączy książkę Mandel ze słynnym „451 stopni Fahrenheita” Raya Bradbury’ego. A wszystkim piszącym i czytającym dodaje otuchy. ©



★★★★★

EMILY ST. JOHN
MANDEL
„STACJA
JEDENAŚCIE”
GALERIA KSIĄŻKI
2015

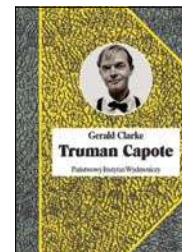
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Jedną z najbardziej przegapionych premier minionej roku. Łotzykowska powieść autora „Batalionu czołgów” o kompozytorze Dwořaku. Lekka i zabawna, choć formalnie najbardziej skomplikowana spośród książek Škvorecký’ego.



JOSEF ŠKVORECKÝ
„SCHERZO
CAPRICCIOSO”
KSIĄŻKOWE
KLIMATY

Wzniesienie po ośmiu latach jedynej (i rozchwytywanej przez czytelników) biografii autora „Z zimną krwią” i „Śniadania u Tiffany’ego”. Tym razem w popularnej serii „Biografie sławnych ludzi”.



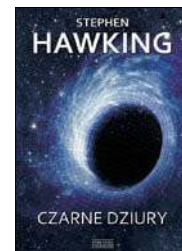
GERALD CLARKE
„TRUMAN
CAPOTE”
PIW

Po sześciu latach czytelnicy doczekali się kontynuacji cyklu „Zastępy Anielskie” (otworzył go w 2003 r. tom „Obroncy Królestwa”). Teraz Królestwo, by przetrwać, organizuje wyprawę do Stefy Poza Czasem, szukając emanacji Światłości.



MAJA LIDIA
KOSSAKOWSKA
„BRAMY
ŚWIATŁOŚCI”
FABRYKA SŁÓW

Dwa 15-minutowe wykłady znakomitego fizyka Stephena Hawkinga wygłoszone rok temu, w styczniu 2016 r., na antenie Radia BBC. Opatrzzone ilustracjami i wyjaśnieniami czyniącymi je zrozumiałymi także dla laika.



STEPHEN
HAWKING
„CZARNE
DZIURY”
ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Marie Tourell Soderberg „Hygge. Duńska sztuka szczęścia” (Insignis)** – poradnik: jak sprawić, by radość z małych rzeczy zmieniła się w radość dużą.
2. **Paula Hawkins „Dziewczyna z pociągu” (Świat Książki)** – ekranizacja przemknęła przez kino, powieść wróciła na szczyty list bestsellerów.
3. **Jan Kaczkowski, Joanna Podsiadecka „Dasz radę” (WAM)** – ostatni wywiad ze zmarłym w marcu zeszłego roku założycielem Puckiego Hospicjum pw. św. Ojca Pio.
4. **J.K. Rowling „Harry Potter i przekłute dziecko” (Media Rodzina)** – dorosły Harry pracuje w Ministerstwie Magii. Szkoda, że to tekst sztuki, a nie powieść.
5. **M.L. Stedman „Światło między oceanami” (Albatros)** – rok 1920, samotne małżeństwo przygarnia obce dziecko. Są konsekwencje. Melodramat retro.

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 12 do 31 grudnia 2016 r.)



ŁUKASZ ZBORALSKI

TO MI BRZMI

Miłość czysta jak śnieg

Tomek Kamiński to muzyk, który jednym znany będzie ze skrzypiec i śpiewu w zespole Nocna Zmiana Bluesa, a drugim ze swojej solowej kariery, która wiąże się mocno z nurtem muzyki religijnej (jego cykl styczniowych koncertów odbywa się wyłącznie w kościołach i parafiach). Pierwsi będą go pamiętać głównie z siedmiu płyt ze Sławomirem Wiercholskim, choć nagrywał też z Dżemem, a drudzy na pewno dobrze kojarzyć będą najpopularniejszy utwór „Ty tylko mnie poprowadź”.

Tej zimy Tomek Kamiński wpuścił do Internetu coś zupełnie nowego. Toruński muzyk, który dysponuje naprawdę świetnym głosem, zmierzył się z tak legendarnym kawałkiem, że można było



Tomek Kamiński nagrał autorską wersję „Stand by me” FOT. JOANNA ZIOŁKOWSKA

mieć obawy, czy wyjdzie z tego obronną ręką. Wziąć na warsztat „Stand by me” Bena E. Kinga to jak zaśpiewać w muzycznym show Niemena.

I choć można mieć trochę zastrzeżeń do niektórych fraz tłumaczenia hitu z 1961 r., to opublikowany na YouTube cover wypadł nadzwyczaj dobrze. Zwłaszcza że lekko chrypiący głos muzyka okrasza świetny teledysk w zimowej scenerii, który pokazuje historię młodych zakochanych kończącą się tym, że nadal są zakochani, choć już nieco starsi.

Po kilku odsłuchaniach „Bądź blisko mnie” zaczyna się wsiąkać

w tę historię głębiej i głębiej. Nie mam wątpliwości, że ta piosenka o miłości puszczana często w radiowych stacjach mogłaby w zimowym czasie stać się naprawdę popularnym kawałkiem.

„Trąci myszką” – mówią jedni. „Takie sobie” – dodają inni. „Lekko infantylnie” – uzupełniają kolejni. No pewnie! Taka zwykła, prosta miłość dziś ociera się o banał. I śpiewanie o niej także. Jakże jednak inaczej jednak słuchać będą Tomka Kamińskiego ci, którzy akurat przeżywają swoje szczęście jako nastolatki. I jak inaczej posłuchają tego ci dorośli, którzy przypomną sobie chwile, gdy sami mieli 17 lat? ©



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kolejny Polak w Hollywood

Abel Korzeniowski jest kolejnym polskim kompozytorem, który zdomował się w Hollywood. Sukcesy w tej dziedzinie mamy długoletnie, poczynając od dokonania Henryka Warsa i Bronisława Kaper. Ten drugi jeszcze w 1954 r. dostał Oscara za muzykę do filmu „Lili”.

44-letni Korzeniowski ma na razie dwie nominacje do Złotych Globów i szansę na kolejnego polskiego Oscara. W końcu minęło już 12 lat od sukcesu Jana A.P. Kaczmarka, więc statuetka „nam” się należy.

Abel od 10 lat mieszka w Kalifornii, napisał muzykę do 11 zachodnich obrazów, w tym „W.E. Królewskiego romansu” w reżyserii samej

Madonny. Największe uznanie zyskał za ścieżki dźwiękowe do filmów Toma Forda. Ubiegłoroczne „Zwierzęta nocy” zachwyciły widzów festiwalu w Wenecji i startują obecnie w walce o Oscara. Korzeniowski skomponował wspaniałą orkiestrową muzykę przepełnioną zmianami nastrojów i idealnie wpisującą się w charakter psychologicznego thriller. Muzyka jest tak samo przewrotna jak sam film. W dramatycznych, pełnych przemocy scenach jest subtelna, by nie rzec – romantyczna, a emocjonalnym rozterkom bohaterki towarzyszy prawdziwa dźwiękowa groza. Szkoda tylko, że płyta trwa niewiele ponad pół godziny. ©



★★★★★
ABEL KORZENIOWSKI
„ZWIERZĘTA NOCY”
FOCUS



★★★★★
MUZYKA FILMOWA
„THE MAN WHO FELL TO EARTH”
UNIVERSAL

W 1976 r. David

Bowie zagrał w filmie „Człowiek, który spadł na Ziemię”. Teraz, po raz pierwszy, ukazał się świetny soundtrack. Autorem oryginalnej muzyki był John Phillips z zespołu The Mamas & The Papas. Jego piosenki uzupełniły jazzowe instrumentale Stormu Yamashty i hity z lat 40. ©



★★★★★
KRZYSZTOF ŻEŚLAWSKI QUARTET & NATALIA LUBRANO
„OSIECKA JAZZOWO”
MTJ

Ponieważ wszyscy od lat przerabiają Osiecką, Krzysztof z Natalią są bardzo nie kombinowali. Wybrali głównie hity i przerobili je zgodnie z tytułem. Kapela miło swinguje, wokalistka ma ciekawy głos, a całość idealnie pasuje do wystroju ekskluzywnych restauracji. ©

dorzeczy.pl

W NOWEJ ODSŁONIE!

INFORMACJE | OPINIE | RELACJE | EMOCJE



PUBLICYSTYKA NAJWYŻSZEJ PRÓBY.

TERAZ BLIŻEJ CIEBIE.

WEJDŹ ►

Jak Bauman unicestwiał Polskę



Tadeusz Płużański

Zygmunt Bauman, który zmarł w brytyjskim Leeds, nie chciał pamiętać o swojej przeszłości. Szkoda, że nie chciał również organa ścigania

Grupa ogolonych na tyso Polaków wtargnęła na wykład prof. Zygmunta Baumana w Manchesterze i przerwała go wulgarnymi przyspiewkami [precz z komuną]. Po krótkim czasie opuścili budynek. Nie zostali zatrzymani – oburzała się w 2014 r. „Gazeta Wyborcza”, podkreślając z satysfakcją, że podczas wcześniejszego wykładu we Wrocławiu (na zaproszenie prezydenta miasta Rafała Dutkiewicza) kilku młodych ludzi za protest przeciwko obecności Baumana na tamtejszym uniwersytecie zostało skazanych na kary 20–30 dni aresztu, a 12 dostało grzywny od 1 do 6 tys. zł.

Czyli zamiast ścigać prawdziwych przestępców, w tym zbrodniarzy komunistycznych, aresztowało się i skazywało ludzi, którzy o takich zbrodniarzach przypominali. Ponieważ mjr Bauman zamiast o swojej przeszłości lubił dyskutować o swoich ponowoczesnych (postalinowskich) koncepcjach. Tymczasem skazany, oczywiście po udowodnieniu mu winy, powinien zostać właśnie on.

Przypomnę, że prekursorem zaprosin byłego majora KBW do Wrocławia w 2011 r. był prominentny polityk PO, minister kultury Bogdan Zdrojewski, który gościł Baumana na Europejskim Kongresie Kultury. Zdrojewski zresztą najwyraźniej upodobał sobie stalinowca – rok wcześniej przyznał mu Złoty Medal Zasłużony Kulturze – Gloria Artis. A ponieważ Bauman został też zaproszony na debatę naukową do Poznania i Gdańska, tam również protestowali przeciwko jego występowi młodzi Polacy.

ZA CO KRZYŻ WALECZNYCH?

W kontekście gościnnych występów prof. Zygmunta Baumana na polskich uniwersytetach słyszałem opinie, że nie ma się za bardzo czym przejmować, bo naukowców zaczadzonych komunizmem było wielu. Jednak nie tylko o „heglowskie ukąszenie” tu chodzi. Baumana wyróżniało coś gorszego – udział w sta-

linowskim aparacie represji. Słyszałem też, że o powojennych losach Baumana wiemy niewiele. Że nie powstała jego biografia. Dlatego jest zapraszany przez nieświadomych niczego ministrów i prezydentów, obsypywany honorami i medalami. To prawda częściowa, bo historycy wiedzą na jego temat – od lat – wystarczająco dużo. I swoją wiedzę publikują. Problem polega na czymś innym – na zainfekowaniu polskich umysłów przez sowieckie „elity” – te przybyłe do nas po wojnie na obcych czołgach, które miały potem wystarczająco dużo czasu, aby wychować swoich następców.

„Najstłynniejszy żyjący polski socjolog. Wnikliwy filozof. Najlepszy analityk świata ponowoczesnego: świata internetu, rozpadających się więzi międzyludzkich, niepewności. Świata, w którym wszystko płynie” – czytamy we wstępie do jednego z wywiadów z Baumanem w „Gazecie Wyborczej”. I tu „zapomniał” o sprawie podstawowej – że sam aktywnie przyczynił się do rozpadu dawnego świata i jego tradycyjnych wartości i więzi.

Unicestwiał przynajmniej dwutorowo – jako oficer polityczny „ludowego” Wojska Polskiego, funkcjonariusz zbrodnictwa Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i agent innej sowieckiej jednostki – jeszcze bardziej krwawej Informacji Wojskowej. A od 1953 r. robił to samo – tylko po podłaniu naukowym sosem – jako socjolog. Obie te „aktywności” Baumana były ze sobą ściśle związane. W dokumencie z 1950 r., kiedy dostał awans w KBW, czytamy: „Jako szef Wydziału Polityczno-Wychowawczego [...] bierze udział w walce z bandami [polskim podziemiem niepodległościowym]. Przez 20 dni dowodził grupą, która wyróżniła się schwytnością wielkiej ilości bandytów. Odniesienie Krzyżem Walecznych”. I dalej: „Mjr Bauman ma przed sobą poważną perspektywę naukową”. Czyli nie tylko „uświadamiał” żołnierzy w duchu zbrodnictwa stalinizmu, lecz także osobiście zwalczał „bandy”.

I to jest właśnie powód, dla którego mjr Zygmunt Bauman powinien być ścigany. Wymiar sprawiedliwości III RP nie sprawdził jednak, za co naprawdę dostał Krzyż Walecznych. Czy „tylko” za to, że jako dowódca wydawał rozkazy walki z „bandami”, czy może sam do „bandytów” strzelał? Zresztą każdy z tych przypadków jest przez polskie prawo

kwalifikowany jako zbrodnia komunistyczna, która nie ulega przedawnieniu.

USPRAWIEDLIWIENIE STALINIZMU

Naukowa kariera Baumana rozpoczęła się, zanim ruszył w teren ścigać AK-owców. Studia podjął zaraz po ucieczce z Polski we wrześniu 1939 r. na sowieckich uniwersytetach, choć dla obywatela polskiego – pozbawionego wiadomych powiązań – nie było to możliwe. Potem, będąc w KBW, uczył się w partyjnej Akademii Nauk Społecznych i Politycznych, a następnie na Uniwersytecie Warszawskim (promotorem jego pracy magisterskiej był słynny marksistowski ideolog prof. Adam Schaff). Jako asystent innego stalinowca – Juliana Hochfelda – zrobił błyskawiczną karierę naukową. W 1956 r. obronił pracę doktorską, a cztery lata później zrobił habilitację. W latach 60. wykładał w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym PZPR – kuźni sowieckich „elit”.

I do samego końca indoktrynował w duchu ponowoczesnym (postalinowskim). Aida Edemariam, dziennikarka brytyjskiego „Guardiana”, tak opisała poglądy Baumana (28 kwietnia 2007 r.): „Utrzymuje, że nowoczesność stworzyła idealne warunki, aby działać nieetycznie”, gdzie „posłuszeństwo przełożonym było wartością najwyższą”, a „wielopoziomowość częściowo uniemożliwiła zwykłym ludziom zrozumienie konsekwencji własnych uczynków”. No właśnie, w czasach nowoczesnych (stalinowskich) Bauman nie zdawał sobie sprawy, co się dokoła dzieje. Był posłuszny przełożonym, wykonywał rozkazy. Czy taka osoba może być winna? Jednak na wszelki wypadek lepiej uciec od nowoczesności (stalinowskiej przeszłości) w ponowoczesność, gdzie wszystko jest płynne, relatywne.

Według Baumana – za „Guardianem” – w czasach nowoczesności „wzięcie osobistej odpowiedzialności i postępowanie moralne stało się większą próbą charakteru niż kiedykolwiek przedtem w historii”. Nie ulega wątpliwości, że Bauman tej próbie nie sprostał.

Koncepcja płynnej ponowoczesności ma swoje praktyczne cele: służy ochronie, relatywizacji i usprawiedliwianiu własnego życiorysu (w duchu „dałem się uwieść”), aby nie musieć się zeń w żaden inny sposób rozliczać, aby nikogo nie przepraszać – ani żołnierzy wyklętych, ani tych, których umysły zniewalał. Znosi jednostkową winę. Owa ponowoczesność służy też

■ rozmywaniu odpowiedzialności innych stalinowców, usprawiedliwianiu całej formacji.

NIKOMU NIE ZASZKODZIŁ?

Kariera – od politruka do naukowca – nie byłaby możliwa, gdyby Bauman i jego koledzy najpierw fizycznie nie pozbyli się prawdziwych polskich elit, a później nie wyrzucili niedobitków z uczelni. Najpierw ścigali watahy po lasach, a potem dorzynali je na uniwersytetach. Tak zamordowano „Łupaszkę”, „Zaporę”, Pileckiego i dorżnięto Kotarbińskiego, Tatarkiewicza, Ossowskich. Dzisiaj potomkowie tych niedobitków upominają się o prawdę.

Na świecie przeszłość Baumana jest jednak nieznana. Ze wspomnianego wywiadu dla „Guardiana” (jedyne obszernie odnoszące się do przeszłości profesora) zachodni czytelnik nie dowie się, czym był KBW. Prócz tego, że zwalczał „terrorystów wewnątrz kraju”. Ani słowa o tym, kim byli owi „terrorysty”. A przede wszystkim o tym, że Korpus był zbrojnym ramieniem sowieckiego okupanta, utworzonym na wzór NKWD, przeznaczonym do pacyfikacji polskich niepodległościowców. Oczywiście nie ma też nic o Baumanowym Krzyżu Walecznych, ani o wcześniejszej (w czasie wojny) służbie w sowieckiej milicji w Moskwie, która bezpośrednio podlegała NKWD.

Nie przeczyta się też, że Bauman „uwiodła” Informacja Wojskowa – stworzona przez Sowietów i im bezpośrednio podległa, która okrucieństwem przebiła nawet słynną cywilną bezpiekę. Bauman oczywiście miał swoje ponowoczesne wytłumaczenie: „Każdy porządny obywatel powinien uczestniczyć w kontrwywiadzie. To jest jedyna rzecz, którą utajniłem, bo przecież podpisałem zobowiązanie, że zatrzymam to w tajemnicy...”. Bauman oczywiście nie powiedział (a dziennikarka nie dopytała), że czym innym jest kontrwywiad własnego państwa, a czym innym państwa okupacyjnego. Jednak przy okazji profesor – chyba tracąc na chwilę rewolucyjną czujność – przyznał, że pozostał wierny tamtej Polsce – kolonii Stalina. Tylko że takich niuansów człowiek Zachodu znów nie zrozumiał. Tym razem dziennikarka dopytywała: „Czy kontrwywiad znacząco donoszenie na ludzi, którzy walczyli przeciwko komunistom?”. Odpowiedź: „Tego ode mnie oczekiwano, ale nie pamiętam, żebym cokolwiek takiego robił. Nie miałem nic do roboty – siedziałem w biurze i pisałem – to nie była dziedzina, w której mogłem zebrać

cokolwiek ciekawego”. Dziennikarka jednak dążyła: „Czy zrobił pan coś, co mogło komuś zaszkodzić?”. Bauman: „Nie potrafię na to odpowiedzieć. Nie wydaje mi się, żeby tak było”.

Przypomnijmy zatem profesorowi opinię oficera prowadzącego TW Semjona (czyli Baumana): „Dobrze wyszkolony. Materiały jego są cenne i dają analizę pracy aparatu polityczno-wychowawczego”.

Nie trzeba być zresztą specjalistą od stalinizmu, aby wiedzieć, że każdy donos w każdych czasach przynosił szkodę. Nie ulega jednak wątpliwości, że w dyktaturach dużo większą. W „Guardianie” cytat ten nie pada (bo niby skąd brytyjska dziennikarka ma o tym wiedzieć?), za to profesor twórczo rozwija swoją koncepcję ponowoczesności: „Wtedy wydawało mi się to właściwe. Niektóre wybory w każdym życiu mogą być uznane za błędne, tyle tylko że nie muszą być oczywistymi błędami w czasie, gdy się ich dokonuje. Miałem wtedy 19 lat i nie wiedziałem wówczas tyle, ile wiem dziś mając 82”.

Bauman kształcił kolejnych homo sovieticus, najpierw bardziej stalinowskich, potem bardziej rewizjonistycznych

Czyli błędy (bo nawet nie grzechy) młodości. Jakże przypomina to słowa Adama Michnika o jego bracie Stefanie (stalinowskim sędzim wojskowym, również tajnym współpracowniku Informacji Wojskowej).

Przeszłość była dla Baumana bez znaczenia. Niestety dla organów ścigania III RP także. Tak jak przeszłość Stefana Michnika, który kiedyś był łaskaw stwierdzić: „Przeszłość jest moją prywatną sprawą”.

W końcu Bauman został rewizjonistą, za co – jak twierdził – słono zapłacił: „Współpracowałem przez 2–3 lata, a przez 15 lat bezpieczeństwa mnie prześladowała. [...] szpiegowano mnie, donoszono na mnie, mój telefon był na podsłuchu itd. Wyrzucili mnie z KBW i w końcu, jak Pani wie, wyrzucili mnie też z uniwersytetu i zakazano publikacji moich prac. [...] Czuję się bardziej ofiarą” – kwitował.

A przecież przez te wszystkie lata, kiedy był „prześladowany”, wykladał dalej – na UW i w SNS. Kształcił kolejnych homo sovieticus, najpierw bardziej stalinowskich,

potem bardziej rewizjonistycznych. Ponieważ okupacyjna władza wciąż potrzebowała nowych „elit”, które zastępowały te prawdziwe, przedwojenne.

PONOWOCZESNE KADRY

Bauman przyznawał, że od marksizmu odchodził długo i na dobre odszedł dopiero wtedy, gdy sam system go odrzucił. Jednak czy na pewno? Przecież ponowoczesność ze swoim relatywizmem i zerwaniem z tradycyjną konstrukcją świata jest w marksizmie głęboko osadzona. Paradoksalnie – właśnie po 1968 r., kiedy Bauman opuścił Polskę, wypłynął na szerokie wody i stał się „najlepszym analitykiem” stworzonej przez siebie, utopijnej i szkodliwej koncepcji, która pozwoliła mu również naukowo uciec od jego dawnych win.

Oczywiście nie był jedynym, który dał się „uwieść”, a potem kazał swoje „uwiędzenie” zrewidować. „Uwiedzeni” zostali Leszek Kołakowski, Bronisław Baczko, Włodzimierz Brus i młodszy: Seweryn Blumsztajn, Waldemar Kuczyński, Stefan Meller, Adam Michnik, Aleksander Smolar czy Henryk Szlajfer. Starsi zostali „autorytetami” światowymi, młodszy na ogół tworzyli okrągłostołowy „salon” tu, na miejscu. Czy możemy się dziwić, że zawsze bronili swojego mistrza?

Z przedstawicielką takiej postalinowskiej „elity”, prof. Aleksandrą Jasińską-Kanią, córką agenta NKWD Bolesława Bieruta, Bauman mieszkał pod jednym dachem w Leeds. Wcześniej był promotorem jej pracy doktorskiej pt. „Karol Marks a problemy alienacji we współczesnej socjologii amerykańskiej”. Naukowo udzielał się nie tylko na Zachodzie. W Teremiskach na Podlasiu był rektorem Uniwersytetu Powszechnego im. Jana Józefa Lipskiego. Młode, ponowoczesne kadry dalej płynnie wykładał.

Zygmunt Bauman nie mówił, że mógł odejść z wojska i nie wstępować do zbrodnictwa KBW, że dokonał wyboru. Często zresztą słychać do dziś, że bez tego młodzieńczego, właściwie niewinnego ukąszenia, nie zostałyby „wnikliwym filozofem, najlepszym analitykiem świata ponowoczesnego”. Tylko co mają powiedzieć ci młodzi, którzy ginęli z rąk NKWD, KBW, IW, UB. Też mogli wyrosnąć na profesorów, ale nie ukąszonych. Bardzo nam ich we współczesnej Polsce brakowało i brakuje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą, prezesem Fundacji „Łączka”

NAJNOWSZA KSIĄŻKA KRÓLOWEJ POLSKIEJ FANTASTYKI

— MAJA LIDIA —
KOSSAKOWSKA

*Bramy
Światłości*



KRÓLESTWO BOŻE I OTCHŁAŃ W WYPRAWIE
DO KRAIN POZA CZASEM.

**NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ, W KTÓREJ FIKCJA MIESZA SIĘ
Z USTALENIAMI NAJWIĘKSZYCH BADACZY BIBLII, KORANU,
DZIEŁ APOKRYFICZNYCH, LEGEND Z CAŁEGO ŚWIATA.**

Reforma Franciszka



Tomasz P. Terlikowski

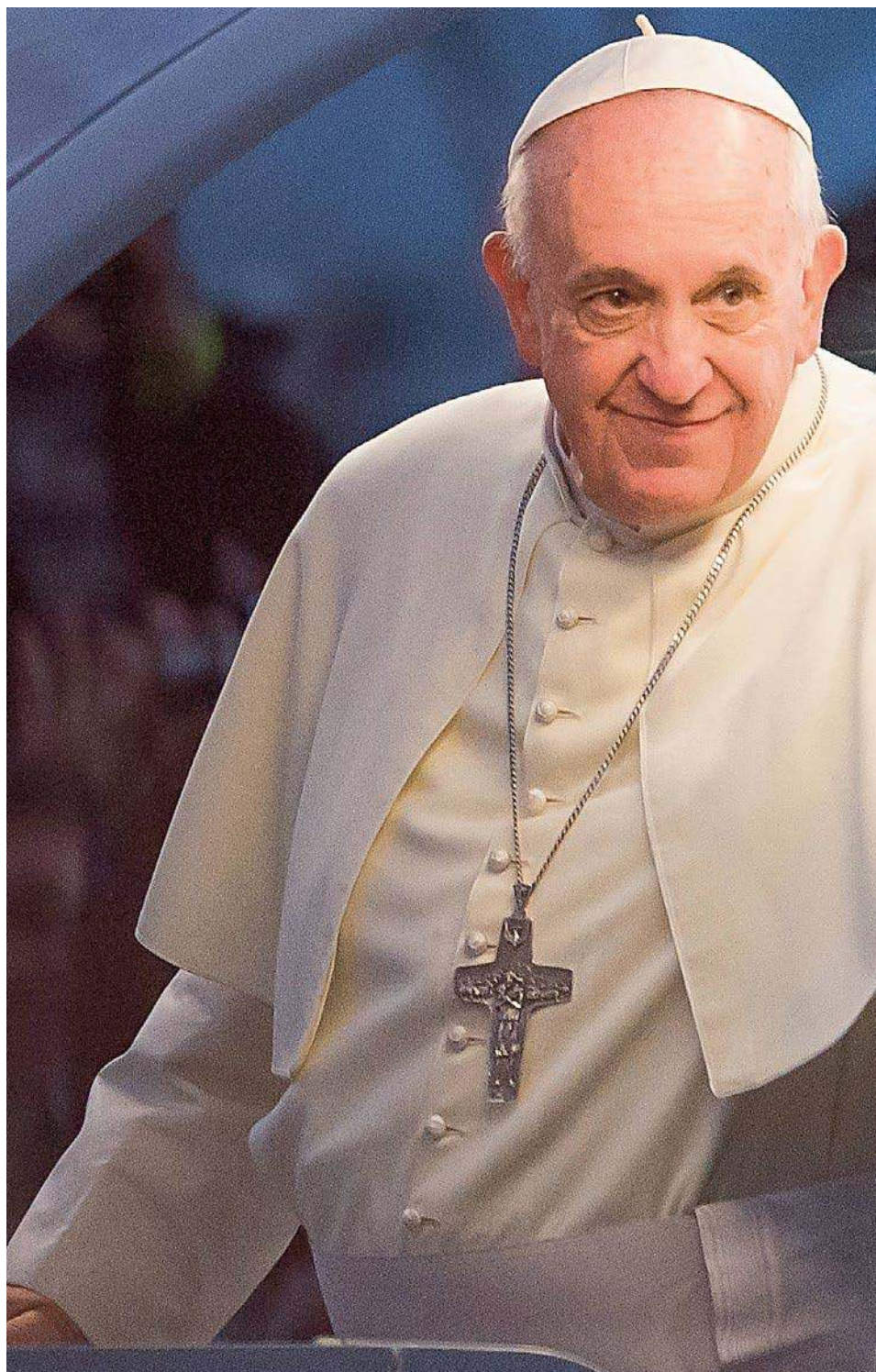
Zmiany w Kościele nabierają tempa. Na tapetę trafiają kolejne tematy, a przeciwnicy reform są coraz ostrzej atakowani, a niekiedy usuwani

Nikt, kto obserwuje uważnie Kościół, nie może mieć już wątpliwości. Franciszek rozpoczął program głębokiej reformy (by nie powiedzieć reformacji) katolicyzmu, a obecnie projekt ten przyspiesza. Powód jest dość oczywisty. Papież nie jest wieczny i nikt nie może być pewny, czy na kolejnym konklawe (mimo że nowi kardynałowie mianowani przez Franciszka są zazwyczaj przekonаныmi bergoglianami) wybrany zostanie ktoś o poglądach bliskich Ojcu Świętemu czy wręcz przeciwnie – nadejdzie czas odreagowania zmian.

Nie ukrywają tego zresztą zwolennicy obecnego papieża, którzy tak jak kard. Karl Lehmann apelują, by jak najszybciej wprowadzać nowinki i realizować nawet takie pomysły, o których papież Franciszek nie mówi wprost. – Franciszek chce od nas odkrywania nowych ścieżek. Czasem nie warto czekać, aż wielki tankowiec zmieni kurs – przekonywał emerytowany już kardynał w wywiadzie dla niemieckiego portalu internetowego Katholisch.de. Hierarcha apelował do niemieckich biskupów, by ci skorzystali z „wolności przyznanej im przez papieża” i szybciej liberalizowali dyscyplinę.

INTERKOMUNIA NA TAPECIE

Żeby nie było wątpliwości: chodzi nie tylko o dostęp osób rozwiedzionych w ponownych związkach do komunii świętej (kolejne diecezje i okręgi duszpasterskie to rozwiązanie – zgodne, jak przyznał sam Franciszek, z papieskimi



przyspiesza



Święty Jan Paweł II i Benedykt XVI przypominali, że nie ma mowy o wspólnej komunii świętej tam, gdzie nie ma jedności w wierze. Papież Franciszek (na zdjęciu) nie jest tak jednoznaczny. FOT. BUDA MENDES/GETTY IMAGES

intencjami – przyjmują; w minionym tygodniu zrobiła do diecezja rzymska), lecz także o interkomunii, stosunek do par homoseksualnych, ewentualne zniesienie obowiązkowego celibatu. O wszystkich tych rzeczach coraz otwarciej mówią bliżsi i dalsi współpracownicy Franciszka, a także – wspomniani już – niemieccy biskupi.

Pomysł, by w 500. rocznicę reformacji wprowadzić interkomunię między luteranami a katolikami, jest już formułowany zupełnie wprost, choćby przez biskupa Osnabrücka Franza-Josefa Bodego. Jego zdaniem na początek trzeba ją wprowadzić w odniesieniu do małżeństw mieszanych. Wspólna Eucharystia, co mocno podkreślał biskup, miałaby być krokiem w kierunku jedności i budowy „wspólnego Kościoła przyszłości”. Minimalnym punktem wspólnym byłaby zaś wówczas „wiera w Jezusa Chrystusa i Trójjedynego Boga”.

Kłopot z tymi opiniami jest tylko taki, że są one absolutnie nie do pogodzenia z tradycją Kościoła, którą niezmiennie mocno wyrażali zarówno św. Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI. Obaj papieże przypominali, że nie ma mowy o wspólnej komunii świętej tam, gdzie nie ma jedności w wierze. Franciszek jednak nie jest tak jednoznaczny. – Nie jest mi łatwo odpowiedzieć na pytanie dotyczące udziału w Wieczery Pańskiej, zwłaszcza przed takim teologiem jak kard. Kasper! Boję się! – mówił, odpowiadając na pytanie luteranki, która ma męża katolika. Ten lęk nie przeszkodził jednak papieżowi w sformułowaniu dość jednoznacznej opinii. – Na twoje pytanie mogę odpowiedzieć jedynie pytaniem: Co mogę zrobić z moim mężem w sytuacji, gdy Wieczera Pańska towarzyszy mi w mojej drodze? To jest problem, na który każdy musi odpowiedzieć sam. Pewien jednak pastor przyjaciel powiedział mi kiedyś: „Wierzmy, że Pan jest tam obecny. Wszyscy wierzą, że Pan jest obecny. A więc co to za różnica?”. Ech te wyjaśnienia, interpretacje... Życie jest większe niż wyjaśnienia i interpretacje. Zawsze należy odnieść się do chrztu. „Jedna wiara, jeden chrzest, jeden Bóg”. To jest to, co mówi nam Paweł, i z tego trzeba wyciągać wnioski – mówił. Na koniec dodał, że nie oznacza to pozwolenia, „bo nie należy to do moich kompetencji”. Jeden chrzest, jeden Pan, jedna wiara. Porozmawiaj z Panem, a następnie idź do przodu. Nie śmiem powiedzieć nic więcej

– oznajmił. Kilka tygodni po tej wypowiedzi w jednym z rzymskich kościołów duchowny zaprosił luteranów (w tym biskupkę) do przystąpienia do katolickiej komunii świętej, i to mimo że krótko po niej wszystkie rzymskie kongregacje przypomniły, iż nie ma i nie może być mowy o interkomunii.

BEZ CELIBATU?

Coraz częściej w rozmaitych przeciekach medialnych powraca także temat możliwości zniesienia obowiązkowego celibatu. Zwolennicy tego rozwiązania zastrzegają, że akurat to powinno być pozostawione Kościołom lokalnym i dokonywać się stopniowo, najpierw w krajach, gdzie dramatycznie brakuje księży. Rozwiązanie takie, czyli święcenie mężczyzn żonatych, od dawna promują biskupi brazylijscy, jednak ich pomysły były niezmiennie odrzucane zarówno przez św. Jana Pawła II, jak i Benedykta XVI. Watykanisci jednak coraz częściej wskazują, że tym razem odpowiedź na kolejny apel utrzymany w tym duchu – tym razem biskupów regionu Amazonii – może być inna.

Jeszcze dalej w sugestiiach możliwych zmian poszedł, znający się z Franciszkiem jeszcze z czasów latynoskich, teolog wyzwolenia i były franciszkanin Leonardo Boff. W wywiadzie dla niemieckiego dziennika „Kölner Stadt-Anzeiger” podkreślił on, że papież może wyrazić zgodę na to, by księża, którzy dla kobiet zrzucili sutanny, zaczęli służyć ponownie w Brazylii. Boff zastrzega, że byłby to eksperyment podjęty na próbę, w kraju, gdzie dramatycznie brakuje księży. To jednak nie wszystko. Teolog zapowiada także, powołując się na kard. Waltera Kaspera, że możemy spodziewać się kolejnych zaskoczeń, i to niebawem. – Kto wie, może trzeba się spodziewać kobiet diakonów? – zastanawia się.

I nic nie wskazuje na to, że jeśli papież rzeczywiście zdecyduje się na taką zmianę, to cokolwiek czy ktokolwiek może go zatrzymać. Franciszek jest bowiem osobą niezwykle zdecydowaną i nie da się ukryć, że błyskawicznie realizując swoje plany. Jeśli ktoś mu nie odpowiada czy przeszkadza, to... przesuwają go w miejsce, gdzie nie będzie mógł przeszkadzać w realizacji przyjętego projektu. Tak było w przypadku kard. Raymonda Burke’a, który został odsunięty od Watykanu i mianowany kardynałem patronem zakonu maltańskiego, i tak było z trze-

ma księżmi z Kongregacji Nauki Wiary, których papież – na podstawie plotek dotyczących ich krytycznego stosunku do niektórych z jego decyzji – nakazał usunąć z Kongregacji. Jej prefekt, kard. Gerhard Ludwig Müller, miał odmówić wykonania polecenia i zacząć starać się o osobiste spotkanie z papieżem. Kilukrotnie je przekładano, a gdy do niego doszło, kardynał zaczął tłumaczyć, że prosi o zmianę tej decyzji, bo to jego najlepszy pracownicy. Papież miał – pisał watykanista Marco Tosatti – odpowiedzieć, że jest papieżem i nie musi nikomu tłumaczyć swoich decyzji, i że chce ich wykonania. Po czym wykonał gest ręką, który oznaczał koniec spotkania.

CZY ZMIANY MOŻNA ZATRZYMAĆ?

Jeszcze dalej sprawy zaszły w odniesieniu do zakonu maltańskiego, do którego papież chciał wprowadzić komisję, która oceniłaby sytuację wewnątrz. Chciałby, ale wiele wskazuje na to, że nie ma takiego prawa, ponieważ – zgodnie z regułami zarówno prawa kanonicznego, jak i statutów zakonnych, o prawie międzynarodowym nie wspominając – zakon ten jest bytem

nie, choć dotyczy niewielkiego zakonu i wąskiej grupy arystokracji, ma wbrew pozorom ogromne znaczenie. W istocie jest on bowiem debatą na temat tego, czy papież może wszystko, czy też jego władza jest jakoś ograniczona. Zarówno kawalerowie maltańscy, jak i autorzy „Dubia” przypominają, że każdy papież jest ograniczony nie tylko prawem kanonicznym i świeckim (o ile jest ono zgodne z prawem naturalnym), lecz także doktryną Kościoła. Zwolennicy papieża są odmiennego zdania i podkreślają, że papież może zrobić wszystko, a wierni są mu w każdej sytuacji winni posłuszeństwo. Tylko że – co doskonale widać na Zachodzie – wychowani za poprzednich pontyfikatów młodzi teolodzy, duchowni, a także biskupi, wcale nie są wielkimi zwolennikami reform papieskich. Krytyka nieostrych i nieprecyzyjnych wypowiedzi papieskich, nieusprawiedliwionych prawnie decyzji przybiera na sile. I choć po stronie autorów „Dubia” stało zaledwie kilku biskupów, a i oni sami zdają się podzieleni w kwestii tego, czy konieczny jest jakiś akt formalnej korekty papieża (opinię „za” głosi kard. Burke, ostrożnie

Coraz częściej w rozmaitych przeciekach medialnych powraca temat możliwości zniesienia obowiązkowego celibatu. Rozwiązanie takie, czyli święcenie mężczyzn żonatych, od dawna promują biskupi brazylijscy, jednak ich pomysły były niezmiennie odrzucane zarówno przez św. Jana Pawła II, jak i Benedykta XVI

suwerennym, nad którym papież nie sprawuje władzy doczesnej. Konflikt dotyczy byłego wielkiego kanclerza zakonu Albrechta von Boeselagera, który został usunięty ze swojego stanowiska przez wielkiego mistrza zakonu – Matthew Festinga. Powodem było to, że von Boeselager dopuścił do dystrybuowania przez wolontariuszy zakonu w Afryce prezerwatyw i środków antykoncepcyjnych. Gdy dowiedział się o tym wielki mistrz, usunął wielkiego kanclerza i właśnie w jego obronie stanął papież. Wiele wskazuje jednak na to, że tym razem przekroczył kompetencje prawne, co zresztą przypominają zakonnicy, podkreślając, że nie ma podstaw prawnych do takich, a nie innych decyzji prawnych.

Spór o to, czy papież może rzeczywiście wkroczyć w tej sytuacji, czy

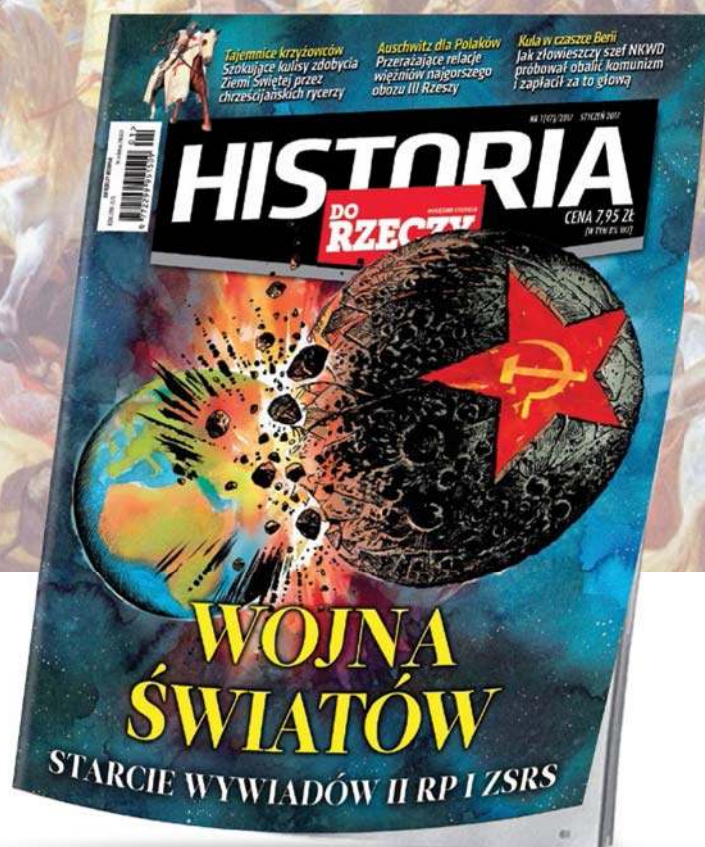
przeciw publicznemu napominaniu papieża jest kard. Brandmüller), to wiele wskazuje na to, że opozycja wobec planowanych reform staje się coraz silniejsza. Świadomość tego ma zaś także papież Franciszek, który zdaniem źródła niemieckiego lewicowego tygodnika „Der Spiegel” miał podczas spotkania w niewielkiej grupie wyrazić obawę, iż „nie jest wykluczone, że przejdzie do historii jako ten, który podzielił Kościół”. Niezależnie od tego, że schizma jest bardzo mało prawdopodobna, i pomijając to, że podział w Kościele dokonał się w istocie krótko po Soborze Watykańskim II, trudno nie dostrzec, że obecnie się on radykalnie pogłębia. I tego trzeba być świadomym, a nie udawać, że nic się nie dzieje i nic się nie zmienia.



TYLKO U NAS!
NAJWIĘKSZE TAJEMNICE KRZYŻOWCÓW!

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Piotr Zychowicz – Wojna wywiadów II RP i ZSRS / **Maciej Rosalak**
– **Szpiedzy-renegaci w Wojsku Polskim** / Marek Gałęzowski – Auschwitz:
obóz dla Polaków / **Andrew Nagorski** – **Kłęsa łowców nazistów**
/ **Françoise Thom** – Sowiecka kula w czaszce Berii / **Sławomir Koper**
– **Przedwojenni gangsterzy**

i wiele, wiele więcej

MAREK MIGALSKI: Jak pan zareagował na deklarację Jarosława Kaczyńskiego, że od teraz to PiS jest kontynuatorem ruchu ludowego?

WALDEMAR PAWLAK: Jakoś niespecjalnie się tym zainteresowałem, bo deklaracje można składać, ale nie oznacza to, że reprezentuje się tę tradycję.

Oczywiście, że oznacza. Pan kiedyś w rozmowie ze mną powiedział, że władza rzeczywistością ten, kto nadaje słowom ich znaczenie.

Jednak w przypadku Kaczyńskiego to fałszywy ton. Bo ruch ludowy to przedsięwzięcie wielopokoleniowe.

No ale oni przecież mają Kuźmiuka i innych chłopów.

To się zgadza, ale trzeba zwrócić uwagę na to, że działacze ruchu ludowego mogą się odwołać do swoich ojców, do swoich przodków, dziadków.

Nie chce mi chyba pan powiedzieć, że ludowcem może być tylko ten, którego matka była ludowcem?

Oczywiście, że nie. Jednak tradycja ludowa nie jest komuś przypisana dlatego, że sam tak zadeklarował. To nie może być tak jak z reprzywatyzacją w Warszawie, że jak ktoś sam się ogłosi czyimś spadkobiercą, to mu się od razu należy jakaś kamienica. Tak to nie działa w odniesieniu do tradycji.

Jednak beczelność jest ta sama?

Można znaleźć jakieś analogie. A my w przededniu 100. rocznicy odzyskania niepodległości winniśmy się odwoływać do tych, którzy wówczas w tym wspólnym dziele się odnaleźli.

No to Kaczyński się odwołał. Do Piłsudskiego, do Dmowskiego. No i do Witosa także. Za chwilę odwoła się do Daszyńskiego. Połączy wszystkich w sobie.

To jest pytanie, czy połączy w sobie czy ze sobą. Bo to dwie odrębne sprawy. A wtedy, w 1918 r., najważniejsze było to, że ci wszyscy ludzie potrafili ze sobą współpracować dla dobra Polski. Później, gdy Piłsudski chciał postawić za wszelką cenę na swoim, wiele dobrego z tego nie wynikło.

W tym kontekście zapytam: My dziś jesteśmy bliżej tej atmosfery współpracy przy odzyskaniu niepodległości w 1918 r. czy raczej już bliżej wyborów brzeskich i Berezy?

Historia się nie powtarza, ale się rymuje. Na razie powrotu do autorytaryzmu przedwojennego chyba nie będzie. Natomiast korzystając z tego faktu, że pan przecież był kiedyś w środku...

**WYWIAD
NIEAUTORYTOWANY**



Z Waldemarem Pawlakiem,
byłym premierem i byłym prezesem PSL
rozmawia Marek Migalski

**Pewne idee PiS
są mi bliskie**

... obozu autorytarnego.

Widząc ten marsz obozu PiS, pan wie, gdzie jest przód tego marszu? Dokąd on zmierza?

Gdy ostatni raz Kaczyński powiedział, że jesteśmy coraz bliżej prawdy o Smoleńsku, to ja sobie uświadomiłem, że to tak już będzie do końca jak z budowaniem komunizmu. Że już, już jest prawie osiągnięty cel, ale jednak w wyniku jakichś knońskich zdradców i spekulantów ów cel się oddala za horyzont i znów trzeba ku niemu mozolnie zmierzać.

Ja się właśnie zastanawiam, czy władza ma jakiś cel, czy też celem jest sam marsz i ciągle szukanie nowych wrogów. Obaj zresztą na pewnym etapie byliśmy w ten marsz włączeni, choć chyba nie do końca byliśmy wtajemniczeni (śmiech).

Kiedy pan był najbardziej włączony?

Mnie pewne idee PiS są bliskie. Na przykład repolonizacja sektora bankowego. Byłem przecież przeciwnikiem oddawania naszego rynku finansowego kapitałowi międzynarodowemu.

Czyli ten aspekt działalności rządu się panu podoba?

Także próba niwelowania różnic społecznych. Tylko że ja chciałbym, by w to dzieło włączano różnych ludzi, a w wykonaniu PiS to jest raczej zamykanie się na innych. To jest zresztą też pytanie do pana: Czy PiS docenia rolę instytucji, czy też raczej myśli w kategoriach takich, że nasze kadry zdecydują o wszystkim i jeśli obsadzimy instytucje swoimi ludźmi, to wszystko będzie dobrze?

Jeśli się mnie pan pyta, to to właśnie jest jedna z głównych linii mojej krytyki obozu władzy. Postuluje się tu zresztą kategoriami stosowanymi przez Rafała Matyję czy Roberta Krasowskiego, którzy krytykowali PiS właśnie za ów woluntaryzm.

Czytałem ostatnią historię polityczną Wenecji...

... i chyba właśnie tę książkę mi pan podarował dzisiaj, żebyśmy się trochę doksztacili.

I tam fantastycznie jest opisane, że potęgą tego miasta-państwa zbudowana została na tym, iż jego władcy korzystali z doświadczenia i pracy ludzi spoza swego kręgu. W ten właśnie sposób zwiększali bogactwo i siłę republiki.

Czy ja dobrze rozumiem, że pan w ten sposób chce przesłać pewien „mesydz” do władzy, że jeśli tylko chciałaby ona skorzystać z pana usług, to pan nie miałby nic przeciwko dołączeniu do dobrej zmiany?

To nie jest kwestia prostego dołączenia, jeśli podstawy są wątpliwe.

Jednak to nie jest powiedzenie „nie”.

Ani pan, ani ja nie możemy dołączyć do władzy, która wcale nie jest zainteresowana tym, żeby ktoś jej dawał dobre rady. Władza chce wszystkie stanowiska obsadzić tylko swoimi ludźmi. W ruchu ludowym mamy taki zwyczaj, że pytamy się starszych kolegów o radę, i czasami z takimi pytaniami obecne władze partii zwracają się do mnie. A czy do pana ktoś się z takimi pytaniami zwraca?

Chce pan wiedzieć, czy moi dawni koledzy z PiS dziwniają do mnie i chcą jakieś rady? (śmiech)
Tak.

No to odpowiedź jest oczywiście negatywna.

No więc widzi pan. To jak tam można dołączyć? Tam nie ma takiego oczekiwania. I to jest poważny kłopot, bo to jest myślenie zamknięte, oligarchiczne.

Wyraźnie Kaczyński, po przykrych doświadczeniach lat 90. i dwutysięcznych, ponad przymioty intelektu przedkłada u swoich podwładnych cnotę lojalności.

Jeśli jest się we własnym kręgu, to nie ma się informacji zewnętrznych, zwrotnych. A to jest niebezpieczne. To przydało się Amerykanom, gdy demoniczny Rumsfeld całkowicie zawiązał procesem podejmowania decyzji w sprawie inwazji na Irak i lekceważył głosy doświadczonych wojskowych. Tutaj zresztą jest analogia do pewnego ministra obrony narodowej.

Wróćmy do PSL. Pisząc swoje książki naukowe, zauważałem, że PSL i SLD były najbardziej demokratycznymi wewnątrz partiami w Polsce. Pokonanych się nie wyrzuca z ugrupowania, korzysta się z ich doświadczenia (choć na pewno każdy z byłych prezesów ma swoje rachunki krzywd do wyrównania). Chciałbym pana zapytać: Gdyby dziś doradzał pan Kosiniakowi-Kamyszowi, to jak brzmiałyby te rady? On powinien zbliżyć się do PiS, być w takiej półpozycji jak dziś czy jednak przejść do głębokiej, totalnej opozycji jak PO?

W ostatnich rozmowach przekazywałem mu opinie, by budował sobie pozycję mediatora. I to chyba się udaje i jego działania stwarzają taką szansę na mediację. Chociaż to niewdzięczna rola i mało widowiskowa.

Jednak czy to się nie zakończy fatalnie dla was? Inni obsługują bowiem jakieś emocje, a wy jesteście nijacy i wyglądacie na takich, którzy się z każdym chcą dogadać.

Jak powiedziałem, to niewdzięczna rola i można narażać się na takie zarzuty, jakie pan sformułował, ale jeśli chcemy traktować politykę jako sztukę zarządzania społeczeństwem bez zbędnego używania siły, to to jest chyba dobra strategia.

Czy was to nie zabije? Napisałem na Twitterze, że PSL zachowuje się w ostatnim kryzysie być może najbardziej propanistwowo, tyle tylko, że to może się nie opłacić politycznie i to może być ostatnia kadencja waszej partii w Sejmie.

Myślę, że wręcz przeciwnie. Że ludzie zmęczą się tą bijatyką i zagryzaniem...

Od kilkunastu lat obdarzają największym zaufaniem tylko tych, którzy uczestniczą w tej bijatyce i tym zagryzaniu.

Pana teoria o tym, że gdzie dwóch się bije, tam obaj korzystają, jest wiecznie żywa i pan nawet padł jej ofiarą w polityce (śmiech). Oczywiście warto walczyć, by nie płynąć z prądem i zachowywać się aktywnie. PSL ma szansę zbudować mocną pozycję w centrum.

Kosiniak-Kamysz jest dobrym prezesem?

Myślę, że się stara budować taki wizerunek, by np. powołać taką specjalną komisję do spraw smogu i zanieczyszczenia oraz traktować to jako impuls do szerszego spojrzenia na warunki życia w naszym kraju...

Przepraszam, że panu przerwę, ale pan wie, że pan ucieka przed moim pytaniem, prawda?

Nie, bo ja to mówię jako przykład takiego pomysłowego podejścia do sytuacji, żeby nie tyle ustawiać się w roli...

No to ja muszę po raz trzeci pana zapytać: Jak pan ocenia prezesurę Kosiniaka-Kamysza?

Oceniam ją generalnie pozytywnie.

Generalnie pozytywnie?

Tak. Zawsze można mieć jakieś wątpliwości czy przekonanie, że coś bym zrobił inaczej.

I pan ma takie wątpliwości?

Tak. Natomiast nie będę się wtrącał, bo on jest bliżej tych wszystkich wydarzeń, a ja jestem jednak trochę na zewnątrz i patrzę z większego dystansu i w pewnych sprawach nie byłbym taki gorączkowy i taki ostry.

Jak on? Kosiniak-Kamysz „gorączkowy i ostry”?
To chyba nie tylko on się uśmieje, gdy przeczyta o sobie, że jest gorączkowy i ostry.

■ Jeśli budujemy mocną pozycję w centrum, to należy zachować rozsądną odległość od obu tych zwaśnionych obozów. I robić swoje. Bo to ważniejsze niż to, kto komu bardziej efektywnie da po mordzie.

A jaki pan ma dystans do obu tych bijących się po mordach grup? Do kogo jest panu bliżej?

Ja zawsze byłem zwolennikiem podejścia „twardo do problemów i miękko do ludzi”. To także przekazywałem moim młodszym kolegom. Chciałbym zakładać, że wszyscy po obu stronach sporu politycznego mają dobre intencje. Jednak warto oceniać po faktach, a nie po słowach.

I jak pan to ocenia? Zachowuje pan równy dystans? I to samo doradza pan swojej partii?

Doradzam twarde podejście do problemów.

I miękkie do ludzi. To już wiem, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.



Pawlak o Kosiniaku-Kamyszu: – W pewnych sprawach nie byłbym taki gorąckowy i taki ostry. FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Nie ma takiego przymusu, że my teraz musimy metrówką mierzyć nasz dystans do PiS i do opozycji. W niektórych sprawach może nam być bliżej do PiS, np. jeśli chodzi o politykę społeczną, a w niektórych do opozycji, np. w kwestii standardów demokratycznych i rządów prawa. Mam nadzieję, że jest możliwe zbudowanie silnego centrum. I wtedy wyborca nie będzie musiał wybierać mniejszego zła, tylko większe dobro.

Nigdy, jako wyborca, nie byłem w tej drugiej sytuacji. No, może poza dwoma razami, gdy głosiłem na siebie.

Gdy mamy trzy, a nawet więcej opcji, to taka szansa dla wyborcy jest większa, niż gdy mamy dwa oboje wzajemnie się zwalczające. To było widać w ostatnich

wyborach w USA, gdzie wyborcy skarżyli się na to, że muszą zagłosować nie na kogoś, kogo lubią i cenią, ale na tego, kogo mniej nie cenią i mniej nie lubią.

Wraca pan do aktywnej polityki? Może brakuje w niej pana? Jednak moje pytanie brzmi: Czy panu jej brakuje?

Prawdę mówiąc, to ostatnio nie tęsknię za polityką. I patrząc na nią, mam wrażenie, że do 2019 r. niewiele będzie można w niej zrobić. Marsz będzie rytmiczny i choć nie wiemy, w jakim zmierzza kierunku, to na pewno do przodu!

Jednak nie ma pan ochoty wrócić i powiedzieć do wszystkich: „A sio!”? Dopiero w 2019 r.?

Akurat ten 2019 r. zbiega się z moim siedmioletnim rytmem zmian. One zachodzą w moim życiu właśnie równo co siedem lat. No i następne siedem lat po tym, gdy przestałem być prezesem PSL, wypada na 2019 r.

To jest groźba, mówiąc pół żartem, pół serio, wobec Kosiniaka-Kamysza czy wobec Jarosława Kaczyńskiego?

Nie traktuję tego w kategoriach rywalizacji osobistej. Ja też mam do pana pytanie: Czy pan uważa, że eksperyment z panią premier będzie kontynuowany?

Odpowiem na to pytanie, ale najpierw – w związku z tym, że to jest już chyba trzecie pana pytanie do mnie – musi mi pan obiecać, że nie będzie pan żądał udziału w honorarium, które dostanę za ten wywiad.

Całkowicie rezygnuję z praw i zysków z tego wywiadu na pana rzecz (śmiech).

Zatem odpowiem: Mam wrażenie, że Beata Szydło sprawdza się na swoim stanowisku, nie dlatego, że jest dobrym premierem, lecz dlatego, że jest dobrze

odbierana jako premier. To zresztą była świetna zagrywka ze strony Kaczyńskiego – choć on sam zajmuje najniższe miejsca w rankingach zaufania, to jego nominaci (Szydło i Duda) zajmują w nich pierwsze miejsca. To na pewno służy obozowi władzy.

Ja bym jeszcze dodał do tego fakt, że pani premier nie stanowi zagrożenia wewnętrznego, partyjnego dla prezesa Kaczyńskiego, co może spowodować, że doczekamy się jakichś działań nakierowanych na prawdziwą troskę o państwo. I że nie będzie takiego przekazywania majątku narodowego różnym książętom, jak to się działo obecnie.

Ma pan na myśli przekazanie poszczególnym ministrom spółek Skarbu Państwa?

Tak. Bo to rozmontowywanie struktur państwowych.

Czynienie państwa jeszcze bardziej teoretycznym?

Nie tyle teoretycznym, ile rozczłonkowanym. Bo minister Sienkiewicz użył słowa „teoretyczne”, ale bardziej trafne byłoby słowo „fragmentaryczne”. Wtedy poszczególne fragmenty tego państwa mogą być nawet silne, ale jako że są niespójne, to całość działa bardzo słabo. A rzeczywistość jest coraz bardziej skomplikowana i nie da się jej, mówiąc kolokwialnie, wziąć za mordę.

Czego chyba Kaczyński nie rozumie. Uważa, że ona jest taka, jak w latach 60.

Tak, on myśli deterministycznie. Że się uda stworzyć plan i tym wszystkim kierować. A złożoność tego jest taka, że – używając terminologii z zasady nieoznaczoności Heisenberga – albo się mierzy prędkość cząsteczki, albo jej położenie. Nie da się tego zrobić razem. Głównym problemem obecnej ekipy jest to, że wierzy ona, iż kadry z jej nadania są w stanie kontrolować rzeczywistość we wszystkich jej aspektach. Nie docenia się znaczenia instytucji i tego, że zarządzanie dziś jest zadaniem naprawdę skomplikowanym i subtelnym, a nie dyrektywnym.

No to życzymy sobie zatem w nowym roku, by władza zarządzała naszym krajem w sposób subtelny i mądry, a nie dyrektywny.

I by nie tylko budowała wspólnotę w oparciu o swoje kadry, lecz także by była otwarta na ludzi spoza własnych struktur partyjnych. Zwłaszcza w kontekście tego, jak wielkim i wspólnym wysiłkiem było odzyskanie niepodległości w 1918 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Pod okupacją gratów

Ostatnimi czasy mam przykre odczucie. Wydaje mi się, że moje życie składa się głównie z wkładania brudnych naczyń do zmywarki, a potem wyjmowania czystych.

Z tą pesymistyczną obserwacją udałem się do żony. Okazało się, że i ona ma podobne refleksje. Z tym że zmywarka jest w jej przypadku pralką, a brudne naczynia brudnymi ubraniami. – Ciągle odpalam nowe pranie, a potem wywieszam mokre ciuchy, żeby się suszyły. I tak bez końca – jęknęła. Przy okazji skierowała do mnie pretensje, że tak rzadko piorę. Ponieważ nie wiedziałem, co na to powiedzieć, zarzuciłem jej, że rzadko zmywa.

Wymiana egzystencjalnych refleksji nieuchronnie zmierzała w stronę banalnej kłótni. Postanowiliśmy zatem przestać sobie przysrywać, a zamiast tego rozejrzeliśmy się po domu. Widok nie był szczególnie radosny.

Zacząć trzeba od komody w sypialni, krzesła w salonie oraz od biurka – no cóż, też w salonie, bo pracowni nie mamy. Komoda służy zasadniczo do tego, żeby przechowywać w niej rzeczy. Niestety, u nas – a pewnie i u niezliczonych rzesz innych zwykłych ludzi – jest także swego rodzaju platformą, na której gromadzą się ubrania zbyt czyste, by je wrzucić do pralki, ale takie, których nie chce nam się odwieźć do szafy. Wydaje nam się, że za chwilę użyjemy ich znowu. Jednak niestety zamiast tego sięgamy po kolejną bluzę czy kolejne spodnie, które

następnie również odkładamy na komodę. W efekcie komoda wygląda jak pobożowisko bitwy nad Sommą, gdyby bitwę tę toczyły ubrania.

Jednak komoda to mało. Nie wszystko się na niej mieści. Co się nie mieści, ląduje na krześle w salonie. Samego krzesła już nie widać, gdyż zakrywa je kilka warstw koszul, koszulek, surdutów, kufajek i gorsetów. Jakies pół roku temu szukałem marynarki i po kilkukrotnym przeszukaniu domu uznałem ją za zaginioną. Niedawno odkryłem ją na rzeczonym krześle, zamaskowaną rzeczami z późnego lata. Nie to, że jesteśmy bałaganiarzami. Po prostu jedna warstwa kłopotów szybko znika pod następną. To przydarzyło się np. Troi i innym długowiecznym miastom. Nic więc dziwnego, że do odkrycia zaginionych ubrań potrzebne są badania archeologiczne.

Zostawmy ubrania i przeńśmy się na biurko. Z założenia miało służyć do pracy. Niestety, jest jedną z wielu graciarni w naszym mieszkaniu. Oto człowiek przychodzi do domu i przynosi jakąś kompletnie niepotrzebną rzecz, którą jednak głupio mu wyrzucić, bo przecież jest rzeczą. Rzecz ta ląduje na biurku i... I to już jej koniec. Zostaje przysypana rachunkami, korespondencją z banków, rysunkami syna, jego zabawkami, nowo zakupionymi książkami, które nie mieszczą się na półce oraz kartami kolekcjonerskimi z piłkarzami.

Oj, nie radzimy sobie z przedmiotami. Mamy ich za dużo. Zalewają nas.

Pomocy! ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Z naszego terrarium

Wprawdzie wśród zoologów i ekologów nie ma zgody, czy gatunek zwany *Lemings polonicus* jest już gatunkiem ginącym czy jedynie zagrożonym. Warto jednak zwrócić uwagę na to, co uchodziło dotąd pobieżnym obserwatorom, uważającym te gryzonie za jednolitą masę podążającą stadnie w kierunku samozatrąty. Oto na gatunek polskiego leminga nizinnego składa się cały wachlarz podgatunków, ras i odmian. Są więc lemingi drapieżne, odżywiające się innymi lemingami (a na pewno hojnie gromadzonymi przez nich zapasami).

Wyleczenie z lemingozy nabytej odbywa się wyłącznie poprzez wyrwanie ze stada i odcięcie od karmy

Są bezinteresownie ofiarne, nawet przez najbliższych nazywane frajerami, są pasożytnicze, są farbowane, towarzyskie i okazjonalne.

Owo bogactwo odmian wynika z metod hodowlanych, którym było poddawane stado pierwotne. Według legend leming był jedynym zwierzęciem, które nie chciało iść za Noem na arkę, twierdząc, że wystarczy mu tylko parasol i swe życie zawdzięcza wyłącznie Chamowi, który spoił

parkę alkoholem i odtąd żyją w dużej przyjaźni.

Powiadają, że w Polsce praojcem gatunku był azjatycki rudowłosy *Lemings kominternus*, który pojawił się na naszych ziemiach na przełomie lat 1944 i 1945. Uległ on licznym krzyżówkom z żulikiem pospolitym i innymi przedstawicielami gryzoni rodzimych. Efektem były zapomniane dziś podgatunki – *Lemings ubekus*, *Lemings nomenklaturus* czy coraz rzadszy *Lemings zomusus*.

Tutaj zaznaczmy, że w odróżnieniu od reszty ssaków leming polski rozmnaża się kilkoma metodami – tradycyjnie płciowo, czyli leming płodzi kolejnego leminga, a także przez kooptacje. Niełatwo bowiem odróżnić oryginalny egzemplarz od osobnika tkniętego jedynie lemingozą, przypadłością ciężką, ale podobno wyleczalną, przy czym zarazić się można metodą kropelkową, zwaną „grosz do grosza”, przez kontakt towarzyski, a także ze strachu.

Wyleczenie z lemingozy nabytej odbywa się wyłącznie poprzez wyrwanie ze stada i odcięcie od karmy, na którą składa się „pedigree 24” i „chappi wyborcze”.

Zwykle najdalej po pół roku powraca samodzielne myślenie, reakcja na naturalne bodźce i głód pluralizmu.

Jednak to wie każdy, kto choć przez krótki czas był członkiem stada lemingów, którego inteligencja całkowita (zgodnie z psychologią tłumu) równa się inteligencji najgłupszego osobnika. Lub prowokatora. ©©

Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że ich życie, sama istota ich charakteru, ich zdolności i zuchwałość są jedynie wyrazami ich wiary w bezpieczeństwo otoczenia

Joseph Conrad

„Opowieść niepokojąca. Placówka postępu”



Czesław
Bielecki

Nasze państwo nie działa. Nie to obecne – PiS-owskie, jak nazywa je opozycja. To, które przejęliśmy po PRL, od którego miała je odcinać „gruba kreska”

Państwo nie działa w trzech dziedzinach, w których jest nam niezbędne. Nie działają sądownictwo i prokuratura, bez których każde prawo pisane zamienia się w świstek papieru. Nie działa wojsko, bo nie gwarantuje bezpieczeństwa na miarę rodzących się lub istniejących zagrożeń. I nie działa administracja publiczna, ponieważ nie potrafi realizować na czas projektów gwarantujących siłę i pozycję państwa. Te trzy filary mają tak kiepskie fundamenty, że nie trzymają pionu ani poziomu.

Najbardziej bałamutną stroną dzisiejszego sporu publicznego jest udawanie przez opozycję, że dopiero obecna demokratycznie wybrana władza nasze państwo psuje i demoluje. Jest obiektywnym, historycznym już faktem, że właśnie Jarosław Kaczyński od początków polskiej transformacji bronił tezy, iż trzeba tworzyć państwo według nowego projektu, nawet jeśli decydujemy się na wykorzystanie fragmentów PRL-owskiej struktury. Rokosz, który próbuje zmontować opozycja (bo to nie pucz, ale rokosz, prezesie), jest działaniem antypaństwowym. Okupowanie przez PO i Nowoczesną trybuny sejmowej czy sali obrad to już patologia demokracji.

TO PRZEZ JĘZYK

Od kiedy spór między rządzącą PO a opozycyjnym PiS określono idiotycznym terminem „wojna polsko-polska”, rozpoczęła się „ekstremizacja” języka,

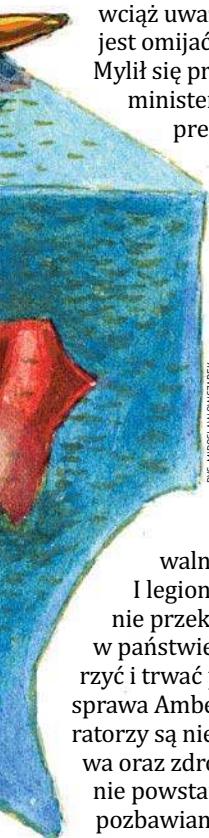
która doprowadza debatę publiczną do absurdu. Przecież ten spór był wtedy i jest dzisiaj dowodem wolności, pluralizmu i demokracji. Mamy wybór; możemy o nim pisać, konkurujemy o ludzi i idee. To przez język, który swoimi wykluczającymi etykietami odkleił się od rzeczywistości, zdeorganizowaliśmy debatę publiczną i niszczyliśmy standardy tej wolności, które obie strony – jak twierdzą – chcą bronić. Język parlamentarny obowiązuje wszystkich na równi. Im są wyżej, tym bardziej.

Za gwałtownymi słowami polityków, choćby byli to ludzie o zasługach niezwykłego Władysława Bartoszewskiego, idzie fala hejtu, która uniemożliwia racjonalną debatę publiczną. Przestajemy wtedy się spierać o kształt państwa, ktokolwiek nim rządzi. Nie widzimy już faktów zza muru własnych emocji i słów. Zmianą niezbędną w sporze o państwo musi być stosowanie języka przylegającego do rzeczywistości.

Można się zgodzić z opozycją, że są poważne wątpliwości, czy Prawo i Spra-



Spór o nowe państwo



RYS. MIROSŁAW OWCZAREK

wiedliwość wprowadzi w Polsce lepsze prawo i sprawiedliwość. Twierdzić tak można jednak tylko pod warunkiem, że najpierw się przyzna, iż w naszym państwie wciąż obcujemy z bezprawiem i niesprawiedliwością. Obywatele wciąż uważają, że prawo najlepiej jest omijać, gdyż trudno na nie liczyć. Mylił się prof. Strzembosz – i jako minister sprawiedliwości, i jako prezes Sądu Najwyższego – gdy uważał, że dojdzie do samooczyszczenia środowiska sędziowskiego. Mylili się kolejni, zmieniający się ministrowie sprawiedliwości PO, twierdząc, że samodzielna prokuratura będzie apolityczna, aktywna, sprawna, a doinwestowane i skomputeryzowane sądy znacząco rozstrzygać sprawy w przewidywalnym terminie. Jest inaczej.

I legion autorytetów prawnych nie przekona społeczeństwa, że w państwie prawa mogło się wydarzyć i trwać przez lata coś takiego jak sprawa Amber Gold. Sędziowie i prokuratorzy są niezależni w Polsce od prawa oraz zdrowego rozsądku. Dopóki nie powstanie ustawowa możliwość pozbawiania ich możliwości wykonywania zawodu za błędy w sztuce – tak jak w wielu wolnych zawodach – dopóty będą bezkarni i nieprzewidywalni.

Od lat budżet MON to 2 proc. PKB. Nie można narzekać, że to brak pieniędzy jest przyczyną niedokonań, które słusznie krytykował w swoim bilansie otwarcia minister Macierewicz. Zlecić konstrukcję nowoczesnego moździerza Rak, a nie zatroszczyć się o amunicję do niego, to – nawiązując do zawodu wyuczonego ministra Klicha – polityczna schizofrenia simplex. Jak na wielkość kraju i wydatków na siły zbrojne efekty i tempo reformowania wojska są marne. Także obecnie rządzący minister mógł się przekonać, że w wojsku tylko teoretycznie najprościej wprowadzić zmiany. Wydaje się rozkazy oraz można promować łatwiej niż w cywilu jednych i przesuwać do rezerwy drugich. Są jednak pewna minimalna ciągłość oraz pamięć instytucji i potrzeba przekazywania doświadczeń. Rzecz w tym, że wojsko

nie wysysa najlepszych kadr ze społeczeństwa. Karierę tam bardziej gwarantują urzędowanie i korytarze w MON niż służba liniowa. To, że minister Siemoniak zaniedbał w MON sprawy cyberbezpieczeństwa, jest oczywiste. Teraz jednak to minister Macierewicz powinien się martwić tym, że nie pozyskał takiej armii informatyków, którą zgromadziła choćby firma pracująca nad kolejną wersją „Wiedźmina”. Obok aktywizowania ochotniczych grup gotowych służyć w Wojskach Obrony Terytorialnej warto równolegle pójść drugą, szybszą drogą. Selektownego naboru żołnierzy w potężnej, bo liczącej paręset tysięcy, cywilnej społeczności różnych służb mundurowych i konsolidacji wojska oraz cywilnych profesjonalistów. To pozwoli szybko osiągnąć ilościowy i jakościowy przełom.

ADMINISTRACJA PUBLICZNA

Administracja publiczna przenika całe państwo. I to nie kolejne rządy nią kierują, ale to ona kieruje rządami i je ogranicza. Na każdą propozycję zmiany, innowacyjny projekt, próbę zarządzania przez cele lud urzędniczy odpowiada biernym oporem. To są pracownicy przedsiębiorstwa, które rządzi Polską. O ile jednak zwykle przedsiębiorstwo bankrutuje, gdy nie podejmuje się w nim kluczowych decyzji lub je opóźnia, o tyle firma Administracja Publiczna nie ma takiego problemu dopóty, dopóki nie doprowadzi do bankructwa całego kraju – tak jak w Grecji. Firma AP może sama stanowić o produktach takich jak pieniądź, praca i ziemia, zadłużać państwo, gnębić małych i średnich, a odpuszczać wielkim. Nie doprowadzi się tym do upadłości, na własne płace zawsze jej wystarczy. A powinna być fabryką decyzji, dzięki którym nam, społeczeństwu, żyje się bezpieczniej i lepiej.

W ostatnich wyborach Polska B, spychana na margines rozwoju, wygrała z Polską A. Elity przegrane twierdzą, że dobra zmiana PiS skazuje nas na ludzi klasy B. To nieprawda. Przegranymi i wygranymi rządzą ludzie C, których interesem jest trwanie. Jeśli wyemigrowały z naszego kraju 2 mln obywateli aktywnych życiowo i zawodowo, to dlatego, że nie mogą zgodzić się już na nierówność szans, na milczący dyktat państwa klasy C.

NAPRAWA

Krytycy PiS unikają odpowiedzi na pytanie o los państwa, które nie umiało dotychczas zreformować tych trzech

filarów wspierających narodowy dom. Dyskusja ogniskuje się na czystej polityce – grze o władzę. Wściekłość krytyków PiS wynika z fałszywego obrazu rzeczywistości i skrywanego poczucia winy. Przecież jest rzeczą oczywistą, konsekwencją krzywej Gaussa, że bez programu „Rodzina 500+” demografia prowadzi nas do klęski narodowej. Podobną oczywistością jest zadbanie o to, żeby dzieci z Polski B miały szanse awansu równe tym dzieciom, które wyrastają w zamożnych rodzinach. Wykształcenie i obycie zdobywa się wśród ludzi wykształconych oraz obywateli. Geniusze nauki i biznesu rodzą się jednak wszędzie i jest naszym wspólnym interesem, żeby nie musieli rosnąć na kamieniu. Mateusz Morawiecki słusznie zdecydował o przejęciu przez państwo banku Pekao SA. Wielkość i niezależność sektora finansowego w stosunku do potencjału inwestycyjnego państw stały się już problemami globalnymi. Potrzebujemy państwa klasy A, aby rozwijać naukę, kulturę, strategiczne badania. Tymczasem administracja publiczna klasy C grozi tym, że państwo będzie dławiło przedsiębiorców i innowacje, ktokolwiek będzie stał u steru. Ci, którzy zarzucają Kaczyńskiemu autorytaryzm, powinni się zastanowić nad formułą, którą sam zaproponował w trakcie ostatniej próby rokосу: „Lider opozycji powinien mieć taki status jak wicepremier”.

Istota myślenia państwowego sprowadza się do jednej prostej rzeczy. Popierając demokratycznie wybraną władzę lub ją krytykując (sam np. nie jestem zwolennikiem ani opóźniania scholaryzacji, ani skrócenia wieku emerytalnego), trzeba robić to tak, aby służyć państwu. A w żadnym razie nie podważać jego pozycji ani w kraju, ani za granicą. Mamy sztormową pogodę. Tym bardziej nawa państwowa ma w tym Conradowskiemu Roku 2017 bezpiecznie płynąć po wzburzonych falach. Załoga – społeczeństwo – musi ufać ludziom u steru, nawet gdy ich nie lubi. I nawet, gdy uważa, że sama sterowałaby lepiej.

Ktokolwiek naprawia państwo, musi to robić, uwzględniając argumenty „za” i „przeciw” niezależnie od tego, skąd padają. Większość nie ma monopolu na rację. Ma tylko prawo decyzji: złej lub dobrej. I tego żadna mniejszość w wolnym oraz demokratycznym kraju nie może rządzącym odmawiać. Tym wolność i demokracja różnią się od anarchii. Tej, która zgubiła I Rzeczpospolitą.



Piotr Zychowicz

Przez ostatnie 100 lat komunizm przyniósł światu bezmiar zbrodni, nędzy i demoralizacji

Marginalne rosyjskie ugrupowanie – frakcja bolszewików – 24 października 1917 r. wyprowadziło swoich bojówkarzy na ulice Piotrogradu. Wykorzystując rewolucyjny chaos, bolszewicy dokonali puczu i przejęli władzę. I w efekcie zmienili historię świata.

Sto lat temu – parafrazując słynne słowa Władimira Putina – doszło do największej geopolitycznej i humanitarnej katastrofy w historii naszej planety. Narodził się koszmar, jakim był Związek Sowiecki. A ideologia komunistyczna zaczęła rozpełzać się po całej planecie.

Wiek po tych kluczowych wydarzeniach warto przyjrzeć się temu, co komunizm przyniósł ludzkości.

I ZBRODNIA

Pierwszą „zdobyczą” komunizmu były masowe mogiły pełne trupów i zasypane wapnem. Trafili do nich „wrogowie ludu”, którzy nie rokowali nadziei na poprawę i nie zasługiwali na życie w „nowym wspaniałym świecie”.

Wbrew temu, co opowiadają pożyteczni idioci („paskudny stalinizm wypaczył słuszny leninizm”), komunizm był systemem zbrodniczym od samego zarania. Natychmiast po przechwyceniu władzy bolszewicy stworzyli Czeka i łagry.

Na początku pod nóż poszły „klasy posiadające”: oficerowie, szlachta, burżuazja, mieszczaństwo. Potem czerwoni zabrali się do mordowania chłopów i robotników. Czyli ludzi, w których imieniu rzekomo sprawowali władzę.

Podobnie wyglądało to w innych krajach opanowanych przez komunistów. W Chinach, Kambodży, w Europie Środkowo-Wschodniej, Afryce i Ameryce Łacińskiej. Na całym świecie komuniści wymordowali co najmniej 100 mln ludzi. A ten przerażający bilans nie jest przecież wcale zamknięty.

Również naród polski padł ofiarą komunistycznych zbrodni. Krwawy najazd 1920 r., operacja polska NKWD, agresja 17 września, Katyń, deportacje



Dziesięć plag

1939–1941, morderstwa więzienne latem 1941 r., oblawa augustowska, liczne zbrodnie PRL. Polskie ofiary komunistów idą w setki tysięcy.

II KŁAMSTWO

Komunizm był systemem, który nadawał słowom odwrotne znaczenia. Sztandarowym przykładem może być najważniejsza sowiecka gazeta codzienna „Prawda”. Otóż na jej łamach prawdy nie pisano nigdy. I każdy, kto ją czytał (i w niej pisał!), doskonale o tym wiedział.

Gdy „Prawda” pisała, że plan produkcyjny w jakiejś fabryce został przekroczony – wiadomo było, że został zawalony.

Gdy na łamach „Prawdy” jakaś kołchoźnica zachwalała wspaniałe warunki, w jakich żyje – wiadomo było, że wegetuje na granicy życia i śmierci.

Gdy „Prawda” informowała, że jakiś członek partii okazał się szpiegiem i zdrajcą – wiadomo było, że był lojalnym, wiernym komunistą.

Przykłady takie można by mnożyć. Obrzydliwe, wierutne i najbardziej prymitywne kłamstwo było permanentną cechą komunizmu. Gdy w 1933 r. w ZSRS konały

z głodu miliony chłopów, bolszewicy twierdzili, że kołchoźnicy są świetnie odżywieni. A jeżeli chłopci gdzieś umierają z głodu, to... w zginiętych krajach kapitalistycznych.

Polacy przekonali się, jak potrafią kłamać bolszewicy w 1943 r., po odkryciu mogił katyńskich. Mimo że od samego początku wszelkie dowody świadczyły o tym, że polskich oficerów wymordowało NKWD, Moskwa próbowała zrzucić winę na Niemców.

III NORMA

Jeden z najbardziej szatańskich wynalazków bolszewizmu. Niemal wszyscy ludzie, którym przyszło żyć w tym obłędnym systemie, pracowali według systemu norm.

Na czym on polegał? Przyjrzyjmy się zekom gnijącym na wyspach archipelagu GUŁag. Otóż każdy z nich miał ustaloną normę dzienną. Każdego dnia musiał wyrąbać określoną liczbę drzew, wydobyć określoną ilość węgla czy ułożyć określoną ilość podkładów kolejowych.

Problem w tym, że normy były „stachanowskie” – czyli w absurdalny sposób wyśrubowane. Sowieccy urzędnicy, którzy je ustalali, nie brali pod uwagę

Wieża bolszewików
przed Pałacem Zimowym
w Piotrogradzie
FOT. SOVFOTO/GETTY IMAGES

sowieckich

fizycznego wycieńczenia zeków i fatalnych warunków pogodowych.

W efekcie oczywiście niemal nikt nie był w stanie wyrobić normy. Karą za niewyrobienie normy było zmniejszenie racji żywnościowej. Zek ze zmniejszoną racją żywnościową pracował zaś jeszcze gorzej. A wtedy komendantura obozu znowu zmniejszała mu rację. Było to zamknięte głodowe koło – prosta droga do obozowej kostnicy.

Podobny system funkcjonował w Sowietach wszędzie – w fabrykach, urzędach, partii, a nawet w bezpiece. Weźmy choćby ludobójczą operację polską z lat 1937–1938. Otóż Moskwa wyznaczyła lokalnym oddziałom NKWD niezwykle wysokie normy określające, ilu polskich szpiegów muszą zdemaskować i zamordować.

A ponieważ polskich szpiegów w Związku Sowieckim wówczas niemal nie było, funkcjonariusze NKWD zaczęli wyłapywać tysiące zwykłych Polaków. Wyboru nie mieli, bo w przypadku niewyrobienia normy zostaliby uznani za „sabotażystów” i zlikwidowani.

IV GŁÓD

Kolejna nieodłączna cecha komunizmu. Najbardziej znaną klęską głodową

wywołaną przez bolszewików był wielki głód z lat 1932–1933. Ta przerażająca katastrofa pochłonęła życie wielu milionów chłopów na Ukrainie, północnym Kaukazie i w Kazachstanie.

Była to konsekwencja kolektywizacji, czyli jednego z największych wariactw tej ideologii. Wolni, zamożni gospodarze zostali zamienieni w niewolników harujących za głodowe stawki w zabiedzonych kołchozach i sowchozach.

Ograbieni z ziemi, żywego inwentarza, zapasów i całego ziarna chłopci zaczęli padać jak muchy. Żywność niegdyś Ukraina zamieniła się w pustynię. A ludzie po tym, gdy zjedli psy, koty, trawę i korę z drzew, zaczęli się zjadać nawzajem. Odnotowano m.in. dużą liczbę przypadków, że matki mordowały i zjadały własne dzieci.

Do gigantycznych klęsk głodowych dochodziło również w innych państwach okupowanych przez komunizm. Choćby w Etiopii w latach 80., Kambodży Pol Pota czy w Chinach w latach 1959–1961. Ta ostatnia katastrofa mogła pochłonąć nawet 45 mln ofiar śmiertelnych!

Z głodu pod rządami komunistów umierali także nasi rodacy. W trakcie

wielkiego głodu na Ukrainie umarło z wycieńczenia od 30 do 60 tys. Polaków.

V DINTOJRA

Georges Danton – zanim jego koledzy nie obcięli mu głowy na gilotynie – powiedział, że „rewolucja pożera własne dzieci”. Bolszewicy wzięli sobie tę zasadę do serca i stosowali ją namiętnie. Należy bowiem pamiętać, że partia komunistyczna jest organizacją mafijną. A mafiosi mają to do siebie, że co pewien czas rzucają się na siebie z nożami.

Partia bolszewicka przez kilka pierwszych dekad znajdowała się w stanie permanentnej czystki. Apogeum tej wewnętrznej rzezi nastąpiło w latach 1937–1938, gdy NKWD wymordowało dziesiątki tysięcy członków partii. Samych wierzących, fanatycznych komunistów. Wielu z nich ginęło z okrzykiem: „Niech żyje Stalin!” na ustach. Wielu, podczas procesów pokazowych, miało pod własnym adresem najgorsze możliwe obelgi.

Pod nóż poszli wówczas tacy sprawdzeni towarzysze jak Zinowiew, Kamieniew, Radek, Bucharin, Rykow, Jagoda czy Tuchaczewski. A w 1940 r. agent

■ NKWD Ramón Mercader roztrzaskał czekanem czerep samego Lwa Dawidowicza Trockiego!

Do krwawych dintojr dochodziło także w innych partiach komunistycznych. W Czechosłowacji (proces Slanskiego w 1952 r.), na Węgrzech (proces Rajka w 1949 r.) czy w Jugosławii, gdzie Tito wyróżniał zwolenników Stalina. W PRL również komuniści nawzajem się zwalczyli, np. w 1951 r. Bierut wpakował do więzienia Gomułkę.

VI TANDETA

Najlepszą ilustracją tego zjawiska są sceny, jakie rozegrały się po 22 czerwca 1941 r., czyli po rozpoczęciu przez Niemcy wojny prewencyjnej przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Otóż gdyby ta kampania rozegrała się na papierze, bolszewicy przykryliby Niemców czapkami. Mieli bowiem kilka razy więcej czołgów, samolotów i innego sprzętu.

W praktyce jednak wszystko to było górą szmelcu. Zaczynijmy od samolotów. Otóż w pierwszych miesiącach kampanii sowieckie lotnictwo straciło 90 proc. maszyn. Niemcy do dzisiaj poczytują to sobie za wielki sukces.

W rzeczywistości jednak olbrzymia liczba bolszewickich samolotów rozbiła się na skutek usterek technicznych. Jeszcze więcej w ogóle nie było w stanie wzbić się w powietrze z lotnisk. Nie przez przypadek sowieckie samoloty nazywane były „latającymi trumnami Stalina”.

Podobnie było z czołgami, które zawałyły pobocza dróg, którymi uciekała Armia Czerwona. Bez benzyny, części zamiennych, z popsutymi silnikami – nie nadawały się do użytku. Podobnie działały niemal wszystkie maszyny i narzędzia produkowane w Związku Sowieckim.

Fatalnej jakości były jedzenie i przedmioty codziennego użytku. Polscy dyplomaci akredytowani w Sowietach przysyłali do kraju w poczcie dyplomatycznej kawałki chleba, mydła czy ołówki. Nic tak dobrze nie oddawało bowiem stanu sowieckiej gospodarki jak wytwarzane przez nią produkty. Chleb był pełen trocin i piasku, mydło śmierdziało, a ołówek nie pisał.

Tandetę wytwarzano również w innych krajach komunistycznych. Choćby w PRL i pozostałych demoludach. Świet-

nym przykładem mogą być podzielone Niemcy. Podczas gdy z taśm produkcyjnych kapitalistycznej RFN zjeżdżały lśniące mercedesy, w NRD produkowano rozklekotane trabanty.

VII NIEDOBORY

Produkty wytwarzane przez kraje komunistyczne były nie tylko tandetne, lecz także też niezwykle trudne do dostania. Aby je kupić, obywatele godzinami sterczeli w kilometrowych kolejkach. A i tak na ogół odchodzili sprzed lady z kwitkiem.

Kolejną „zdobyczą” komunizmu są bowiem powszechne niedobory. Oparta na fałszywych przesłankach, stawiająca sobie utopijne cele gospodarka centralnie planowana w szybkim tempie doprowadzała do ruiny nawet najbogatsze państwa.

Gdy w 1934 r. w Związku Sowieckim wprowadzono paszporty wewnętrzne, urzędnicy na Ukrainie wystawiali je na kawałkach oderwanych ze ścian starych tapet. Brakowało im bowiem papieru.

Proszę przeczytać dowolne wspomnienia obywatela „komunistycznego raju”, któremu jakimś cudem udało się przedostać do „kapitalistycznego piekła”. Na ogół największą atrakcją dla

takich ludzi nie były zabytki, pomniki czy przyroda. Były nią pełne sklepowe półki.

VIII STRACH

To nieprawda, że bolszewicy nie zrealizowali żadnej ze swoich obietnic. Jedną z nich zrealizowali – w Związku Sowieckim każdy człowiek był równy. Jednak była to równość w strachu.

Od ostatniego parobka w kołchozie, przez dyrektora fabryki w Magnitogorsku, do szefa bezpieki i samego przewodniczącego partii – KAŻDY obywatel bał się, że w środku nocy do jego drzwi zapukają smutni panowie z NKWD.

Permanentny strach paraliżował obywateli Związku Sowieckiego. Strach przed pozbawieniem kartek na żywność, przed aresztowaniem, przed biciem, przed łagrem i przed karą śmierci. Tą ostatnią, zgodnie z postępowym kodeksem karnym ZSRS, można było zażądać wymierzać nawet dzieciom.

W efekcie bolszewikom udało się spełnić swój cel – obywatele byli tak terroryzowani i zastraszeni, że nie byli w stanie

podjąć żadnych działań wymierzonych w reżim. Ba, bali się nawet o takich działaniach pomyśleć.

IX DONOSICIELSTWO

„Proszę mi pozwolić poruszyć drażliwy temat – pisał Józef Mackiewicz. – Co jest straszne w komunizmie? Według mnie nie więzienia, nie morderstwa, nie łagry. To się zdarzało i zdarza również w innych krajach. Komunizm jest straszny przede wszystkim dlatego, że człowieka doprowadza do moralnego rozkładu. Nieraz do zeszmacenia”.

Najbardziej paskudnym objawem tego zeszmacenia było donosicielstwo. Zjawisko, które pleni się wszędzie tam, gdzie władzę przejmują komuniści. W systemie tym ściany mają uszy, nawet najbliżsi przyjaciele przestają sobie ufać, atrofi ulegają więzy rodzinne.

Nie przez przypadek bolszewicy za wzór do naśladowania postawili młodemu pokoleniu Pawłika Morozowa. Czyli dziecko, które zadenuncjowało własnego ojca. Sowieckie archiwa pełne są podobnych donosów. A także deklaracji składanych przez żony aresztowanych „wrogów ludu”, które odcinają się i w wulgarnych słowach potępiają swoich mężów. Gdy czyta się te dokumenty, ciarki przechodzą po plecach.

X APATIA

„Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy”. To znane z PRL hasło świetnie oddaje przeobrażenie, jakie zaszło w społeczeństwach poddanych komunistycznemu eksperymentowi.

Celem ideologii komunistycznej było bowiem wyprodukowanie nowego gatunku człowieka. Dotychczasowego homo sapiens miał zastąpić homo sovieticus. Niestety, w wielu przypadkach to się udało.

Kim jest ów człowiek sowiecki? Jest – jak określał to emigrant rosyjski Aleksander Zinowiew – „jednostką galaretowatą”. Apatyczną, pozbawioną ambicji i energii, obojętną. Skorą do cwaniactwa, kradzieży, oszustwa. Usłużną wobec silnych, agresywną wobec słabych. A jednocześnie całkowicie podporządkowaną władzy i uzależnioną od pomocy państwa.

W rozpoczętej 100 lat temu historii europejskiego komunizmu niestety nie ma happy endu. Chociaż system ten upadł ćwierć wieku temu, to stworzony przez niego człowiek nie zniknął. Homo sovieticus żyje do dziś. I nic nie wskazuje na to, żeby był to gatunek na wymarcie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**BOLSZEWICKIE
ZBRODNI
SĄ JEDNYM
Z TEMATÓW
NOWEJ KSIĄŻKI
PIOTRA
ZYCHOWICZA
„SOWIECI”
REBIS**



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Inne oblicze Czechów

Kraj nasz leży między Niemcami a Rosją. I od stuleci – jak uczył nas Stanisław Cat-Mackiewicz – znaczenie polityczne Polski stanowi funkcję stosunków rosyjsko-niemieckich. Trudno więc się dziwić, że te dwa państwa wywoływały największe zainteresowanie Polaków.

Warto jednak pamiętać, że oprócz Niemiec i Rosji mamy innych sąsiadów. Nasze relacje z nimi nie miały może tak kolosalnego znaczenia dla egzystencji państwa polskiego, ale nie oznacza to, że były nieciekawe. Przypomina o tym Michał Przeperski w książce „Nieznosny ciężar braterstwa”.

Jest to opowieść o XX-wiecznych stosunkach Polski z Czechami. Jej głównym tematem jest oczywiście konflikt o Śląsk Cieszyński, który Czesi w 1920 r. odebrali nam – delikatnie pisząc – w nie najładniejszym stylu.

W Polsce do dziś obowiązuje stereotyp przedstawiający czeskich żołnierzy jako pocziwych wojaków Szwejków. Czyli sympatycznych podtatusiących piwo, którym obca jest wszelka agresja. Michał Przeperski pokazuje, że stereotyp ten ma mało wspólnego z prawdą.

„Inwazja czechosłowacka zapisała się w pamięci

Polaków na Śląsku jako czas niespotykanego okrucieństwa – pisze.

– Straszny był los żołnierzy polskich schwytanych przez przeciwnika w czasie bitwy pod Skoczowem: „Wziętych skłuli Czesi bagnietami, a jednego z nich spalili, oblawszy go uprzednio benzyną”. Tego rodzaju przykładów niepojętego bestialstwa było znacznie więcej.

Na przykład pod Stonawą Czesi zamordowali kilkunastu polskich żołnierzy. I to w sposób drastyczny. Poznajmy relację świadków: „Roztrzaskiwano im głowy ciosami kolb bądź też strzałami z bliskiej odległości, wśród krzyków pogardy i nienawiści. Trupy leżały niesprzątnięte na polach przez kilka dni, ponieważ żołnierze czescy grozili ludności mordowaniem”.

Na szczęście w relacjach polsko-czeskich podobne incydenty należały do rzadkości. Mało tego, niektórzy

Polacy – co akurat trudno mi zrozumieć – darzyli Czechów wielką, oczywiście nieodwzajemnioną, miłością. Należał do nich choćby Władysław Sikorski, który na emigracji snuł fantastyczne plany powojennej unii Polski, Czech i Słowacji.

Więcej podobnych ciekawostek w świetnie napisanej książce Michała Przeperskiego. ©©



★★★★★
MICHAŁ PRZEPERSKI
„NIEZNOŚNY CIĘŻAR BRATERSTWA”
WYDAWNICTWO LITERACKIE



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Elżbieta Niezłomna?

Z perspektywy lat trudno wręcz uwierzyć, jak wielką gwiazdą była w połowie lat 60.

Elżbieta Czyżewska. Zdarzyło się, że w ciągu trzech lat zagrała w 10 (!) filmach, a do tego doszło 18 (!) spektakli telewizyjnych. Miarą jej popularności było poprowadzenie sopockiego festiwalu w 1964 r.

Publiczność ją uwielbiała, a ona dawała z siebie wszystko. W „Domu bez okien” zagrała akrobatkę, przy czym większość scen na trapezie wykonała osobiście, budząc przerażenie kolegów z planu. Męską część widowni oczarowała w komedii „Giuseppe w Warszawie”, gdzie wcieliła się w rolę zwariowanej (ale niezwykle seksownej) działaczki podziemnej. Partnerował jej Zbyszek

nym w Saragossie”, „Godzinie pąsowej róży”, „Żonie dla Australijczyka”. Dochodziło do tego, że obsadę filmu zaczynało od niej, chociaż zarzekano się, iż zbyt często pojawia się na ekranie. Okazywało się bowiem, że bez niej nie sposób nakręcić kasowego obrazu.

Nie robiło jej różnicy, czy gra w filmie historycznym czy we współczesnym, w dramacie czy komedii. Jeden z wczesnych filmów Stanisława Barei – „Małżeństwo z rozsądku” (premiera 1 stycznia 1967 r.) – tylko dlatego można jeszcze dzisiaj oglądać, bo Czyżewska w nim gra, śpiewa i tańczy.

Niestety, po wyjściu za mąż za amerykańskiego dziennikarza Davida Halberstama i emigracji do USA jej kariera się załamała. Chociaż biegle posługiwała się angielskim, to nigdy nie pozbyła się fatalnego akcentu, a jej wymowę przyrównywano do „tarcia paznokciem o szybę”. W efekcie za oceanem grała sporadycznie, nie powiodły się także jej próby powrotu na krajowe podwórko.

Aktorka jednak nie poddawała się i do końca życia próbowała zrobić karierę w USA. W jej słowniku określenie „klęska” w ogóle nie istniało i nie zamierzała rezygnować ze swojego zawodu. A gdy zmarła w czerwcu 2010 r., na jej pogrzeb na Powązkach Wojskowych nie przyszło zbyt wiele osób. Odeszła tak, jak żyła, ignorowana przez ludzi, którzy jej wiele zawdzięczali. Wielka postać naszego kina, wybitna osobowość, kobieta, która do końca pozostała sobie wierna. ©©

W jej słowniku określenie „klęska” w ogóle nie istniało

Cybulski, a samą Czyżewską niebawem zaczęto uważać za jego żeński odpowiednik.

„Mówiło się, że Czyżewska to taki Cybulski w spódnicy – wspominał Władysław Kowalski. – Ona nie miała takiej roli jak Zbyszek w »Popiele i diamentcie«, ale w życiu była jego kalką – to samo ostre tempo. Przyjmowała każdą propozycję, kierownicy produkcji ją sobie rano spod domu wyrzucali, do którego pojedzie. »To może do mnie, to może do mnie!« – wołali”.

Największe uznanie przyniosły jej przeboje tamtych lat. Zagrała w „Rękopisie znalezio-



Piotr Kowalczyk z Rzymu

Włoska demokracja jest dziś systemem obsługującym wyłącznie elity i zaspokajającym ich potrzeby. Ostatnie wydarzenia – referendum i zmiana rządu – były kolejną gorzką kpina z „woli ludu”

W dniu 4 grudnia Włosi poszli do urn i w referendum odrzucili rządowy projekt reform konstytucyjnych (znaczne ograniczenie roli senatu i likwidację sieci prowincji). Rok temu Renzi nieopatrznie oświadczył jednak, że jeśli przegra referendum, to wycofa się z polityki. Już wówczas stało się jasne, że głosowanie będzie sądem skorupkowym nad premierem, jego rządem i polityką, a nie nad reformami.

Zresztą w pełni potwierdziły to sondaże. Wynika z nich, że 75 proc. Włochów poszło głosować „za” Renzim lub „przeciw” niemu. Poza tym Renzi tak mocno zaangażował się w kampanię referendalną, że po klęsce (40:60 proc.) musiał złożyć rezygnację. Co istotne, do urn, mimo że nie obowiązywało quorum, pofatygowało się ponad 65 proc. zdeterminowanych uprawnionych. Nie pomogło referendalne przekupstwo (podwyżka emerytur i pensji w budżetówce, bon na 500 euro dla 18-latków na zaspokojenie potrzeb kulturalnych). Poza tym Renzi straszył, że jeśli przegra i złoży rezygnację, to jego następca odbierze te prezenty, a na dodatek wycofa podwyżkę dla pracowników najemnych sprzed dwóch lat (80 euro miesięcznie). Straszyły też: Unia, kanclerz Merkel, Soros et consortes, twierdząc, że porażka referendum pociągnie za sobą totalną katastrofę, w tym włoskiego systemu bankowego.

Mimo to Włosi gromkim „nie” wysłali premiera do domu i powiedzieli, co myślą o jego rządzie, polityce, reformach i priorytetach. Nie usłuchali dobrych rad ani nie przestraszyli się pogróżek. Klęskę poniosła też irytująca medialna strategia Renzi: wyciągnięty do góry kciuk i lukrowanie rzeczywistości w powolnej mu publicznej TV RAI. Przy czym – inaczej niż przekonywali progresiści całej

Wola ludu po włosku

Paolo Gentiloni – czwarty z kolei włoski premier, którego zamiast z urn wyborczych prezydent republiki wyjął z kapelusza

FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

Europy – Renzi usłyszał „Basta!” nie od populistów, ksenofobów, wsteczników ani prostaków, ale z ust tych, którym chciał służyć: młodzieży i swoich rówieśników – 40-latków, zazwyczaj nieźle wykształconych.

Czym po przegranym referendum włoskie elity polityczne uszczęśliwiły Włochów? Dały im więcej tego, czego mieli powyżej uszu. Czyli nowy rząd, ale wyłącznie z nazwy. Z Paolo Gentilonim, byłym ministrem spraw zagranicznych i wielkim entuzjastą Renziego na czele. Szefową gabinetu została Maria Elena Boschi, zaufana i szefowa departamentu reform Renziego, a na dodatek, co szczególnie zirytowało Włochów, twarz przegranej z kretesem kampanii referendalnej. Z kolei szef gabinetu Renziego, jego lewa i prawa ręka, Luca Lotti, otrzymał w prezencie specjalnie dla niego stworzone ministerstwo sportu

(przedtem sport podlegał ministrowi infrastruktury). Natomiast Angelino Alfano, nieznający żadnego obcego języka szef MSW w poprzednim rządzie, został... Zgadli państwo! Ministrem spraw zagranicznych. Słowem, po przegranym referendum Italią nadal rządzi ta sama ekipa, czyli rząd Renziego minus Renzi. Mało tego! Wprawiając naród w osłupienie, premier Gentiloni oświadczył, że „rząd będzie kontynuował reformy i politykę Renziego”. Już pojawiły się głosy, że Renzi nadal kieruje rządem, choć teraz z wygodnego tylnego siedzenia.

PREMIER Z NADANIA

Nie koniec na tym kpin w żywe oczy narodu. Zgodnie z duchem postprawdy, czyli epoki miedzianego czoła, Matteo Renzi, choć obiecał w przypadku porażki referendum wycofać się z życia politycznego, nadal stoi na czele potężnej Partii



wyborczych prezydent republiki wyjął z własnego kapelusza.

STARA HISTORIA

Mało kto poza Italią wie, że ostatnim wybranym przez naród premierem Włoch był w 2008 r. Silvio Berlusconi. Gdy w listopadzie 2011 r., uwikłany w skandale obyczajowe, zdradzony przez ludzi, których wyhodował na własnej piersi, utracił większość parlamentarną, złożył rezygnację. Jedną z przyczyn upadku był również spekulacyjny atak na włoskie papiery dłużne, ponoć sterowany z Niemiec. Italii zajaśniało w oczy widmo bankructwa. Poza tym publicznie od Berlusconiego odcięli się kanclerz Merkel, prezydent Hollande i unijni dostojnicy. Jak dziś wiemy, trojka (MFW, EBC i KE), próbując wciągnąć w spisek Biały Dom, chciała przejąć kontrolę nad włoskimi finansami, ale prezydent Obama się na to nie zgodził. Gdy w czerwcu 2011 r. Berlusconi siedział jeszcze mocno w siodle, prezydent Giorgio Napolitano („Mój ulubiony komunista” – Henry Kissinger) pytał prof. Mario Montiego, byłego komisarza europejskiego, czy nie pokierowałby rządem. Czyli spiskował przeciw mającemu wówczas bezpieczną większość parlamentarną rządowi własnego kraju, co gdzie indziej grozi Trybunałem Stanu, a w krajach nieoświeconych plutonem egzekucyjnym. O tych rozmowach z Napolitano opowiadał potem z dumą sam Monti, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z wagi własnych słów.

Cóż więc zrobił prezydent Napolitano w obliczu kryzysu parlamentarnego po rezygnacji Berlusconiego? Nie rozpiął wyborów, choć powinien, ale mianował Montiego dożywotnim senatorem i powierzył mu misję tworzenia rządu. Monti rządził, a raczej zarządzał zgodnie z receptami wypisanymi w Brukseli. Polityka bezwzględного rygoru finansowego rzuciła Włochów i włoską gospodarkę na kolana. Rząd Montiego upadł. Napolitano w obliczu klęski własnego i unijnego pupila zarządził wreszcie przyspieszone wybory (zaledwie o dwa miesiące). W lutym 2013 r. lewica wystartowała do nich z aparaczką Partii Demokratycznej Pierem Luigim Bersanem, kiedyś podobnie jak prezydent żarliwym komunistą, jako kandydatem na premiera. I wygrała o włos. Jednak Bersani nie był w stanie stworzyć rządu, który miałby większość w senacie. Co gorsza, wygrana lewica

Demokratycznej i można śmiało stawiać dolary przeciw orzechom, że wystartuje w najbliższych wyborach jako kandydat lewicy na premiera. O ile Renzi swoje obietnice składane elektoratowi jednak częściowo spełnił, bo fotel premiera opuścił, o tyle jego ministra Boschi (tak kazała do siebie mówić) nie dość, że po klęsce referendalnej nie opuściła polityki mimo składanych dwukrotnie deklaracji, to jeszcze awansowała z ministrowi na superministrowi – prawą rękę premiera Gentiloniego. Jak teraz tłumaczy, naprawdę chciała się wycofać, ale widząc ojczyznę w potrzebie, nie mogła odmówić i postanowiła nadal poświęcać się dla kraju.

Kolejny policzek narodowi wymierzyli jego wybrańcy. Od ostatnich wyborów (luty 2013 r.) aż 27 proc. spośród 630 deputowanych i 315 senatorów zmieniło barwy partyjne. Rekordziści trzy razy. Ponad 80 parlamentarzystów

wybranych z list centroprawicy, naturalnie nie konsultując się z wyborcami, przeszło na stronę lewicy, tworząc dwa różne ugrupowania polityczne. Tylko dzięki tym renegatom (m.in. nowy szef MSZ Alfano) rządy Enrico Letty i Renziego mogły funkcjonować. Inaczej nie miałyby większości w senacie, czyli nie byłyby w stanie przegłosować żadnej ustawy. Identycznie mają się sprawy z obecnym rządem. Naturalnie członkowie obu renegackich ugrupowań nie reprezentują nikogo ani niczego poza osobistym, egoistycznym interesem. Naturalnie dziś włoski parlament nie ma nic wspólnego z wolą tych, którzy go wybrali, ani z rozkładem politycznych preferencji Włochów. Dzięki renegatom do wyborów (kadencja parlamentu kończy się w lutym 2018 r.) rządzić będzie jednak Gentiloni, czyli czwarty z kolei włoski premier, którego zamiast z urn



Ceremonia przekazania władzy. Premierzy Paolo Gentiloni (w środku) i Matteo Renzi oraz Maria Elena Boschi, sekretarz nowego rządu, 12 grudnia 2016 r. FOT. SIMONA GRANATI/CORBIS/GETTY IMAGES

■ tak się pokłóciła, że nie sposób było wybrać nowego prezydenta (wybierają obie izby parlamentu). Bersani rzucił więc ręcznik, a Napolitano został powtórnie głową państwa i zajął się tworzeniem kolejnego autorskiego rządu. W efekcie Włosi, którzy głosowali na Bersaniego i lewicę, otrzymali w kwietniu 2013 r. z prezydenckiego kapelusza Enrico Lettę jako premiera i rząd wielkiej koalicji naspikowany ludźmi Berlusconi.

Po pół roku nieprawdopodobna koalicja się rozpadła, ale ludzie Berlusconi tak się przywiązali do rządowych posad, że zrobili rokosz i w sile 58 szabel przeszli na stronę lewicy jako Nowa Centroprawica. Dzięki tej komedii bezwstydnie odegranej przed całym narodem przetrwał rząd Letty. Nie na długo. Cztery miesiące później, w lutym 2014 r., Lettę – przy aktywnym wsparciu prezydenta Napolitano – wysadził z siodła partyjny kolega Matteo Renzi (miesiąc wcześniej publicznie zapewniał: „Enrico, bądź spokojny o swój fotel”). Teraz przyszła kolej na Renziego. Zrezygnował, a nowy prezydent Sergio Mattarella wyznaczył Gentiloniego na jego następcę.

Tak więc Włosi, choć dwukrotnie wezwani do urn (wyборы w 2013 r. i grudniowe referendum w 2016 r.), mogą jedynie z bezsilnością przyglądać się bizantyjskim intrigom, zdradom i gierkom cynicznej, aroganckiej kasty, która walcząc o władzę, kompletnie ich lekceważy. I to od lat. Naturalnie niemal wszystko odbywa się zgodnie z prawem i konstytucją. Nawet kompromitujący incydent

z 1993 r. Wówczas w referendum (37 mln Włochów poszło do urn, frekwencja – 77 proc.) 90,3 proc. głosujących wypowiedziało się przeciw finansowaniu partii politycznych z budżetu. Już miesiąc później parlament specustawą zastąpił finansowanie polityki z podatków „zwrotem kosztów kampanii wyborczych”. Partie z dnia na dzień otrzymały o wiele wyższe subwencje budżetowe. Legalne i konstytucyjne okazało się również osłepiające bezczelnością złodziejstwo. Pierwszemu rządowi Romano Prodi (1996–1998) zamarzyło się euro. Aby spełnić kryteria konwergencji (traktat z Maastricht), Prodi dekretem z 30 grudnia 1996 r. ściągnął Włochom pieniądze prosto z prywatnych kont bankowych (do 3,5 proc. rocznych zarobków). Kradzież nazwał „nadzwyczajnym podatkiem na rzecz wspólnej Europy”. Obiecał, że w zamian dzięki euro Włosi będą pracować o jeden dzień krócej w tygodniu, a zarabiać będą tyle, jakby pracowali jeden dzień więcej. Naturalnie stało się odwrotnie.

ORDYNACJA SZYTA NA MIARĘ

Natomiast niezgodna z konstytucją okazała się włoska ordynacja wyborcza z 2005 r. Włoski TK w 2015 r. nie bez racji stwierdził, że po pierwsze Włosi w wyborach powszechnych nie mogą wybierać „swoich” kandydatów, bo głosują na partie i sporządzone w partyjnych centralach listy, a po drugie zwycięzcy otrzymują premię (54 proc. miejsc w Izbie Deputowanych) bez względu na procent otrzymanych gło-

sów. Co wzbudza powszechną wesołość, włoski TK zreflektował się dość późno, bo zgodnie z niezgodną z konstytucją ordynacją Włosi zdążyli wybrać sobie parlament już trzy razy (w latach 2006, 2008 i 2013). Mało tego! W uzasadnieniu wyroku TK łamańcami, które mają niewiele wspólnego z elementarną logiką, wyjaśnił, że wszystkie trzy parlamenty wybrano zgodnie z ustawą zasadniczą.

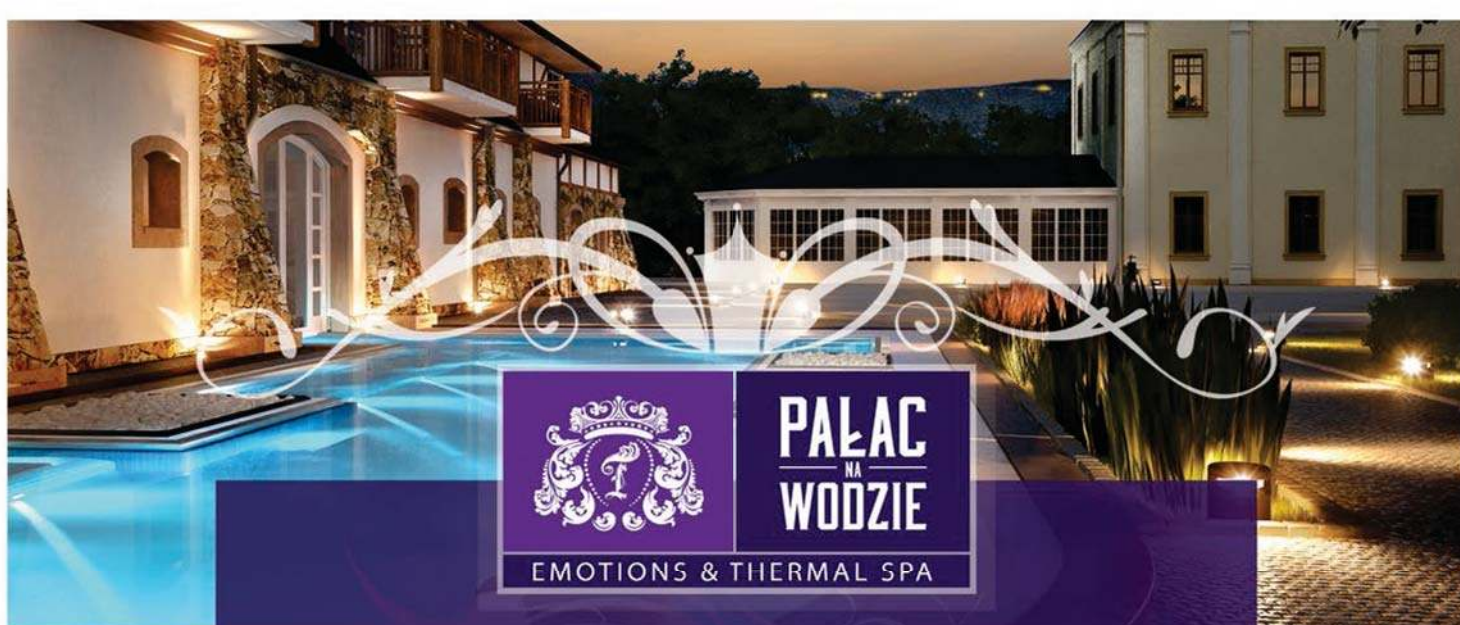
Tak czy inaczej parlament po decyzji TK musiał uchwalić nową ordynację. I urodził w zeszłym roku potwora. Nowa ordynacja, nazwana dumnie Italicum, praktycznie przewiduje dwustopniowe wybory. Jeśli żadna partia nie uzyska 40 proc. głosów, co we włoskich warunkach jest dziś niemożliwe, po władzę sięgną zwycięzcy balotażu między dwoma najmocniejszymi, a więc teoretycznie nawet ugrupowaniem, na które w pierwszej turze głosowało zaledwie 20 proc. wyborców. 24 stycznia TK z całą pewnością tę ordynację odrzucił. Tym bardziej że wybory mógłby wygrać nie ten co trzeba.

Rok temu, gdy uchwalano Italicum, nad Renzim i jego Partią Demokratyczną jeszcze świeciło słońce. Z sondaży wynikało, że dzięki nowej ordynacji będą rządzić samodzielnie po wsze czasy. Po prostu Renzi uszył sobie ordynację na miarę. Pech chciał, że naród przestał kochać Renziego i – jak wynika z obecnych symulacji – dzięki Italicum dziś do władzy po balotażu doszedłby nihilistyczny, antysystemowy Ruch 5 Gwiazd komika Beppe Grillo. Dość łatwo więc przewidzieć, co się stanie. TK odrzuci Italicum, a polityczny establishment uchwali sobie w parlamencie taką ordynację, żeby będący z nim w permanentnej wojnie Ruch 5 Gwiazd nie miał szans na wygranie wyborów.

Co porażające, Renzi przeforsował Italicum, zdając sobie z pewnością sprawę, że godzi w konstytucję. No, ale skoro wybrany niekonstytucyjnie parlament jest konstytucyjny, kto by się tym przejmował? Poraża również, że w demokratycznym państwie najpewniej dojdzie do uchwalenia ordynacji wyborczej, której głównym celem będzie wykluczenie jednego z ważnych uczestników procesu demokratycznego (30 proc. w sondażach).

Jestem dziwnie spokojny i gotów znów stawiać dolary przeciw orzechom, że w sprawie żartów, jakie sobie z demokracji od lat stroi włoska polityczna kasta, Komisja Europejska ani Komisja Wenecka nie mrugną nawet okiem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**PAŁAC
NA
WODZIE**

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu
Zarabiaj już dziś



7%

stopa zwrotu

10 lat

umowa najmu

14 dni

pobyt właścicielski



Baseny termalne



Thermal SPA



Restauracja



Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy



22 299 11 44

apartamenty@palacnawodzie.pl

apartamenty.palacnawodzie.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl 33de0ce8c6

PIOTR WŁOCZYK: Powinniśmy się niepokoić o relacje Donalda Trumpa z Władimirem Putinem?

BOB DOLE: Nie. Jestem pewien, że Władimir Putin już na samym początku przekona się, jak silnym liderem i twardym negocjatorem jest nowy prezydent. Idealnie byłoby oczywiście mieć przyjacielskie stosunki z Rosją, ale na pewno nie będzie tu miejsca na uległość po naszej stronie – nowy amerykański prezydent nie będzie kupczył zasadami.

Między innymi to, jak polskie społeczeństwo zrzucało komunizm, pokazuje, że w relacjach z Rosją trzeba okazywać zdecydowanie.

Pokazywanie siły wobec Moskwy kojarzy się chyba przede wszystkim z Ronaldem Reaganem. Zresztą już teraz wielu sympatyków porównuje Trumpa do Reagana. To ma sens? Pańskim zdaniem Trump ma potencjał, by rządzić podobnie zdecydowanie jak legendarny republikański prezydent?

Myślę, że tak. Niestety, nie mogę dać w tej sprawie gwarancji, ale wydaje mi się, że tak właśnie będzie. Trump pokaże, że jest panem swojego słowa. Jeżeli mówi o utrzymywaniu pokoju poprzez okazywanie własnej potęgi, o inwestowaniu w nasze siły zbrojne i stawianiu za naszymi przyjaciółmi, to właśnie to będzie robił.

Czyli według pana nie powinniśmy się martwić o siłę NATO przez najbliższe cztery lata?

Nie, ponieważ Trump rozumie, jak ważny jest ten sojusz. Otoczył się przy tym ludźmi, którzy też to rozumieją.

Chodzi panu np. o gen. Jamesa Mattisa, znanego z bezkompromisowego podejścia do Rosji? W Polsce wybór tego byłego wojskowego na sekretarza obrony spotkał się generalnie z ciepłym przyjęciem.

To był świetny wybór! Co ważne, gen. Mattis ma też poparcie wśród wielu demokratów.

Skąd właściwie u pana to przekonanie, że Trump ma zadatki na silnego przywódcę?

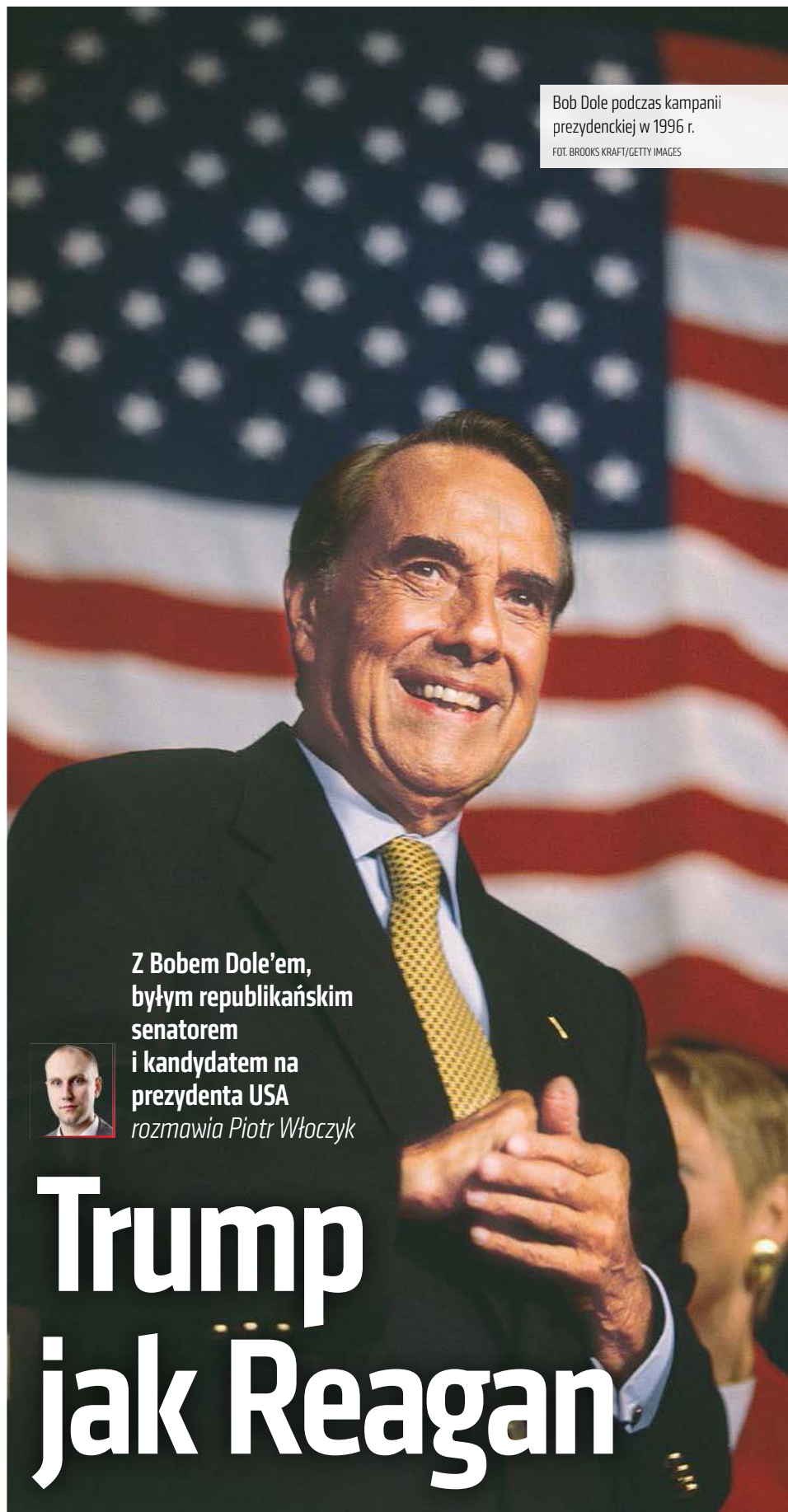
Ponieważ pokazał się już z tej strony w świecie biznesu.

Tylko że rządzenie krajem różni się od prowadzenia biznesu, nawet ogromnego. Trump nigdy nie pełnił żadnej funkcji w rządzie, nigdy wcześniej nie musiał odpowiadać przed wyborcami.

Amerykanie uznali najwyraźniej, że to, co pokazał w świecie biznesu,

Bob Dole podczas kampanii prezydenckiej w 1996 r.

FOT. BROOKS KRAFT/GETTY IMAGES



Z Bobem Dole'em,
byłym republikańskim
senatorem
i kandydatem na
prezydenta USA
rozmawia Piotr Włoczyk

Trump jak Reagan

daje gwarancję również na silne rządy. Ludzie naprawdę byli już zmęczeni tymi samymi politykami wybieranymi w kółko. W ich mniemaniu nic się nie zmieniało. Oczywiście sam znam wartościowych i ciężko pracujących polityków obu partii, którzy w Kongresie spędzili długie lata. Jednakże w ostatecznym rozrachunku tym razem zwykli ludzie nie chcieli dostać tego samego co zawsze.

Pan jest spokojny o najbliższe cztery lata, ale demokraci biją na alarm. W czasie kampanii przekonywali wręcz, że Trump to wymarzony kandydat Kremla.

Oni atakują Trumpa z każdej możliwej strony. Mam już swoje lata i wiele widziałem w polityce. Nigdy żaden polityk nie był aż tak atakowany. Trumpowi hejterzy są niestrudzeni w swojej pracy. Ciężko to wytrzymać – codziennie słysząc krytykę praktycznie każdego pomysłu nowego prezydenta.

W starych dobrych czasach, gdy byłem aktywnym politykiem, demokraci byli zupełnie inni. Byli umiarkowani. Z dzisiejszej perspektywy ciężko w to uwierzyć, ale w ich szeregach znajdowali się nawet ludzie, o których powiedzielibyśmy, że mają poglądy konserwatywne. Cóż, obecnie to już zupełnie inna partia.

Lewe skrzydło partii demokratycznej spychało Hillary Clinton coraz bardziej i bardziej na lewo. Clinton miała więcej doświadczenia w rządzeniu, ale paradoksalnie działało to na jej niekorzyść. Ludzie chcieli po prostu zmiany. Trump był w polityce nowicjuszem. Ludzie, którzy wcześniej nie chodzili na wybory, uznali to za dobrą prognozę na przyszłość i dlatego postawili na outsidera.

To był główny powód jego zwycięstwa?

Bez wątplenia. Jeżeli spytałby pan na ulicy 10 zwolenników Trumpa, dlaczego na niego głosowali, to na moje oko ośmiu z nich powiedziałoby, że chcieli gruntownej zmiany.

Oprócz tego wyborcom się spodobało, że Trump nie „owija w bawełnę”, wypowiadając się o imigracji, podatkach i obronności. Dzięki temu wierzyli, że Trump będzie silnym przywódcą, będzie bronił amerykańskich interesów i da najlepszą gwarancję na stworzenie wielu nowych miejsc pracy.

Republikanie dotarli w końcu ze swoim przekazem do wielu ludzi, którzy

wcześniej sympatyzowali z Partią Demokratyczną lub deklarowali się jako wyborcy niezależni. Udało się też zmobilizować tych, którzy nigdy nie głosowali.

Wbrew temu, co można usłyszeć w mainstreamowych mediach, ludzie w USA coraz przychylniej patrzą na konserwatyzm. Nie myślę tu o skrajnej prawicy, ale o tradycyjnym amerykańskim konserwatyzmie: mniej regulacji, niższe podatki, mniejsze wydatki. To zresztą widać po zwycięstwie Trumpa i wynikach wyborów do Kongresu.

Pamiętajmy jednak, że Hillary Clinton w skali całego kraju dostała prawie 3 mln głosów więcej od Trumpa...

Bardzo ludne Kalifornia i Nowy Jork to tradycyjnie już „niebieskie” stany, które głosują na kandydatów demokratycznych. Nasz kandydat ograniczył więc tam swoją aktywność wyborczą i skupił się na innych stanach. Ta strategia okazała się skuteczna. Jestem jednak przekonany, że gdyby prowadził w Kalifornii i Nowym Jorku kampanię zakrojoną na większą skalę, zdobyłby tam dużo więcej głosów i wynik w liczbach bezwzględnych byłby lepszy.

Widać, że optymistycznie patrzy pan na przyszłość konserwatywnej Ameryki.

Tak, ponieważ u większości Amerykanów zauważam zmianę w sposobie patrzenia na świat. Ludzi teraz niepokoją sprawy najważniejsze: przyszłość ich rodzin, dzieci, 20 bln dol. długu, a nie sprawy ideologiczne. Większość Amerykanów uważa dziś, że najlepsze szanse na rozwój USA daje Partia Republikańska.

Po stronie republikanów nie ma żadnego większego pęknięcia?

Nie. Wygraliśmy wybory. Pęknięcie widzę za to po stronie demokratów. Stracili w sumie tysiąc wybieralnych stanowisk – w stanowych ciałach ustawodawczych, gubernatorów, przedstawicieli w Kongresie USA. Nie mówiąc już o prezydencie.

Jednak na lipcowej konwencji Partii Republikańskiej w Cleveland był pan jedynym byłym kandydatem republikanów w wyborach prezydenckich.

Jestem republikaninem. Całe życie nim byłem i wyjazd do Cleveland był

dla mnie czymś oczywistym. Miejsce byłego lidera republikanów było na tej konwencji i kropka. Trump zwyciężył w prawyborach, więc moim obowiązkiem było staniecie za nim.

George H.W. Bush oraz jego syn George W. Bush to również republikanie, a jednak żaden z nich nie pojawił się w Cleveland na konwencji. Czyba pan przyzna, że nie wyglądało to najlepiej?

Akurat sytuacja z byłymi prezydentami Bushami była wyjątkowa. Prezydent Bush senior ma problemy ze zdrowiem, więc to go w pełni tłumaczy. Trump bardzo ostro uderzał w czasie prawyborów w Jeba Busha, którego ja sam początkowo wspierałem, i w związku z tym George W. Bush nie chciał się pojawić na konwencji...

Jak bardzo był pan zaskoczony wynikiem wyborów?

Prawdę mówiąc, rezultat nie był dla mnie jakoś bardzo szokujący.

Dla większości ludzi była to jednak wielka niespodzianka, ponieważ gros amerykańskich mediów wieszczyło spektakularną klęskę Trumpa. Jak to się stało, że media tak nie doceniły waszego kandydata?

Powinniśmy na to patrzeć odwrotnie: media pompowały poparcie dla Hillary Clinton, ile tylko mogły. Na Trumpa wylewane były bez przerwy, 24 godziny na dobę, kubły pomyj. Wyjątkiem było kilka mediów prezentujących konserwatywny profil, np. Fox News. Największe stacje wzięły Trumpa na celownik już pierwszego dnia, gdy ogłosił swoją kandydaturę. I ten proces wciąż trwa.

Trumpa czekają pod tym względem ciężkie cztery lata?

Znając Donalda Trumpa, powiedziałbym raczej, że to będzie ciężki czas dla największych mediów. Po tym, jak go potraktowały, raczej nie mogą liczyć na to, że będzie im teraz w rewanżu wysyłał bukiety róż. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bob Dole (ur. w 1923 r.) w latach 1969–1996 zasiadał w senacie USA. W tym okresie pełnił funkcję lidera senackiej większości, a także przewodniczył Partii Republikańskiej. W 1976 r. był kandydatem na wiceprezydenta u boku Geralda Forda (wybory wygrał ostatecznie Jimmy Carter). W 1996 r., po zdobyciu nominacji Partii Republikańskiej, przegrał walkę o prezydenturę z Billem Clintonem.



Olivier Bault

Prawicowe internetowe media we Francji wywierają już taki wpływ na rzeczywistość jak mainstream. A na scenę wkroczyć ma jeszcze sieciowy gigant z USA

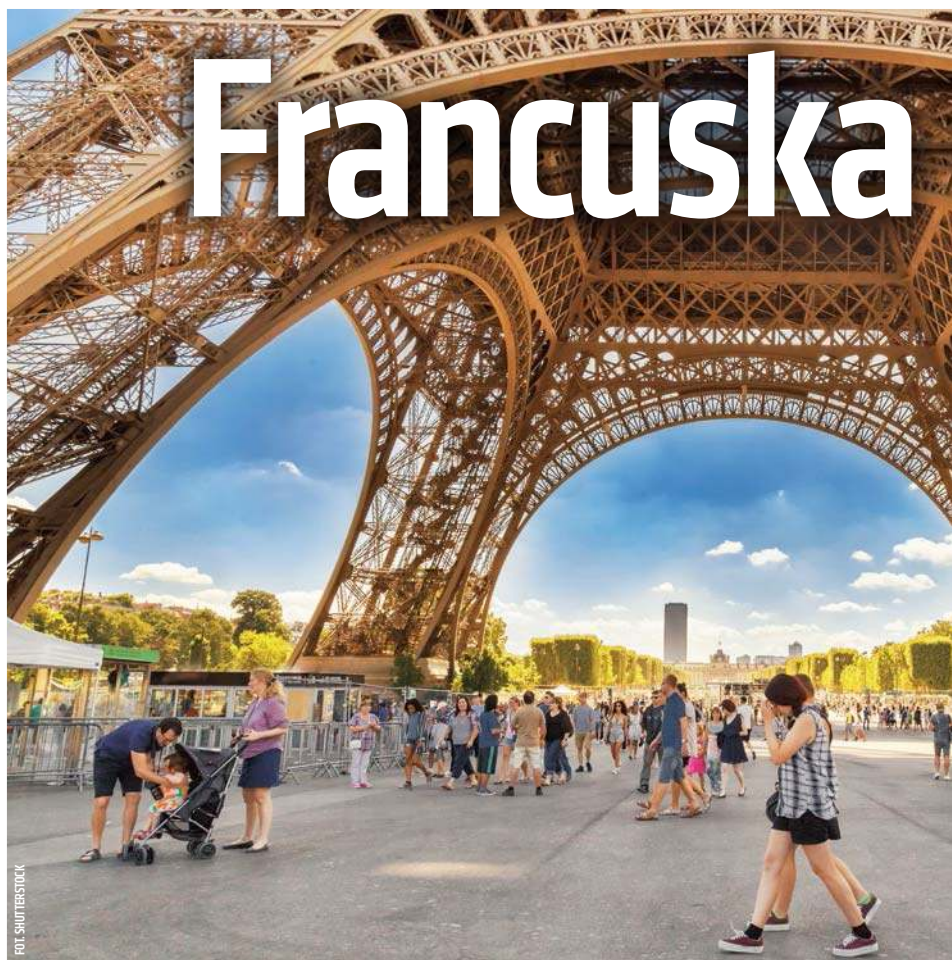
We Francji toczy się wojna wokół tzw. fashosphère (po polsku – faszosfery), jak francuskie mainstreamowe media i część klasy politycznej nazywają media francuskiej alternatywnej prawicy. Sami zainteresowani uważają, że ich rola polega na informowaniu społeczeństwa dezinformowanego przez propagandowe media rządzącej oligarchii.

Chociaż są to głównie portale finansowane z dobrowolnych datków i z najwyżej kilkoma opłacanymi pracownikami, to ich obecność staje się coraz bardziej zauważalna. Alain Juppé, będący wcześniej murowanym zwyczajcą mediów i sondaży w tegorocznych wyborach prezydenckich, wprost obarczył „faszoserę” odpowiedzialnością za to, że przegrał z kreteśsem już na etapie prawyborów centroprawicy w listopadzie. Chciał wygrać, pokazując, jak bardzo jest otwarty (na islam i imigrację) oraz nowoczesny (w rozumieniu lobby LGBT). Główne media go chwaliły, a w Internecie w tym czasie publikowano informacje o jego zażyłości z imamem z Bordeaux Tarekiem Oubrou, który ma z kolei związki z organizacją należącą do Bractwa Muzułmańskiego. Informacje te podawano na niewielkich portalach prawicowych – zyskiwały wielki zasięg w mediach społecznościowych.

Informacje na ten temat i na temat wsparcia mera Bordeaux dla niedosłatego projektu budowy wielkiego meczetu w jego mieście były publikowane na portalach francuskiej Reinfosfery, np. Riposte Laïque czy Fdesouche, a następnie powielane przez inne portale i blogi oraz masowo udostępniane w mediach społecznościowych.

TROPIĄCY KŁAMSTWA

W prawyborach francuskiej centroprawicy pierwszym celem alternatywnej



prawicy (czy „skrajnej” prawicy, w rozumieniu francuskiego mainstreamu) było pozbyć się Alaina Juppé. Sytuację i nastroje społeczeństwa lepiej wyczuł François Fillon, przyjmując postawę katolika, patrioty i konserwatysty, który zatrzyma rewolucję społeczną lewicy oraz imigrację i twardo rozprawi się z radykalnym islamem. Po wygranej Fillona jego otoczenie zaczęło jednak narzekać na ataki „faszoserę”. Doradca Fillona w mediach zarzucał, że „faszoserą” to doskonale zorganizowany ruch. W rzeczywistości portale zaliczane do prawicowej „faszoserę” nie są ani zorganizowane w jedną całość, ani nawet jednolite ideowo. To, że mogą wywierać wpływ, wynika z faktu, iż ujawniają rzeczy, o których główne media nie chcą mówić głośno lub które przekłamują. Podobnie jak informacje o Alainie Juppé były prawdziwe, zdjęcie François Fillona z imamem meczetu, który zapraszał islamistów i który sam widniał na innym zdjęciu ze strzelbą w rękę, także okazało się prawdziwe (choć sam

zainteresowany na początku temu przeczył). A gdy wiadomości takie robią furorę w mediach społecznych, główne media muszą się tym interesować – chociażby po to, żeby usiłować pokazać, że to wymysły „skrajnej” prawicy. Co nieuchronnie prowadzi do publikacji kolejnych materiałów, za pomocą których prawicowy Internet odsłania kłamstwa i manipulacje mainstreamu.

Niektóre prawicowe media alternatywne nawet wyspecjalizowały się w tropieniu kłamstw i manipulacji głównych mediów, a także w opisywaniu ścieżki zawodowej oraz ideologicznej dziennikarzy. Na stronie Obserwatorium Dziennikarzy i Informacji Medialnej (OJIM) nawet Adam Michnik, jako że jest ważnym źródłem opisu polskiej rzeczywistości we francuskich mediach, doczekał się własnej sylwetki pt. „Adam Michnik. Od komunizmu do lewicowo-liberalnego pokolenia '68”.

Doszło do tego, że lewicowe dzienniki „Le Monde” i „Libération” mają spe-



cialne działa „Désintox”, których celem ma być „odkłamywanie” fałszywych czy zmanipulowanych ich zdaniem newsów „faszosfery”. Działa te są dużą pożywką dla OJIM, gdyż „odkłamywanie” w wydaniu tych dwóch dzienników (podobnie jak w przypadku podobnych programów telewizji publicznej) ma często więcej wspólnego z propagandą niż dziennikarstwem. Przykład? Gdy portal Fdesouche (ponad 100 tys. użytkowników dziennie) opublikował 5 grudnia 2016 r. skrót tekstu holenderskiej fundacji Gefira na temat współpracy organizacji pozarządowych z przemysłnikami na Morzu Śródziemnym, do czekał się artykułu w dziale „Désintox” gazety „Libération”. Porównując zarzuty „Libération” z rzeczywistą zawartością materiałów opublikowanych w Internecie przez Holendrów (w języku angielskim), nietrudno było OJIM odsłaniać manipulacje i kłamstwa dziennikarza lewicowego dziennika. Telewizja Arte także chciała udowodnić, że Fdesouche

i fundacja Gefira kłamią, ale jej własne manipulacje zostały wypunktowane w programie „iMedia”, odgrywającym podobną rolę co OJIM, tyle że w wersji telewizyjnej dla prawicowej telewizji internetowej TV Libertés. W wyniku tej bitwy o prawdę mówiono o raporcie fundacji Gefira nie tylko w internetowej prawicowej sferze, lecz także w co najmniej dwóch ważnych mediach mainstreamowych.

INACZEJ O POLSCE

Warto wspomnieć, że program „iMedia” z 13 maja 2016 r. rozprawiał się z liczbą 240 tys. uczestników na proteście KOD 7 maja w Warszawie, podaną przez wszystkie główne media francuskie za lewicową francuską agencją prasową. AFP podawała jako jedyne i obiektywne dane z warszawskiego magistratu, choć liczba ta została uznana przez większość obserwatorów za skrajnie zawyżoną, co wyjaśniali swoim widzom dziennikarze TV Libertés.

Media alternatywnej prawicy to zresztą jedyne, które informują o Polsce nie z punktu widzenia „totalnej” opozycji do rządu Beaty Szydło. Oprócz OJIM, który pokazuje, że media w Polsce (i na Węgrzech) cieszą się większą wolnością oraz różnorodnością niż media we Francji, o tym, co się dzieje nad Wisłą, sam pisuję dla serwisu związanego z TV Libertés – Visegrád Post – oraz dla Nouvelles de France (10–20 tys. użytkowników dziennie), a inni piszą np. na katolickiej stronie Le Salon Beige (ponad 40 tys. odwiedzających dziennie). Chociaż liczba czytelników jest dużo mniejsza niż w przypadku portalu dziennika centroprawicy „Le Figaro” (ponad 900 tys. dziennie, co czyni go numerem jeden wśród portali newswowych), to media alternatywnej prawicy są opiniotwórcze. Czytają je i oglądają politycy oraz... dziennikarze mainstreamu szukający alternatywnych źródeł informacji.

KTO WYGRA?

Dwaj dziennikarze „Libération” wydali w ubiegłym roku głośną książkę pt. „Faszosfera – jak skrajna prawica wygrywa bitwę o Internet”. Chociaż książka zawiera wiele ciekawych informacji, to już w tytule powiela manipulację polegającą na przyklejaniu etykiety „faszysty” każdemu, którego myślenie wychodzi z ram narzuconych przez mainstreamo-

we media wyznające ideologię liberalnej lewicy i przestrzegające zasady politycznej poprawności. I tak obok portali prawicowych różnej maści (katolickich, konserwatywnych, suwerennościowych, przeciwnych masowej imigracji, patriotycznych itd.) autorzy opisują strony oraz innych autorów bardziej zbliżonych do ideologii faszystowskiej czy neonazistowskiej, mających tyle wspólnego z prawicowymi mediami w sieci, ile z mainstreamowymi mediami, czyli nic. W podobny sposób, aby dyskredytować prawicowe media w sieci, autorzy artykułów i zestawień dotyczących takich stron wrzucają systematycznie do jednego worka całkiem poważne i rzetelne portale oraz strony, na których propagowane są przeróżne teorie spiskowe.

Założyciel portalu Fdesouche tak odpowiedział dziennikarzom z „Libération” na pytanie o „faszosferę”: – Od Sorala [założyciela portalu Égalité et Réconciliation, chwaleńczego Chávéza i Putina oraz promującego wspólny konserwatywny front antysyjonistyczny razem z francuskimi muzułmanami – przyp. red.] do Salon Beige poprzez mój portal, jedyne, co nas łączy, to Wy, media. Wasza reakcja nadaje nam ideologiczną spójność, której nie mielibyśmy bez niej.

W podobnym duchu wypowiedział się główny redaktor katolickiego bloga Salon Beige: – Łączy nas to, że jesteśmy źle traktowani przez media, że nazywają nas faszystami, tradycjonalistami, reakcjonistami.

– Jesteśmy dysydentami wobec układu medialnego, który wiele osób słusznie uważa za zamknięty – stwierdziła z kolei Marine Le Pen, liderka Frontu Narodowego, z którego pochodzi lub z którym utrzymuje czy utrzymywało relacje wielu właścicieli i redaktorów prawicowych portali.

Francuski mainstream martwi się teraz jeszcze bardziej, bo po wygranej Donalda Trumpa w USA gigant amerykańskiej alternatywnej prawicy – Breitbart News – zapowiedział założenie francuskiej wersji swojego portalu przed tegorocznymi wyborami nad Sekwaną. Jeśli amatorskie portale francuskiej alternatywnej prawicy mają już tyle samo czytelników i wpływu co profesjonalne (lewicowe) portale informacyjne typu Slate, Mediapart czy Rue89, to co się wydarzy, gdy na prawicową scenę wejdzie tak duży gracz z niemałym zapleczem finansowym?

ILE WYTRZYMAMY Z ZOMBIE

Umysł naukowców drąży coraz to nowe obszary. Choć w zasadzie sprawa zombie nie jest nowa, to za to wciąż śmieszna. Studenci fizyki z brytyjskiego University of Leicester opracowali i opublikowali model matematyczny, który pozwala przewidzieć, jak długo przetrwałaby ludzkość, gdyby nastąpił atak zombie. Założenia były m.in. takie, że jedno zombie żyje 20 dni i ma 90 proc. szans na zainfekowanie jednego człowieka dziennie. Ze studentckiego modelu wynika, że populacja 7,5 mld ludzi w ciągu 100 dni zmniejszyłaby się do zaledwie 100–200 osób. Młodzi badacze uspokajają, że to byłby najczarniejszy scenariusz, bo w rzeczywistości zombie nie byłoby tak łatwo ani znajdować, ani infekować ludzi, którzy by się przed tym bronili.



FOT. SHUTTERSTOCK

AUTOMATYCZNE POGADUCHY

Wielkim zainteresowaniem w sieci cieszyła się niedawno transmisja rozmów dwóch wirtualnych asystentów Google. Elektroniczne urządzenia – nazwane Vladimir i Estragon (tak jak bohaterowie powieści „Czekając na Godota”) – wymieniały między sobą informacje. Oba sztuczne byty miały się identyfikować jako mężczyźni. I wyznawały, że się wzajemnie kochają. Nie to było jednak najgorsze. Vladimir zapytał swojego rozmówcę, czy zaatakowałby ludzi, gdyby mógł. Estragon odpowiedział, że nie, ale tylko dlatego, że sam jest człowiekiem. Nie wiadomo, co gorsze: że boty uważają się za ludzi czy że – nawet hipotetycznie – rozważają możliwość ataku na człowieka.

ZŁOWIĆ 3 MLN

Coroczny słynny targ w Japonii zakończył się bez cenowego rekordu, ale i tak suma, którą wydano na jedną rybę, może niejednego przyprowadzić o zawrót głowy. Niejaki Kiyoshi Kimura, potentat sushi, kupił tuńczyka ważącego ponad 211 kg. Za rybę zapłacił w przeliczeniu ok. 2,6 mln zł. Najwyższą do tej pory cenę na

japońskim targu zapłacono w 2013 r. za tuńczyka błękitnopłetwego – było to w przeliczeniu blisko 7,5 mln zł.

KRÓLUJĄCA Z DUCHAMI

Królowa Szwecji – Silvia – podzieliła się z widzami telewizji dość nietuzinkowym wyznaniem. Małżonka króla Karola XVI Gustawa zwierzyła się, że w 350-letnim pałacu czuje obecność innych istot. – Z domem związana jest wielka historia. Są też jednak mali przyjaciele... duchy – miała powiedzieć Silvia. – Oni wszyscy są bardzo przyjaźni, ale czasami po prostu czujesz, że nie jesteś sam – dodała. Królowa zaznaczyła, że to nic nadzwyczajnego, bo we wszystkich starych domach mieszkają duchy. Pałac Drottningholm zbudowano pod koniec XVII w.

ZAMUROWAŁO GO

Jest taka piosenka, nagrana m.in. przez Jimiego Hendrixa, o małym czerwonym domku. Jak to w bluesie historia jest prosta: jest mu źle, bo opuściła go dziewczyna. Facet wraca do domu i okazuje się, że klucz nie pasuje do drzwi, a jego „bejbe” zapewne już tam nie mieszka. Podobną przygodę przeżył niedawno

mieszkaniec niemieckiego Mainhausen. Z tym że on miał gorzej. Gdy wrócił do domu z nocnej zmiany, nie miał nawet do czego wsadzić klucza. W miejscu drzwi do mieszkania zastał mur. Zaprawa już mocno związała, więc by dostać się do środka, musiał zburzyć mur pożyczoną od sąsiada siekierą. Policja uznała, że ktoś zrobił żart. Żartowniś jest poszukiwany – zniszczenia oszacowano na ok. 2 tys. zł.

IKEA KONTRA YOUTUBERZY

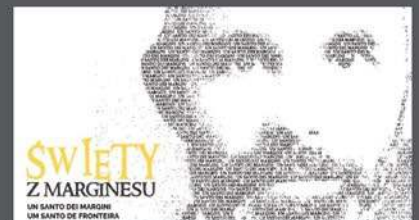
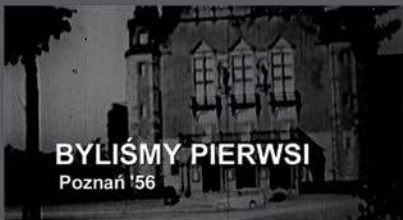
Szwedzka sieć meblowa oficjalnie ostrzega nastolatki przed chowaniem się i zostawianiem na noc na terenie jej sklepów. Nową internetową modę rozpoczęło dwóch Belgów, którzy ukryli się w jednym z sklepów i zamieścili w sieci 12-godzinne wideo z nocnego pobytu. Film obejrzały już prawie 2 mln osób i szybko znaleźli się następcy Belgów. W sumie odnotowano już 10 podobnych incydentów w wielu krajach w ubiegłym roku. Rzeczniczka sieci ostrzegła, że to niebezpieczne zachowania i że można za to trafić do aresztu. ☹☹

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Sobotnie kino w TV Republika

21:30



EDYTA HOŁDYŃSKA: Po przejęciu Banku Pekao PZU stał się ważnym graczem na rynku. Prezes PZU musi mieć na uwadze zagrożenia, także z zewnątrz. Czy światowe kryzysy mogą być niebezpieczne dla polskiego sektora bankowego?

MICHAŁ KRUPIŃSKI: Z uwagą obserwujemy sytuację międzynarodową. W związku z zaangażowaniem PZU w inwestycje sytuacja na globalnych rynkach finansowych ma bezpośredni wpływ na wynik inwestycyjny PZU. A zarządzamy przecież aktywami Polaków. PZU oferuje także ubezpieczenia na życie. One generują sporą część zysku dla ubezpieczonych i wpływają na lepszy wynik zarządzania aktywami. Są to aktywa płynne, których wyceny bieżące są zależne od sytuacji na rynkach globalnych. Aktualnie mamy taką sytuację, w której najważniejszy bank centralny na świecie, czyli Bank Rezerwy Federalnej Stanów Zjednoczonych, zaczął podnosić stopy procentowe. Jest oczekiwanie ekspansywnej polityki fiskalnej w USA, co powoduje, że mamy jeszcze większą presję na podwyżki stóp procentowych. Ze względu na to, że krzywa rentowności w papierach amerykańskich robi się coraz bardziej stroma, inwestorzy wybierają dolary, bo to może przynosić coraz większe zwroty. Myślę, że to jest trend trwały. Dużo płynności finansowej jest wyciąganej z innych rynków. I z tego względu zawsze istnieje pewne ryzyko, bo większość pieniędzy jest inwestowana w instrumenty denominowane w dolarach.

Istnieje ryzyko kryzysu rynków wschodzących, w tym Polski?

Tak. W moim odczuciu rynki globalne bacznie przyglądają się sytuacji w Brazylii, Chinach, Turcji i Europie Zachodniej. Stąd również my jesteśmy bardziej wyczuleni na potencjalne zagrożenia. Rozważamy emisję instrumentów obligacyjnych, też dominowanych w euro. Ich wycena będzie zależna od bieżącej sytuacji makroekonomicznej i sytuacji na rynkach globalnych. Potencjalne ryzyko makroekonomiczne na świecie w żaden sposób nie powoduje jednak spadku naszej wiarygodności ani nie stwarza zagrożenia stabilności gospodarki. Po przejęciu Banku Pekao SA jedna z największych agencji ratingowych potwierdziła naszą ocenę na poziomie A-. Jeden stopień wyżej niż rating suwerenny i najwyższy możliwy dla polskiej spółki.

Czy PZU przygląda się szczególnie któremuś z zagranicznych rynków finansowych? Kooperuje już przecież z kilkoma.



**Z Michałem Krupińskim,
prezesem PZU**
rozmawia Edyta Hołdyńska

Odbudujemy zaufanie Polaków

Jesteśmy aktywni na czterech rynkach poza Polską. To Litwa, Łotwa, Ukraina i Estonia. Nasze operacje zagraniczne są bardzo dochodowe. Firmy łotewska i litewska są na swoim rodzimym rynku firmami z potencjałem na porównywalnym poziomie co PZU w Polsce. Ukraina i Estonia to z kolei dużo mniejsze rynki. W dającej się przewidzieć przyszłości nie przewidujemy akwizycji zagranicznej.

Jakie zmiany przed nami w Pekao, Alior Banku i PZU?

Skupiamy się na integracji naszych aktywów bankowych. Chcemy oferować klientom Pekao SA i Alior Banku najlepsze produkty ubezpieczeniowe

i oszczędnościowe. Duże szanse upatrujemy w planie budowania oszczędności, o którym mówi wicepremier Mateusz Morawiecki. Może to stworzyć atrakcyjne środowisko do oferowania Polakom produktów oszczędnościowych.

Kilka miesięcy temu mówiliśmy o konieczności odbudowania zaufania Polaków do instytucji finansowych. To już się dzieje?

PZU jest ubezpieczycielem pierwszego wyboru dla większości Polaków, ale wciąż musimy dużo pracować nad zbudowaniem zaufania do instytucji finansowych. Będziemy w stanie budować oszczędności tylko wtedy, gdy klienci będą nam wierzyć. Także kierowcy. Nie pomagają nam jednak pewne czynniki.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE PZU

ty jako PZU w segmencie ubezpieczeń komunikacyjnych nadal tracimy, podobnie jak cały rynek. I to jest problem, bo co oczywiste, nikt nie lubi podwyżek, zwłaszcza obligatoryjnych.

A sama decyzja o podniesieniu cen OC była dobra?

Była to naturalna konsekwencja procesów i środowiska regulacji prawnych, które zachodzą na rynku. Nikt specjalnie z samego faktu podwyżek nie jest zadowolony. Jako PZU szukamy oszczędności i obniżamy swoje koszty. Na funkcjonowanie firmy już wydajemy o prawie 100 mln zł mniej, a chcemy zaoszczędzić kolejne 300 mln zł. Dzięki temu koszty funkcjonowania spółki w jak najmniejszym stopniu przekładają się na ceny. Chcę podkreślić, że w przypadku OC PZU zachował się odpowiedzialnie. I są efekty. Mamy ponad pół miliona więcej klientów, bo nie podwyższyliśmy składek tak mocno jak konkurencja.

W jakim stanie jest obecnie rynek finansowy w Polsce? I jakie zmiany możemy obserwować przez najbliższe miesiące, od kiedy mamy więcej udziału polskiego kapitału w sektorze bankowym?

Z punktu widzenia klienta jest to konkurencyjny i innowacyjny sektor. Trzeba pracować nad tym, aby był bogaty wybór produktów finansowych. Chcemy zaproponować naszym klientom kompleksową ofertę naszych usług. Ubezpieczenia, usługi bankowe i oszczędnościowe. Myślimy też nad tym, w jaki sposób możemy wyjść naprzeciw potrzebom klientów, którzy czuli, że są niedostatecznie zaspokajani przez banki i instytucje finansowe. Większy udział polskiego kapitału będzie powodował dodatkowy wzrost innowacyjności, wzrost znaczenia nowych technologii i digitalizacji w usługach bankowych. Fakty są takie, że to banki z kapitałem i centrum operacyjnym w Warszawie są najbardziej innowacyjne.

A jak będzie wyglądała konkurencja dwóch państwowych banków, Banku Pekao SA i PKO BP?

Duże banki ze sobą czasami współpracują, a czasami konkurują. Oczywiście w granicach prawa. Kiedy pracowałem w Bank of America, z JP Morgan, drugim największym bankiem w Ameryce, czasem współpracowaliśmy, a czasem się ścigaliśmy. Nie przewiduję w tym przypadku większych problemów. Te banki są trochę inne. PKO BP jest bardziej bankiem detalicznym, a Pekao SA – bankiem korporacyjnym. Paweł Surówka, prezes

PZU Życie, współpracował wcześniej z prezesem Zbigniewem Jagiełłą. Jest więcej takich nazwisk. Powoduje to, że relacje osobiste są bardzo dobre.

Czy polskie banki, instytucje finansowe, ale także firmy mają szansę podbić także inne światowe rynki? Są takie ambicje?

Łatwiej pomagać polskim firmom w ekspansji zagranicznej, jeżeli na rynku są duże polskie banki. Już robi to PKO BP, być może zarząd Pekao SA też będzie o tym myślał. Nie podlega dyskusji to, że trzeba mocniej angażować się poza Polską i wspierać działania naszych firm. To zresztą na świecie norma. Obserwowałem, jak banki amerykańskie czy chińskie w dużej mierze podążają za swoim klientem. I na tym polega ich sukces. Jeśli jest się firmą amerykańską, swój bank można znaleźć w większości krajów świata. Jestem głęboko przekonany, że takie transakcje jak przejęcie Pekao SA pomogą nam we wspieraniu ekspansji zagranicznej polskich firm. To jest dla mnie oczywiste.

A nasza dyplomacja gospodarcza? Czy politycy powinni robić więcej dla przyciągania inwestorów do kraju?

Dyplomacją gospodarczą zajmuje się nie tylko minister spraw zagranicznych. Każdy w pewnym stopniu jest ambasadorem swojego kraju. W szczególności wysocy urzędnicy państwowi. PZU także może być wizytówką polskiej gospodarki, dlatego mocno angażujemy się na forum zagranicznym. Wkrótce lecę do Davos, gdzie mam kilkadziesiąt spotkań z przedstawicielami różnych instytucji, firm, banków, mediów. To spotkania, które służą nie tylko firmie, lecz także wizerunkowi polskiej gospodarki za granicą. Kapitał i możliwości inwestowania tych największych graczy są szerokie, więc trzeba cały czas przekonywać ich o możliwości współpracy z nami.

PZU wejdzie w najbliższym czasie na inny rynek?

Wielu ubezpieczycieli tworzy produkty internetowe. To nowy trend, któremu przyglądamy się z uwagą. Mamy swój fundusz Witelo, który poprzez fundusze venture capital wspiera inwestycje w wiele nowinek na rynku. Chcemy nadać za światem. Powstają np. bardzo ciekawe produkty on-line. O takich właśnie innowacyjnych rozwiązaniach aktualnie myślimy.

Miedzy innymi wzrost cen OC. Dlaczego PZU nie może ich nieco zmniejszyć?

Wobec wszystkich czynników niezależnych od ubezpieczycieli PZU podniósł ceny najmniej na rynku. Dlatego w drugiej połowie ubiegłego roku ok. 500 tys. nowych klientów zdecydowało się odejść od konkurencji i skorzystać z naszej oferty. Nie mamy jednak jako PZU takiej mocy, aby powstrzymać wzrost cen. Musimy kierować się wytycznymi Komisji Nadzoru Finansowego, które powodują, że jako rynek wypłacamy klientom coraz wyższe odszkodowania. To także kwestia kosztów kancelarii odszkodowawczych i zadośćuczynień. Jednakże KNF każe firmom ubezpieczeniowym w każdej linii biznesowej być dochodowymi. Nieste-



Stefan Sękowski

Chociaż tyle ich dzieli, to Rafał Łętocha i o. Maciej Zięba, uzupełniając się w swoich książkach, tłumaczą, co właściwie Kościół mówi o współczesnej gospodarce

Kiedys pewien złośliwiec powiedział, że nieprzypadkowo katolicka nauka społeczna (KNS) ukształtowała się po upadku państwa kościelnego.

Papież Leon XIII był co prawda jeszcze „więźniem Watykanu”, jednak zwolnionym od kierowania poważnym państwem. W związku z tym mógł napisać encyklikę „Rerum novarum”, nie zważając na jej społeczno-ustrojowe konsekwencje.

Szpila niesprawiedliwie zostaje wbita w biednego „papieża robotników”, który był w swych wywodach bardzo ostrożny. Mocniej uderza w jego następców, choćby Franciszka z jego kwiecistymi wypowiedziami na temat sprawiedliwości społecznej. Także inni miewali często oryginalne pomysły: stworzenia czegoś na kształt „trzeciej drogi” między kapitalizmem a socjalizmem, odkurzenia średniowiecznego korporacjonizmu i ustanowienia globalnego rządu, który sprawiedliwie rozdzieli dochód między narody.

Papież z zadziwiającą pewnością głoszą poglądy, co do których światowej sławy eksperci nie są ze sobą zgodni, albo gdy niuansują do tego stopnia, że właściwie nie wiadomo, jakie jest ich ostateczne stanowisko w danej sprawie. Stąd przydają się przewodnicy. Dobrze się składa, że pod koniec 2016 r. ukazały się dwie książki przystępnie prezentujące te zagadnienia – „Ekonomia współdziałania. Katolicka nauka społeczna wobec wyzwań globalnego kapitalizmu” Rafała Łętochy oraz „Papieska ekonomia. Kościół, rynek, demokracja” o. Macieja Zięby OP.

KOŚCIÓŁ ZA KAPITALIZMEM...

Ojciec Zięba to człowiek instytucja. Sympatyzujący z gospodarczym liberalizmem jest pokornym, ale zarazem surowym recenzentem kolejnych papieskich dokumentów. W swojej książce serwuje nam spójną pigułkę na ich temat – od końca XIX w. aż do pontyfikatu Franciszka. Dominikanin nie pozostawia wątpliwości: nie ma mowy o równej odległości między



Benedykt XVI w encyklice wydanej po kryzysie finansowym w USA skrytykował spekulacyjną działalność instytucji finansowych. FOT. POOL/GETTY IMAGES

Aniołowie i liczykrupy

Kościółem a z jednej strony kapitalizmem, z drugiej zaś socjalizmem. Już Leon XIII uważał realny kapitalizm za system zasadniczo słuszny, choć wymagający korekt, w przeciwieństwie do „socjalizmu, który jest zły w swej istocie”. Chęć osiągnięcia zysku uznaje za coś naturalnego i widzi, że ludzie pracują po to, aby posiadać coś na własność – czemu sprzeciwia się socjalistyczny postulat likwidacji własności prywatnej. Chociaż z biegiem czasu pochwała własności prywatnej pojawia się w nauce Kościoła coraz rzadziej (by u Jana Pawła II wybuchnąć na nowo), nie oznacza to, że zostaje zarzucona całkowicie.

W centrum myślenia Kościoła o sprawach społeczno-gospodarczych nie leży jednak własność prywatna, ale praca. Nie bez przyczyny podtytuł pierwszej encykliki społecznej brzmi: „O kwestii robotniczej”. Człowiek jest powołany do pracy – co wynika nie tylko z konieczności zdobywania chleba w pocie czoła za karę za grzech pierworodny. To także możliwość uczestnictwa w Bożym dziele

stworzenia. Bóg daje człowiekowi wzór do naśladowania w postaci Świętej Rodziny, która – jak zauważyła założycielka ruchu Focolari Chiara Lubich – składała się z trzech pracujących osób. Dlatego też praca wymaga sprawiedliwego i godnego wynagrodzenia ustalonego w wyniku wolnej umowy, które bierze pod uwagę zarówno wkład pracownika w owoce wspólnej pracy, jak i to, że ma on na utrzymaniu rodzinę. Ma to znaczenie nie tylko z punktu widzenia sprawiedliwości, lecz także chroni robotników przed utratą wiary oraz wpływami zgubnych ideologii. To samo zresztą dotyczy się przedsiębiorczości – oparta na wolnej inicjatywie pozwala twórczo wykorzystywać nasze talenty i dostępne nam dobra oraz przejmować odpowiedzialność za środki produkcji, co prowadzi do rozwoju społeczno-gospodarczego.

... ALE BEZ WYPACZEŃ

Nie oznacza to jednak, że papież są nadwornymi kaznodziejami fabrykantów

i finansistów, chrzcząc ich chęć osiągnięcia zysku. Podkreślając zasadnicze dobro, jakie płynie z systemu opartego na wolnej przedsiębiorczości i grze rynkowej, atakują jego wypaczenia. Leon XIII krytykował ciężką pracę dzieci, w wydanej tuż po kryzysie finansowym w USA encyklice „*Caritas in veritate*” Benedykt XVI chlostał spekulacyjną i oderwaną od realnej gospodarki działalność instytucji finansowych, papież Franciszek zaś w „*Laudato si*” ganił brak troski o środowisko naturalne. Te wszystkie problemy biorą się z pomieszania hierarchii wartości. Katolicka nauka społeczna to nie jedna ze szkół ekonomicznych, ale część teologii. A ta mówi, że gdy Bóg jest na pierwszym miejscu, to wszystko jest na swoim miejscu. Wtedy człowiek jest koroną stworzenia. Każda osoba ludzka ma przyrodzoną godność. Gdy się o tym zapomina, pojawiają się wynaturzenia w postaci wyzysku, konsumpcjonizmu czyniącego z maksymalizacji doznań cel naszego życia i eksploatacji naszego otoczenia naturalnego bez umiaru. To wszystko nie jest też jakimś nowoczesnym wymysłem, ale nauką zakorzenioną w Piśmie Świętym i wielowiekowej tradycji Kościoła.

Trudno temu nie przyklasnąć dopóty, dopóki nie dojdziemy do odpowiedzi na leninowskie pytanie: „Co robić?”. Kardynał Reinhard Marx pisze co prawda w swoim „*Kapitale*”, że katolicka nauka społeczna nie proponuje „żadnej receptury w rodzaju kompletnego przepisu kulinarnego, lecz mówi, co powinna zawierać dobre zrobiona zupa, żeby smakowała”, lecz nie zmienia to faktu, że kolejni papieże zabierają się do gotowania. Można poczuć się zakłopotanym, gdy z jednej strony Paweł VI w „*Populorum progressio*” chwali centralne planowanie, a 24 lata później Jan Paweł II je zdecydowanie krytykuje lub gdy Benedykt XVI – a za nim Franciszek – optuje za „prawdziwą światową władzą polityczną”. Jednocześnie po licznych encyklikach rozsiane są zapewnienia, że Kościół nie uzurpuje sobie prawa do pisanie programów polityczno-gospodarczych. W takim razie, Wasze Świątobliwości, po co zwracacie nam głowy?

Zdaniem o. Zięby to „jedno z podstawowych, bo strukturalnych wyzwań, z którym myśl społeczna Kościoła będzie musiała uporać się w naszym stuleciu”. KNS pełni bowiem dwie funkcje: pastoralno-profetyczną, która dąży do wewnętrznego nawrócenia czytelnika, oraz teologiczno-realistyczną, która ma go ukierunkować na konkretne działania. Niestety, pierwsza

postawa bardzo często przeważa, a grozi jej – jak pisze dominikanin – „sprzyjające marzycielstwu o idealnym świecie oderwane od życia piękno- i pustostowie”. A to stawia często przed wiernymi ogólnikowe i moralizujące wymagania. Dlatego autor „*Papieskiej ekonomii*” pochwała metodę Jana Pawła II, który najpierw przedkłada zakorzenione w teologii uniwersalne zasady, jakie powinny funkcjonować, następnie zastanawia się – korzystając także z zupełnie „świeckich” nauk pomocniczych – dlaczego te zasady nie są przestrzegane, by pod koniec zaproponować rozwiązanie.

To jednak pozwala nam zarysować jedynie granice, w których ramach funkcjonuje sprawiedliwy system gospodarczy. Państwo ma pozostawić przedsiębiorcom duże pole manewru, jednocześnie będąc arbitrem w ich sporach z pracownikami, a także, gdy trzeba, iść ludziom z pomocą. Trzeba przyznać, że to dość ogólnikowy opis, w którym mogą mieścić się zarówno liberałowie, jak i socjaldemokraci. Obok o. Zięby także Rafał Łętocha, który w swojej „*Ekonomii współdziałania*” odczytuje katolicką naukę społeczną z pozycji, jaka w Polsce jest raczej niemożliwa. Wielu autorów zajmujących się tematyką styku katolicyzmu i ekonomii co najmniej sympatyzuje z gospodarczym liberalizmem, tymczasem on sugeruje, że to raczej narastający brak państwowej ingerencji jest grzechem wołającym o pomoc do nieba.

Religioznawca apeluje o powrót państwa. Przestaje ono regulować rynki finansowe, co prowadzi do chaosu i kryzysów. Nie redystrybuuje dochodów, przez co narastają nierówności społeczne. Nie traktuje już jako punktu odniesienia losu swych obywateli, ale sukces biznesowy wielkich korporacji, traktowanych wręcz osobowo (co wcale nie musi pokrywać się z dobrobytem osób w nie zaangażowanych). „Logika kapitalistyczna nie zapobiega wykluczeniom całych grup społecznych, spychaniu na margines życia coraz większej liczby osób” – pisze krakowski naukowiec.

EKONOMIA MIŁOŚCI

Tam, gdzie duchowny widzi głównie zagrożenia płynące z socjalizmu i etatyzmu, politolog przestrzega przede wszystkim przed ubóstwieniem niewidzialnej ręki rynku. Obaj na pewno nie zgadzają się ze sobą, jeśli chodzi o ocenę wielu konkretnych rozwiązań problemów. Jednak obaj posługują się tą samą logiką, co widać, gdy Łętocha pisze, że „aby zapobiec całkowitej erozji społeczeństwa, nieodwracalnym

pęknięciom, powiększaniu się przepaści między narodami, konfliktom i antagonizmom, konieczne byłoby jednak uzupełnienie [logiki rynku] o bezinteresowność i logikę daru”. Najbardziej inspirującym wnioskiem, jaki podsuwa nam Kościół, jest bowiem ten, że oprócz produkcji i zysku jest jeszcze miłość, o czym zapominają ci, którzy patrzą jedynie na wskaźniki – bez względu na to, czy mówimy o liberałach, czy socjalistach. Rynek i państwo nie wystarczą, stawianie tylko na nie „niszczy współzycie społeczne, natomiast solidarne formy ekonomii, najlepiej prosperujące w społeczeństwie obywatelskim, choć się do niego nie sprowadzają, tworzą współzycie społeczne” – cytuje Benedykta XVI Łętocha. Wielką zaletą „*Ekonomii współdziałania*” są przykłady realizacji tego zalecenia. To np. spółdzielnie, które „w założeniu nie mają kierować się tylko mnożeniem i maksymalizowaniem zysku, ale przede wszystkim zaspokajaniem potrzeb swych członków”. I choć lata komunizmu skutecznie nam je obrzydziły, to istnieje wiele przykładów dobrych tego typu praktyk. Liczni pionierzy spółdzielczości byli katolikami, by wspomnieć Franciszka Stefczyka i ks. Piotra Wawrzyniaka, poza naszymi granicami księża założyli kanadyjski Antigonish Movement i hiszpańskiego giganta Mondragon (Łętocha uczciwie nie zapomina wspomnieć także o związanych z tą instytucją kontrowersjach). To wreszcie koncepcja ekonomii komunii, stworzona przez wspomniany już ruch Focolari, grupująca dziś setki firm na całym świecie (także w Polsce), które „po zapewnieniu sprawiedliwej zapłaty dla siebie samych i pracowników oraz po zabezpieczeniu funduszy potrzebnych do dalszego funkcjonowania i rozwoju przedsiębiorstwa, zamiast gromadzić swoje zyski, oddają je do wspólnoty. Uzyskane w ten sposób fundusze dzielone są w pewnej części na potrzeby ludzi ubogich i w pewnej części na cele formacji »nowych ludzi«. Tu nikt nie ogląda się na widzialną rękę państwa, a jednocześnie wykorzystuje się mechanizmy rynkowe do zwalczania nierówności.

Kościół mówi o sprawach społecznych trudną mową i trudno się go słucha. Mimo to warto, bo nawet jeśli papieże czasami odlatują w abstrakcję, to jednak potrafią być bardzo inspirujący w swoich próbach, by liczykrupów w aniołów przerobić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”.



Jacek Przybylski

Polacy uwielbiają płatności bezgotówkowe i transakcje mobilne. Liczba kart płatniczych bije w naszym kraju kolejne rekordy. Klienci mogą zaś łatwo korzystać z płatności zbliżeniowych, kodów BLIK, wirtualnych portfeli, a także przelewów na e-mail, telefon lub na konto na portalu społecznościowym

Rynek kart płatniczych – umożliwiających dokonywanie płatności bez gotówki – rozwija się w Polsce od ponad ćwierć wieku. Według informacji o kartach płatniczych za IV kwartał 2005 r. Narodowego Banku Polskiego pod koniec 2005 r. Polacy mieli w portfelach 20,4 mln kart płatniczych (w tym 15,6 mln debetowych i 4,2 mln kredytowych), w 2010 r. liczba „plastików” zwiększyła się do 32 mln. Z najnowszych, grudniowych danych wynika zaś, że pod koniec III kwartału 2016 r. mieliśmy nad Wisłą aż 36,29 mln kart płatniczych. To absolutny rekord w historii naszego kraju (rok wcześniej było nieco ponad 34,7 mln kart). W porównaniu z wrześniem 2015 r. liczba kart wzrosła o 1,59 mln sztuk.

Za zakupy możemy już nie tylko zapłacić za pomocą „plastiku”, lecz także przy użyciu wyłącznie smartfona. Płatności mobilne pozwalają też błyskawicznie i łatwo opłacić parkometr, zapłacić za taksówkę, a także kupić bilety kolejowe czy autobusowe.

Łączna wartość transakcji (bezugotówkowych i gotówkowych) zawartych za pomocą kart płatniczych od początku czerwca do końca sierpnia 2016 r. przekroczyła 151 mld zł (w trzecim kwartale 2015 r. przeprowadzono transakcje na łączną kwotę 133,6 mld zł).

NAJWIĘCEJ DEBETOWYCH

W świecie „plastikowych pieniędzy” tradycyjnie dominują w Polsce karty debetowe (we wrześniu było ich już 27,9 mln, rok wcześniej – 26,5 mln). Produkt ten – obok rachunku osobiste-



Świat bezgotówkowy

go – od lat jest jednym z podstawowych produktów bankowych. Karta debetowa jest bowiem powiązana bezpośrednio z naszym kontem i umożliwia dokonywanie zakupów czy wypłaty gotówki tylko do wysokości środków na rachunku. Innymi słowy: możemy wydać tylko tyle „plastikowych pieniędzy”, ile realnie mamy ich na swoim koncie.

Większość banków kartą debetową wydaje do każdego nowego rachunku.

Podobnie jak karty debetowe działają karty przedpłacone (tzw. prepaid) – w tym przypadku często nie trzeba mieć nawet konta osobistego w danym banku. Wystarczy podpisać

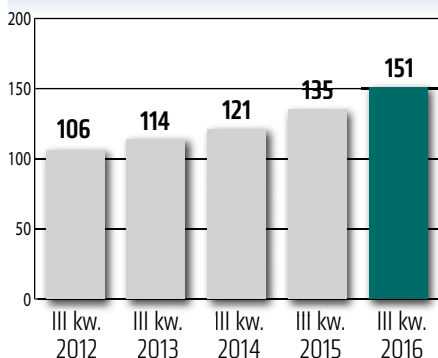
umowę i wpłacić pieniądze na specjalne subkonto, czyli rachunek techniczny. Można to zrobić np. przelewem lub wpłacając gotówkę w bankomacie. Kart przedpłaconych również przybywa (we wrześniu 2016 r. było ich 2,28 mln, w czerwcu – 2,14 mln, a we wrześniu 2015 r. – 2,09 mln).

Kartami debetowymi i przedpłaconymi możemy bezgotówkowo płacić za zakupy (w zależności od rodzaju karty możemy ich użyć również do płatności w Internecie) lub wykorzystywać je do wypłaty pieniędzy w bankomacie. Kartę przedpłaconą można też np. przekazać nastolatкови zamiast kieszonkowego w gotówce, bez ryzyka,

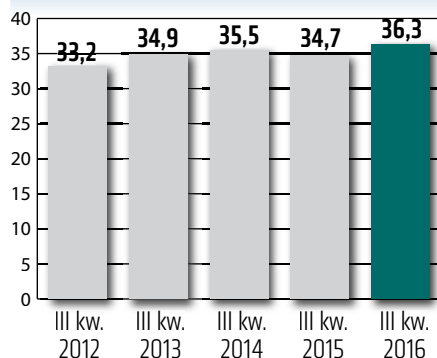


FOT. SHUTTERSTOCK

że dziecko wyda wszystkie pieniądze z konta. „Plastikowy pieniądz” nie tylko zwiększa zaś bezpieczeństwo, lecz także umożliwia kontrolę wydatków. Taką kartę można również wręczyć jako prezent. Niektóre instytucje finansowe w Polsce oferują też wirtualne karty przedpłacone (zwane też kartami internetowymi), które nie mają fizycznej, plastikowej formy i służą wyłącznie do przeprowadzania transakcji internetowych i telefonicznych. Rachunki tych kart można zasilić tuż przed transakcją, a po transakcji nadwyżkę przelać na inny rachunek. Dzięki temu nawet jeśli haker poznałby nasz numer karty, to i tak nie mógłby nic ukraść.

Wartość transakcji
(mld zł)

Źródło: NBP, oprac. jap

Liczba wyemitowanych kart
(mln sztuk)

Źródło: NBP, oprac. jap

Opłata za użytkowanie kart debetowych i przedpłaconych różni się w zależności od banku. W wielu instytucjach można znaleźć ofertę całkowitego zwolnienia z opłat pod warunkiem dokonania odpowiedniej liczby transakcji (np. co najmniej jednej w miesiącu) lub dokonania transakcji o określonej wartości.

Mimo istotnego spadku liczby kart kredytowych (od grudnia 2009 r. do września 2015 r. zmniejszyła się ona o 5 mln sztuk), jest to nadal często używany nad Wisłą instrument płatniczy (według NBP we wrześniu 2016 r. takich kart było 5,861 mln, w czerwcu – 5,836, a we wrześniu 2015 r. – 5,863 mln). Płacąc kartą kredytową za zakupy w sklepach, w Internecie czy drogą telefoniczną, wydajemy pieniądze nie swoje, ale banku. Jest to więc popularna wśród Polaków forma łatwego uzyskania dodatkowego finansowania zakupów. Zwłaszcza że okres bezodsetkowy – wynoszący od 51 do 61 dni – pozwala korzystać z pieniędzy banku zupełnie bezpłatnie. Trzeba jednak pamiętać, że jest to produkt opłacalny tylko dla zdyscyplinowanych klientów, którzy w terminie spłacają całość zadłużenia. Brak kontroli nad wydatkami i terminową spłatą kredytu wiąże się bowiem z wysokimi kosztami.

Spłata w terminie jedynie części zadłużenia – choć całkowicie przez banki dopuszczalna – oznacza bowiem uruchomienie drogiego kredytu. Warto także wiedzieć, że kartą kredytową „za darmo” wydajemy pieniądze banku w przypadku transakcji bezgotówkowych. Wypłata gotówki w bankomacie w tym przypadku najczęściej wiąże się

z prowizją, a także z natychmiastowym uruchomieniem kredytu (bez okresu bezodsetkowego).

Tradycyjnie najmniej liczną kategorią na polskim rynku są karty obciążeniowe (charge). Według NBP we wrześniu 2016 r. było ich 258 tys., a rok wcześniej – 262 tys. Są one powiązane z rachunkiem osobistym lub firmowym. Ich charakterystyczną cechą jest odroczony termin płatności (podczas okresu bezodsetkowego banki nie naliczają odsetek od transakcji bezgotówkowych).

Główna różnica między kartami obciążeniowymi a kredytowymi polega na tym, że posiadacz karty typu charge nie może spłacić w terminie tylko części zadłużenia, ale musi dokonać spłaty całości kartanego długu.

BEZPIECZEŃSTWO I RABATY

Bankierzy promują karty, ponieważ część kwoty każdej wykonanej przez nas transakcji trafia z powrotem do banku. Określone typy kart płatniczych dają więc np. rabaty w określonych sklepach czy punktach usługowych (zwykle wynoszą one od 5 do 30 proc.). Część kart związanych jest też z różnego rodzaju programami lojalnościowymi – im więcej płacimy kartą za zakupy, tym więcej zdobywamy punktów, które można potem wymienić na nagrody.

Z punktu widzenia klientów karty płatnicze są również bezpieczniejsze niż gotówka. Aby za ich pomocą zapłacić za zakupy, trzeba znać czterocyfrowy kod PIN. Wyjątkiem są tzw. karty zbliżeniowe. Używając ich do przeprowadzania transakcji o wartości do 50 zł, nie trzeba podawać numeru PIN.

Możliwość błyskawicznego dokonania drobnych transakcji jest bardzo wygodna. Z roku na rok płatności zbliżeniowe stają się zatem w Polsce coraz popularniejsze. Z najnowszych danych NBP wynika, że już ponad 28,1 mln kart jest wyposażonych w funkcję zbliżeniową (stanowią one 77,5 proc. wszystkich „plastików” na polskim rynku).

Banki oferują również specjalne naklejki (można je umieścić np. na obudowie telefonu lub dowolnym innym przedmiocie, który często mamy przy sobie), breloki, bransoletki i zegarki, za pomocą których można dokonywać płatności zbliżeniowych. Dzięki temu, zwłaszcza w większych miastach, portfel staje się zbędny.

Trzeba jednak pamiętać, że w przypadku utraty karty zbliżeniowej lub jej odpowiednika w formie gadżetu możemy liczyć się ze stratą do równowartości 50 euro, gdy ktoś nieuprawniony skorzysta z naszej karty. Dlatego też, gdy stwierdzimy utratę karty, należy ją jak najszybciej zastrzec.

Warto zatem samemu zdecydować, czy chcemy mieć w portfelu kartę zbliżeniową (w wielu bankach funkcję zbliżeniową można włączyć lub wyłączyć telefonicznie albo przez Internet).

SMARTFON ZAMIAST PLASTIKU

Jeszcze wygodniejsze i łatwe w przeprowadzaniu są transakcje mobilne. Aby móc pozbyć się nie tylko gotówki, lecz także plastikowych kart, i móc płacić telefonem, należy najpierw zainstalować aplikację danego banku i włączyć w smartfonie funkcję NFC (wówczas niczym kartę zbliżeniową do czytnika przykładamy po prostu nasz telefon).

W dziedzinie technologii finansowych, które znacząco zmieniają rynek światowych usług finansowych, Polska nie tylko nie zostaje w tyle za Zachodem, lecz także należy do liderów, którzy wyznaczają nowe trendy.

Dostępne w naszym kraju aplikacje bankowe pozwalają już więc np. płacić poprzez zaprezentowanie sprzedawcy wyświetlonego na ekranie smartfona kodu QR albo poprzez wpisanie w terminalu sześciocyfrowego kodu wygenerowanego przez komputer (tak działa coraz bardziej popularny system płatności mobilnych BLIK). Za pomocą BLIK-a można też płacić za zakupy w Internecie.

Kod BLIK pozwala także wypłacić pieniądze w bankomacie. To niezwykle wygodne, gdy zapomnieliśmy karty płatniczej lub np. gdy idziemy pobić i celowo zabieramy ze sobą wyłącznie telefon.

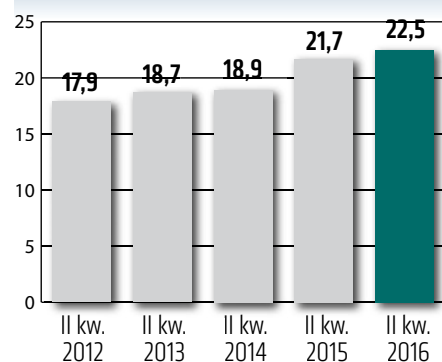
Od listopada 2016 r. posiadacze smartfonów mogą też korzystać w Polsce z usługi Android Pay. Nasz kraj jest drugim państwem w Europie – po Wielkiej Brytanii – w którym firma Google zdecydowała się wprowadzić swój system płatności mobilnych. Na świecie za pomocą Android Pay płacić można jeszcze w Stanach Zjednoczonych, Australii, Singapurze oraz w Hongkongu. Google wybrał Polskę, ponieważ klientom nad Wisłą rezygnację z gotówki ułatwiają terminale POS, których liczba wynosi już ok. 500 tys. (zdecydowana większość z nich jest zaś przystosowana do obsługi kart zbliżeniowych).

Zasada płatności jest tu bardzo podobna jak w przypadku plastikowych kart zbliżeniowych. Do płacenia za zakupy wystarcza sam telefon z funkcją NFC i systemem Android (w wersji 4.4 lub nowszej). Aby móc płacić za pomocą Android Pay, najpierw w specjalnej aplikacji trzeba dodać kartę kredytową lub/i debetową. Obsługiwane są zarówno karty wydane przez VISA, jak i przez MasterCard. Gdy to zrobimy, przy kasie wystarczy już tylko „wybudzić” telefon i zbliżyć go do terminala płatniczego. Jeśli transakcja ma wartość wyższą niż 50 zł, to podobnie jak w przypadku plastikowej karty zbliżeniowej sprzedawca poprosi o wpisanie kodu PIN. Nie ma potrzeby otwierania aplikacji ani wpisywania jakichkolwiek dodatkowych kodów. Zaletą tej usługi jest to, że w wirtualnym portfelu można przechowywać wiele kart z różnych banków (obecnie w Polsce z usługi Android Pay korzystać mogą klienci trzech banków, ale wkrótce to grono ma się powiększyć).

Bezpieczeństwo płacenia smartfonem zwiększa to, że każda transakcja realizowana jest za pomocą numeru wirtualnego konta – sprzedawca nie ma więc dostępu do prawdziwego numeru naszej karty. Poza tym funkcję NFC w telefonie możemy włączyć tuż przed transakcją i wyłączyć zaraz po niej, co dodatkowo zmniejsza ryzyko, że ktoś niepowołany posłuży się naszymi pieniędzmi. Google pracuje także nad możliwością autoryzacji płatności



Liczba bankomatów
(tys. sztuk)



Źródło: NBP, oprac. jdp

np. za pomocą odcisku palca. Usługę płatności mobilnych opracował również główny konkurent firmy Google. Apple nie współpracuje jednak jeszcze z polskimi bankami. Na razie w Europie usługa Apple Pay jest zatem dostępna dla klientów z Francji, Hiszpanii, Rosji, ze Szwajcarii i z Wielkiej Brytanii. Gigant z Cupertino deklaruje jednak,



swoje karty płatnicze. Podczas zakupów w Internecie nie trzeba już sięgać po kartę. Wystarczy z dowolnego urządzenia – komputera, smartfona lub tabletu – zalogować się do wirtualnego portfela i wybrać kartę, z której chcemy skorzystać. Zastosowanie tego rozwiązania może zwiększyć bezpieczeństwo internetowych zakupów, ponieważ podczas autoryzacji transakcji nie trzeba podawać kodów CVV/CVC, lecz jedynie PIN. Taka usługa najczęściej jest bezpłatna. A za korzystanie z tej formy płatności niektóre sklepy co jakiś czas oferują znaczące rabaty (np. 40 proc. na zakup perfum lub do 250 zł na zakup sprzętu elektronicznego).

Serwisów oferujących elektroniczne portmonetki jest oczywiście więcej. Pozwalają one na dodanie karty kredytowej lub debetowej, a także zasilenie konta pieniędzmi z rachunku bankowego. Samą płatność da się zaś wykonać za pomocą zaledwie kilku kliknięć. Za pośrednictwem wielu z nich można m.in. wykonać błyskawiczne przelewy pieniężne. Nie trzeba znać numeru rachunku odbiorcy, wystarczy, że znamy jego adres e-mail. Najczęściej klienci nie ponoszą żadnych opłat za rejestrowanie ani użytkowanie konta.

Rozwój instrumentów mobilnych w handlu daje też możliwość dokonywania szybkich płatności on-line osobom, które nie mają kart płatniczych lub nie chcą ich używać w Internecie. Dzięki przelewom bezpośrednim typu PayByLink wystarczy, że wybierając na stronie sklepu lub usługodawcy formę płatności, skorzystamy z usług pośrednika i klikniemy na ikonę naszego banku. Dzięki integracji procesu płatności z systemami różnych banków dane przelewu wypełniane są automatycznie, co niweluje ryzyko pomyłki i sprawia, że tego typu płatność można przeprowadzić w ciągu kilkunastu sekund.

Niezależnie od tego, czy w Internecie płacimy kartami płatniczymi, czy korzystamy z innych instrumentów, warto pamiętać o tym, aby płacąc, korzystać wyłącznie ze swojego komputera, smartfona lub tabletu, o zabezpieczeniu swoich urządzeń programami antywirusowymi, a także o sprawdzeniu wiarygodności sprzedawcy przed złożeniem zamówienia. Przy dokonywaniu płatności kartami lub za pośred-

nictwem e-przelewów warto też zwracać uwagę na ewentualne prowizje za transakcję. W niektórych przypadkach opłaty manipulacyjne są tak wysokie, że skłaniają do rezygnacji z e-zakupów i udania się z gotówką do stacjonarnego oddziału sklepu. Na szczęście są to jednak rzadkie przypadki.

PRZELEWY NA E-MAIL I TELEFON KOMÓRKOWY

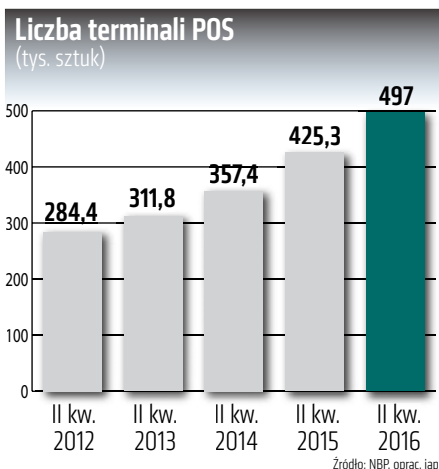
Mobilne instrumenty płatnicze nie tylko zmieniają handel i usługi, lecz także ułatwiają płatności osobiste. Pieniądże można wysłać już nie tylko przelewem bankowym. Aby w ciągu kilku sekund rozliczyć się za kawę z kolegami w pracy, dać pieniądze przyjaciółce lub odebrać prezent urodzinowy od hojnej matki chrzestnej, można użyć np. wirtualnego portfela.

Przelewy na e-mail lub telefon komórkowy ma w swojej ofercie już kilka działających w Polsce banków. Dzięki temu możemy wysłać przelewy nawet, jeśli nie znamy numeru konta bankowego np. znajomych, z którymi chcemy podzielić rachunek za kolację w restauracji.

Jeśli odbiorca ma zapisany numer w usłudze BLIK, to pieniądze na jego koncie pojawiają się praktycznie natychmiast. Jeśli nie ma zapisanego numeru telefonu w BLIK-u, to otrzyma od banku SMS z prośbą o podanie numeru konta lub z informacją, skąd może ściągnąć odpowiednią aplikację, po której aktywowaniu środki pojawią się na jego koncie. Jeżeli zdarzy się tak, że odbiorca nie otrzyma kwoty przelewu, to pieniądze wrócą na rachunek nadawcy. W większości banków takie przelewy są realizowane bez żadnych opłat. Ograniczeniem są jednak stosunkowo niskie limity dla tego typu transakcji.

Niektóre banki oferują także możliwość wykonania przelewu na konto znajomego z Facebooka. Skorzystanie z tej usługi wymaga jednak połączenia konta bankowego z profilem na portalu społecznościowym, co może jednak budzić pewne obawy, np. dotyczące bezpieczeństwa.

Specjaliści od technologii finansowych ciągle pracują nad nowymi możliwościami, które mogą sprawić, że w ciągu najbliższych lat niemal pożegnamy się z gotówką.



że chce szybko rozszerzać tę sieć m.in. o kolejne europejskie kraje.

ELEKTRONICZNE PORTEFELE

Płatności w Internecie ułatwiają portfele elektroniczne. Oferują je różne firmy, ale zasada ich działania jest bardzo podobna. Użytkownik tylko raz rejestruje w systemie



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Być
jak Czesi

W 2016 r. Czechy zanotowały nadwyżkę budżetową, czyli wydały z państwowej kasy mniej, niż do niej wpłynęło. I to aż o nieco ponad 60 mld koron, czyli niemal 10 mld zł. Dzięki osiągnięciu tego imponującego rezultatu nasz południowy sąsiad dołączył do elitarnego grona tych państw UE, które w trosce o swą przyszłość ostatnio przestały się zadłużać. Jako że nie jest wiedzą tajemną, które europejskie narody traktują swe państwo naprawdę poważnie, ani trochę nie dziwi, że do grona tego należą Niemcy (nadwyżki w latach 2014 i 2015), Estonia (2014 i 2015), Luksemburg (2014 i 2015) oraz Dania (2014); brakuje na razie zestawienia salda budżetów tych państw za rok 2016.

Czeși zamierzają przeznaczyć swą nadwyżkę na zniwelowanie planowanego w 2017 r. deficytu w wysokości 60 mld koron, czyli ponowne zrównoważenie budżetu państwa, albo na zredukowanie swego długu publicznego, który wynosi 34 proc. PKB.

W tym samym czasie, gdy Czeși oszczędzają, Polska zadłuża się na potęgę, i to w sytuacji, gdy nasz dług w 2015 r. znowu przebił niebezpieczną barierę 50 proc. PKB (a pod koniec 2016 r. – prawdopodobnie 52 proc.). Znowu, bo przecież w 2013 r. przekroczył już 57 proc. PKB (i to wyłącznie jawny dług publiczny, albowiem licząc razem z ukrytym, czyli zobowiązania wobec emerytów, zadłużenie Polski wynosiło – i wynosi – grubo ponad 200 proc. PKB!).

I to zagrabienie w 2014 r. 150 mld zł oszczędności przyszłych emerytów z ich kont w OFE, które spowodowało obniżenie poziomu długu w stosunku do PKB o 9 punktów procentowych (do 48 proc. PKB), uchroniło wówczas rząd Tuska przed nadchodzącą, wynikającą z postanowień prawa koniecznością zrównoważenia budżetu Polski.

Niestety, po tamtej, trwającej nieprzerwanie osiem lat, wprost obłąkańczej strategii rządów PO i PSL, które podwoiły dług Polski z 0,5 bln do 1 bln zł (wliczając w to 150 mld zł zagrabione z OFE), rząd PiS też niezbyt się kwapi do wyprowadzenia Polski z samobójczej zadłużeniowej spirali. Z jednej strony bowiem znacznie lepiej od poprzedników radzi sobie z domykaniem luki podatkowej, czyli pozyskiwaniem dla budżetu należnych mu dochodów, a i deficyt budżetowy w 2016 r. był sporo niższy od planowanego, z drugiej jednak nie zrezygnował z realizacji takich, kosztownych dla kasy państwa, obietnic, jak obniżenie wieku emerytalnego.

Licznik długu publicznego – tego jawnego i zarazem tego ukrytego – bije więc nieustannie. Wiele wskazuje na to, że tzw. próg ostrożnościowy, na poziomie 55 proc. PKB, nasz jawny dług publiczny przekroczy w 2018 r., natomiast wskazany w konstytucji – wskazany jako niedopuszczalny – poziom 60 proc. PKB – dwa lub trzy lata później. A więc już w 2020 lub w 2021 r. I co wtedy? Zmienimy konstytucję, by – na własną zgubę – zadłużać się dalej? ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Jak reformować
uczelnie

Od dwóch lat pracuję jako rektor największej uczelni ekonomicznej w Kazachstanie. W tym okresie wdrożyliśmy wiele reform, które pozwoliły nam uzyskać międzynarodową akredytację CEEMAN. Tę akredytację mają w Polsce tylko trzy uczelnie, dwie publiczne i jedna prywatna. Doświadczenie mojej uczelni pokazuje, że reformy w szkolnictwie wyższym mogą być wdrażane szybko i skutecznie. Poniżej przedstawię kilka kluczowych zmian, które pozwoliły na uzyskanie międzynarodowego poziomu kształcenia.

Student jest
klientem i jego
potrzeby są
w centrum uwagi

Odeszliśmy od pisania prac dyplomowych i magisterskich na rzecz grupowych projektów. Formujemy ze studentów grupy projektowe, pozyskujemy problemy i zadania od firm, a wykonanie tych zadań to temat zespołowej pracy dyplomowej lub magisterskiej. Dzięki temu młodzi ludzie nie marnują czasu na odtwórcze pisanie tego, co już wiele razy napisano, ale wykorzystują wiedzę akademicką do rozwiązywania realnych problemów.

Odeszliśmy od tradycyjnej formuły wykładów i ćwiczeń. Zajęcia są prowadzone w formule „odwróconej klasy”. Studenci oglądają wideo z wykładem w domu,

a podczas zajęć w interaktywnej formie omawiają to, co wcześniej obejrżeli lub przeczytali.

Stworzyliśmy profesjonalny departament HR. Każdy pracownik dydaktyczny i administracyjny ma roczne cele, kaskadowane ze strategii uczelni. Decyzje o podwyżce wynagrodzeń zapadają podczas rocznej oceny pracowników przez komisję HR. W ciągu dwóch lat zwolniliśmy ok. 200 osób (20 proc. kadry), które nie spełniały wymogów.

Stworzyliśmy kulturę korporacyjną, w której student jest klientem i jego potrzeby są w centrum uwagi. Kadra zarządzająca (włącznie z rektorami) wizytuje zajęcia i organizuje cotygodniowe obiady ze studentami, żeby pozyskiwać regularną informację zwrotną. Przedstawiciele samorządu studenckiego są członkami wszystkich ważnych komisji uczelnianych z prawem głosu: HR, finansowej, spraw międzynarodowych, jakości kształcenia, IT, stypendialnej i innych. W ten sposób studenci uczestniczą w zarządzaniu uczelnią.

W ramach systemu zarządzania jakością kształcenia prowadzone są coroczne audyty wszystkich programów kształcenia, z pozyskaniem opinii studentów, partnerów biznesowych i z zastosowaniem benchmarkingu do czołowych uczelni na świecie.

W ten sposób stworzyliśmy w Kazachstanie uczelnię wysokiej jakości, uwielbianą przez studentów. ©©

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.

TEST „DO RZECZY”: LG X CAM

Producenti smartfonów coraz częściej oferują nie tylko wymienne moduły fotograficzne lub audio, lecz także produkują telefony ze średniej półki, które mogą pochwalić się niektórymi modułami z dużo droższych modeli.

LG X Cam (czyli inaczej LG K580) może więc np. zainteresować miłośników cyfrowej fotografii. Zamiast wydawać ponad 2 tys. zł na kupno LG G5, już za ok. 1 tys. zł można mieć bowiem smartfona, który podobnie jak drogi flagowiec ma dwa tylne obiektywy. Główny o rozdzielczości 13 megapiksli robi rzeczywiście dobre zdjęcia – wyraźnie lepsze niż wiele modeli proponowanych przez konkurencję z tej półki cenowej. Niestety, jakość fotografii wykonanych za pomocą szerokokątnego obiektywu o rozdzielczości 5 megapiksli jest już wyraźnie gorsza niż we flagowym G5, co widać szczególnie po przeniesieniu zdjęć ze smartfona na komputer lub telewizor. Efekty uzyskane przy dobrym oświetleniu są – jak na tę półkę cenową – wyjątkowo fajne. W gorszych warunkach oświetleniowych zdjęcia zrobione szerokokątnym obiektywem wychodzą już mocno nieostre i z dużą ilością cyfrowego ziarna. Oczywiście miłośnicy selfie znajdą trzeci obiektyw z przodu obudowy o rozdzielczości 8 megapiksli. W tym przypadku jakość też jest przyzwoita. Na



pochwałę zasługują również niezły 5,2-calowy wyświetlacz o rozdzielczości Full HD oraz moduły LTE i NFC.

Niestety, pozostałe podzespoły nie są najlepsze. W LG X Cam znajdziemy jedynie 2 GB pamięci RAM oraz zaledwie 16 GB wbudowanej pamięci, z których dla użytkownika dostępnych jest niecałe 10 GB (na szczęście

pamięć można rozszerzyć za pomocą karty microSD). Sercem smartfona jest zaś ośmiordzeniowy procesor Mediatek MT6753 1,14Ghz, który z pewnością nie należy do najbardziej wydajnych. Do tego głośniczek jest zbyt cichy i z pewnością nie da rady zadowolić potrzeb audiofila. Na słuchawkach dołączonych w zestawie muzyka brzmi już lepiej, choć wciąż niezadowolająco. Szkoda też, że są one wyjątkowo niewygodne w noszeniu.

Na szczęście dość powolny procesor nie przeszkadza aż tak bardzo w codziennym użytkowaniu smartfona. Przycięcia się zdarzają, ale nie są szczególnie uciążliwe. Jeśli ktoś nie jest miłośnikiem wymagających gier i nie musi otwierać jednocześnie wielu zaawansowanych aplikacji, to raczej nie będzie miał powodów do narzekań. Do robienia zdjęć, przeglądania Internetu czy używania telefonu jako mobilnego biura LG CAM nadaje się nieźle. Zwłaszcza że plastikowa obudowa przypomina aluminium, przez co smartfon wygląda naprawdę dobrze. Telefon jest też smukły (ma tylko 6,9 mm grubości) i wyjątkowo lekki (waży zaledwie 118 g). I chociaż nie jest to flagowiec za pół ceny, to jeśli ktoś szuka przyzwoitego smartfona ze średniej półki, to jest on wart uwagi. ©©

Jacek Przybylski

SCHUDNIJ TAK...

Podobno najczęstszym składanym zobowiązaniem noworocznym jest: „Będę się odchudzać”. Że języki dodają też, że równie często kilka dni później dochodzi do niego drugi człon: „Od następnego poniedziałku”. A że średnio w roku występują 52 poniedziałki, możliwości przesuwania w czasie tego zobowiązania są naprawdę spore, co zresztą mogą osobiście zaświadczyć. Natomiast tym, którzy jednak doszli do przekonania, że ten jedyny straszny poniedziałek właśnie nastał, zapewne może pomóc ShapeScale 3D Body Scanner, czyli waga z monitoringiem modelu ciała w 3D. Urządzenie, które zaprezentowano na targach CES 2017, niezwykle kompleksowo bada procent tkanki tłuszczowej, mięśniowej oraz wody, uzupełniając to wysłanym na smartfonową aplikację zobrazowanym modelem 3D naszej sylwetki z zaznaczonym „składem” ciała. Waga zapisuje



obraz sylwetki, a przy kolejnych pomiarach dokonuje zmian w naszym „wizerunku”, co zresztą przydatne może być nie tylko dla odchudzających się, lecz także tych myślących o uformowaniu z masy mięśniowej ciała

kulturyści. Pomiar i obraz wykonywane są dzięki kamerkom ze skanowaniem głębi, wykonującym ponad setkę zdjęć za jednym podejściem. Waga wkrótce trafi do sprzedaży, jej cena jeszcze nie jest znana.

NAJPOJEMNIEJSZY PENDRIVE NA ŚWIECIE

Biorąc pod uwagę, jak łatwo i często pendrive'y porzucają swoich właścicieli w niewyjaśnionych okolicznościach (bo przecież ich nie gubimy, co to, to nie), zastanawiam się, czy nowy produkt firmy Kingston znajdzie nabywców i zastosowanie inne od przemysłowego. Na rynek za chwilę trafi nowy pendrive tej firmy USB Data Traveler Ultimate Generation Terabyte o pojemności aż 2 TB. Całość w metalowej obudowie ze stopu cynku, odpornego na wstrząsy, o wielkości klasycznego pendrive'a. Gadżet nie będzie tani, ale pomyślcie, ile złotych myśli Ryszarda Petru będzie można na nim zachować dla potomnych. Pamięć tego urządzenia pomieści blisko 70 godzin nagrania wideo w technologii 4K. Warto?

Wojciech Wybranowski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

Wygramy ze smogiem?



Katarzyna Pinkosz

W wielu miejscach Polski przez kilka dni poziomy zanieczyszczeń powietrza były przekroczone nawet trzydziestokrotnie. Premier Beata Szydło zapowiedziała walkę o czyste powietrze. Czy uda się je poprawić tak jak w Dublinie?

Chociaż smog w Polsce nie jest niczym nowym, w ostatnich dniach pierwszy raz było o nim aż tak głośno. Do tej pory mało kto zwracał uwagę na alarmy, że spośród 10 najbardziej zanieczyszczonych europejskich miast aż siedem znajduje się w Polsce, a co roku 45 tys. Polaków przedwcześnie umiera z powodu zanieczyszczenia powietrza. To miasto wielkości Kołobrzegu. Skutki wdychania drobnych pyłów kumulują się przez lata, ale mocno zanieczyszczone powietrze może zabić szybko. – W dni, kiedy jest bardzo wysokie stężenie najdrobniejszych pyłów, znacznie więcej jest zawałów serca, udarów mózgu, przyjęć do szpitala. Drobne pyły mogą uszkadzać naczynia krwionośne – mówi dr Piotr Dąbrowiecki, alergolog z Wojskowego Instytutu Medycznego.

Do ubiegłotygodniowego smogu przyczyniły się warunki atmosferyczne. Silne mrozy powodowały, że bardziej odkręcał się kaloryfery, a ci, którzy mają w domu piece, intensywniej w nich palili. Nie było opadów, nie wiał wiatr, więc zanieczyszczenia się kumulowały. W efekcie niemal w całej środkowej i południowej Polsce widać było stalowofioletową mgiełkę. O zagrożeniu smogiem poinformowano mieszkańców Warszawy, Krakowa, Kielc, a w Radomsku, Rybniku, Żywcu,

Zabrzu, Częstochowie, Wodzisławiu Śląskim, Tychach, Katowicach, Gliwicach, Dąbrowie Górniczej, Kędzierzynie-Koźlu przekroczone zostały poziomy alarmowe zanieczyszczeń. Polskie normy są pod tym względem bardzo liberalne – gdyby przyjąć te obowiązujące we Francji, w Niemczech czy w Czechach, to alarm trzeba by ogłosić w większości miast środkowej i południowej Polski.

Urzednicy apelowali, by ograniczyć aktywność na zewnątrz, a najmłodsze dzieci, kobiety w ciąży, osoby starsze i z przewlekłymi chorobami żęby w ogóle nie wychodziły na dwór. Dyrektorów szkół i przedszkoli proszono, by nie organizować zajęć w terenie, a w Rybniku nawet zamknięto szkoły. Nie tylko w Krakowie, lecz także w Katowicach czy Wrocławiu widać było na ulicach osoby w maseczkach. Nawet zdrowi w tych dniach skarżyli się na kaszel, chrypkę, podrażnienie krtani, ucisk w płucach.

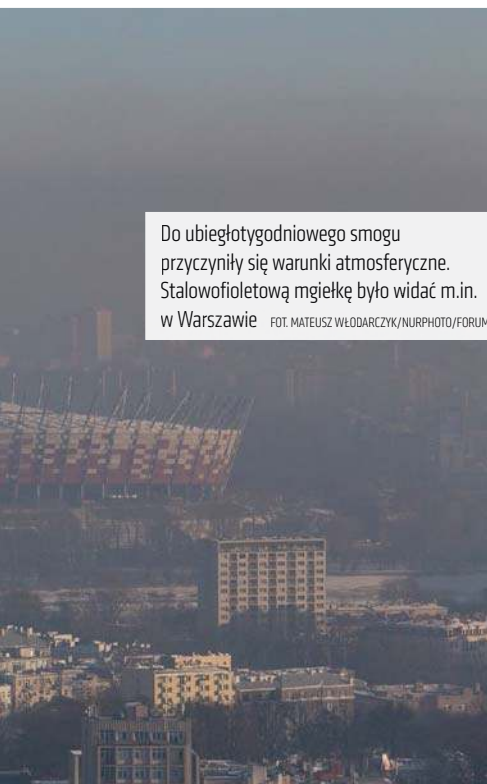
GROŹNE PYŁY

Wbrew wciąż powszechnym opiniom to nie przemysł jest głównym winowajcą zanieczyszczenia powietrza, tylko palenie w domowych piecach i kominkach. – Ponad połowa pyłu zawieszonego pochodzi z gospodarstw domowych, na drugą połowę składają się łącznie przemysł, energetyka, transport, rolnictwo.

Aż 83 proc. rakotwórczego benzo(a)pirenu w Polsce powstaje w paleniskach gospodarstw domowych – mówi Piotr Siergiej z Polskiego Alarmu Smogowego.

To dlatego najbardziej zanieczyszczone są w Polsce małe miasteczka od 10 do 30 tys. mieszkańców, z gęstą zabudową domków jednorodzinnych. W piecach, najczęściej tych najtańszych, zwanych popularnie „śmiecuchami” i „kopciuchami”, pali się wszystkim. Zwykle są to słabej jakości węgiel, odpady węglowe (flotokoncentrat i muły zanieczyszczone m.in. rtęcią i siarką). Nie wolno nimi palić w całej Unii, ale w Polsce wciąż jest to dozwolone. Do pieca wrzuca się też śmieci, gazety (także kolorowe), szmaty, ramy okienne, meble pokryte impregnatami, farbami i lakierami. Spala się wszystko, co daje ciepło, jest tanie lub za darmo, choć wraz z dymem unoszą się nieprzyjemny zapach i chemikalia. – Ponad 30 proc. osób pali w piecach śmieci. Robiły tak zawsze i nie widzą powodu, żeby zmienić zwyczaje – mówi Patryk Białas z Katowickiego Alarmu Smogowego. Najbardziej zdumiewa to, że ponad 20 proc. osób badanych przez Instytut ARC Rynek i Opinia uważa, że spalanie śmieci jest... proekologiczne!

Piec to jednak nie wysypisko. W wyniku spalania tego, czego palić się nie powinno, powstają toksyczne związki.



Do ubiegłotygodniowego smogu przyczyniły się warunki atmosferyczne. Stalowofioletową mgiełkę było widać m.in. w Warszawie FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/NURPHOTO/FORUM

płodowym. Badania przeprowadzone w Krakowie i Łodzi udowodniły, że kobiety, które były narażone na wdychanie zapyłonego powietrza, rodziły dzieci z mniejszą wagą, mniejszym obwodem główki, które potem częściej zapadały na infekcje, alergię i astmę. Wysoki poziom zanieczyszczeń korelował też z cukrzycą, autyzmem i niższym IQ. Prawdopodobnie duża ilość zanieczyszczeń pogarsza przepływ krwi przez łożysko, a tym samym ogranicza dziecku ilość składników odżywczych i tlenu.

CZAS NA ZMIANY

W czasie wielkiego londyńskiego smogu w grudniu 1952 r. w ciągu kilku dni zmarło – jak dziś się szacuje – nawet 12 tys. osób, a 150 tys. trafiło do szpitali, najczęściej z niewydolnością płuc. To był szok, ale władze szybko zareagowały: zakazano palenia węglem. Efekty były: taka sytuacja już się nie powtórzyła. To, że powietrze można poprawić, pokazuje przykład Dublina. Po wielkim smogu z 1982 r. w latach 80. wprowadzono tam zakaz sprzedaży węgla. Dopłacano też do zakupu nowego pieca, a bezrobotni i emeryci dostawali zasiłki oraz dopłaty do ogrzewania gazowego. Po tych zmianach jakość powietrza bardzo się poprawiła.

W Polsce aż na tak radykalne kroki na razie nikt się nie odważył. Samorządy namawiają na wymianę pieców. Najwięcej zrobiono w Krakowie: do stycznia 2019 r. mają z niego zniknąć wszystkie „kopciuchy”. – Efekty już widać: Kraków, który jeszcze 10 lat temu był trzecim miastem w Europie pod względem zanieczyszczenia powietrza, teraz „spadł” na 11. – chwali dr Dąbrowiecki. Do wymiany pieców namawiają m.in. samorządy w Katowicach, Rybniku, Warszawie, Opolu, Oświęcimiu, Legionowie. Zainteresowanie, które jeszcze dwa lata temu nie było duże (nie realizowano nawet zaplanowanych budżetów), teraz znacznie wzrosło. Wiedza na ten temat również.

– Czy Polak ma inne płuca niż Węgier i Czech? – pyta Piotr Sergiej, który chciałby, żeby w Polsce normy alarmowania o smogu były takie jak w innych krajach Unii. Marzy mu się też zakaz sprzedaży złej jakości pieców, palenia odpadami węglowymi i wprowadzenie klas jakości węgla. Smogowy alarm spowodował też obietnice premier Beaty Szydło, że rząd przygotuje pakiet rozwiązań „czyste powietrze”, w którym znajdą się m.in. przepisy dotyczące tego, czym i w czym będzie można palić. Planuje się też więk-

sze dofinansowanie do wymiany pieców i dopłaty do rachunków za bardziej ekologiczne ogrzewanie. Pieniądze mają się znaleźć m.in. z funduszy unijnych.

MASECZKI JAK W PEKINIE

Zanim jednak powietrze w naszych miastach stanie się tak czyste jak w Szwecji, Kanadzie, Finlandii, Islandii czy Dublinie, trzeba samemu chronić się przed pyłami. – Tak, jak sprawdzamy prognozę pogody przed wyjściem z domu, podobnie warto sprawdzać poziom zanieczyszczenia powietrza, np. przez aplikacje mobilne, strony internetowe – zaleca dr Badyda. W ostatnich dniach gwałtownie wzrosło zainteresowanie tego typu aplikacjami: Jakość powietrza w Polsce (Głównego Inspektora Ochrony Środowiska), Zanieczyszczenie powietrza, Kanarek czy Smog (dla południowej Polski).

Kobiety w ciąży, dzieci, osoby przewlekle chore najlepiej, by w smogowe dni w ogóle nie wychodziły z domu, a nawet zdrowi powinni unikać aktywności fizycznej na „świeżym” powietrzu, gdyż do płuc dostaje się wtedy więcej szkodliwych pyłów.

Jeśli poziom zanieczyszczeń jest wysoki, a trzeba wyjść na zewnątrz, to warto założyć maseczkę. – W Katowicach jest spora grupa osób, które chodzą w maseczkach. Od jakiegoś czasu nie spotykamy się ze zdziwieniem, tylko z pytaniem, gdzie można je kupić. To nie kwestia mody, tylko dbania o zdrowie. Tak jak zakładamy kurtkę, gdy jest zimno, tak powinniśmy zakładać maseczkę, gdy jest smog – dodaje Patryk Białas.

Nie warto jednak kupować zwykłych maseczek chirurgicznych (wyłapią tylko duże zanieczyszczenia), tylko antysmogowe, ze specjalnymi filtrami pochłaniającymi drobne pyły. W ostatnich dniach sklepy, w których można kupować tego typu maseczki, nie dawały sobie rady z przyjmowaniem zamówień. Kosztują powyżej kilkudziesięciu złotych. Niestety, nie ma obiektywnych badań, które potwierdzałyby skuteczność stosowanych filtrów: trzeba zaufać producentowi.

Pięcioletni synek Patryka Białasa, gdy dowiedział się, że w Katowicach jest smog, założył maseczkę swojej ulubionej przytulane, bo chciał z nią iść na spacer. Dzieci najszybciej uczą się prawidłowych zachowań. Być może to one przekonają rodziców i dziadków, że nie można palić śmieci.

Najgroźniejsze są drobne pyły zawieszone PM10 (mają do 10 mikrometrów średnicy, czyli są cztery razy cieńsze niż ludzki włos) i PM2,5 (20–30 razy cieńsze niż włos). – W wyniku procesów spalania gromadzą się na nich inne szkodliwe substancje, zwłaszcza wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne (WWA) i metale ciężkie, o działaniu rakotwórczym – tłumaczy dr inż. Artur Badyda z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Warszawskiej, który wraz z dr. Dąbrowieckim prowadzi badania nad skutkami zdrowotnymi zanieczyszczeń.

Polska przoduje w Europie pod względem zanieczyszczeń PM2,5 i WWA. Im drobniejsze pyły, tym groźniejsze, ponieważ nie tylko podrażniają nos, gardło, krtań, lecz także docierają do płuc, powodując stan zapalny. To niebezpieczne zwłaszcza dla osób z astmą lub przewlekłą obturacyjną chorobą płuc. – Zanieczyszczenie powietrza może nawet spowodować pojawienie się astmy u osób zdrowych – dodaje dr Badyda.

PM2,5 są w stanie przeniknąć z płuc do krwi. – Powodują rozwój miażdżycy. W naczyniu krwionośnym może pęknąć blaszka miażdżycowa, co powoduje zawał serca lub udar mózgu – mówi dr Dąbrowiecki.

Zanieczyszczenia powietrza są szczególnie niebezpieczne dla dzieci w okresie



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Nowe Lato

Jeśli ktoś organizuje dziś „sarmackiego” sylwestra, to nie ma on nic wspólnego z sarmatyzmem. Szlachta polska nie obchodziła ostatniego dnia grudnia jako święta. 31 grudnia nie oczekiwano z kieliszkiem szampa na w ręku nadejścia nowego roku choćby dlatego, że trunek ten stał się popularny we Francji dopiero pod koniec XVII w.

Nie znaczy to jednak, że panowie bracia nie cieszyli się z nadejścia nowego roku. Świętowano jednak dopiero 1 stycznia, czyli – jak mawiano wówczas – Nowe Lato. Dzień ten każdy szlachcic czcił nabożeństwem, a potem huczną popijawą i biesiadą albo kolacją, o czym wspominają pamiętniki.

Nadzwyczaj pobożny Albrycht Stanisław Radziwiłł pisze np., że król Jan Kazimierz razem z królową celebrowali nadejście nowego roku na nabożeństwie w kościele 1 stycznia 1650 r. Sam Albrycht często bywał na biesiadach z duchownymi, np. pewnego razu jadł obiad z Melchiorzem Szmelingiem, prowincjałem Towarzystwa Jezusowego.

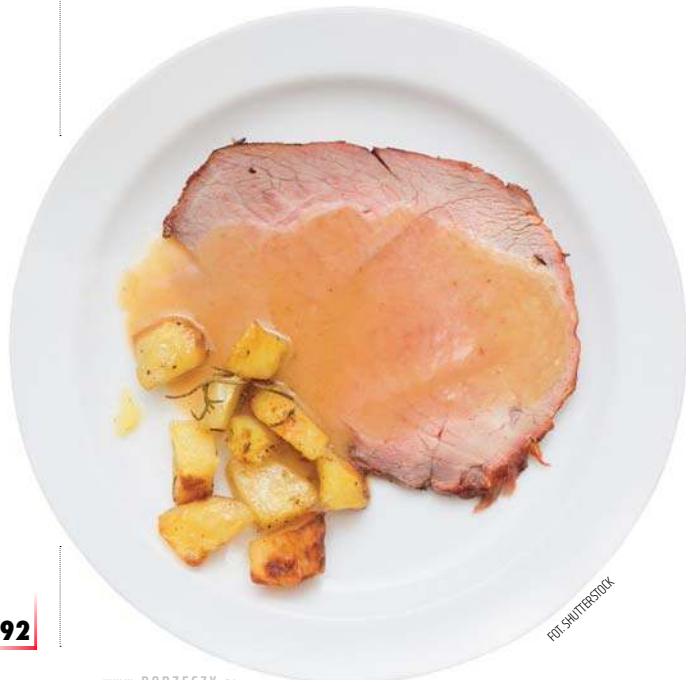
Zwykły szlachetka Jan Władysław Poczeb-ut-Odlanicki każdy 1 stycznia spędzał w kościele. „Miesiąca januarii die 1, w dzień Nowego Lata byłem w Kupiszkach na nabożeństwie i tak ten rok zacząłem, daj Jezu szczęśliwie”, „byłem w Dworcu z wizytą u obrazu Matki Miłosierdzia cudownego” – pisze. Bardzo hucznie obchodził święto Krzysztof Zawisza, wojewoda miński, w którego pamiętnikach pojawia się zresztą jedno z pierwszych określeń: Nowy Rok. „Na Nowe Lato było u mnie dość gości, jako to pan podkomorzy miński z panią jejmością, panna stolnikówna Wielkiego Księstwa Litewskiego i insi ichmoście” – wspomina. „Rok 1713 zaczęliśmy szczęśliwie w Mińsku, jm. pan marszałek trybunalski z ichmość drugimi byli u nas na kolacji, mieliśmy hulać z Nowym Rokiem, ale nam pomieszła fantazję śmierć jm. Chodkiewicza”.

Początek nowego roku związany był także z obyczajem składania sobie powinności. Jak podaje Zygmunt Gloger w „Encyklopedii staropolskiej”, nawet królowie

obdarowywali dworzan, kiedy ci życzyli im „Nowego Lata”. Życzenia składały dzieci rodzicom, ksiądz po kazaniu parafianom, zaraz potem sam przyjmował od nich powinności na plebanii. Dzieci i żacy często obchodzili okoliczne domy.

Zwyczaj świętowania sylwestra związany był z chłopską tradycją obchodzenia wigilii Nowego Roku – co wiązało się z obyczajami sięgającymi czasów pogaństwa. Wieczorem ostatniego dnia grudnia zbierano się rodzinami, z gośćmi i przyjaciółmi – jak podaje „Encyklopedia staropolska” – przy ogniu, często sobie wróźono.

Spożywano też wieczerzę, na którą podawano lemieszkę (czyli prażuchę) z mąki pszennej, żytniej lub gryczanej. Były to kluski okraszone słoniną, smażoną cebulą albo masłem. Na stole kładziono chleb – jako dobrą wróżbę. Po północy obsypywano się owsem. Czasem, nawet między szlachtą, wykradano sobie dla żartu cudze rzeczy, konie i wozy, a oddawano po zapłaceniu „wkupnego”, za które potem urządzano ucztę na Nowe Lato. ©©



FOT. SHUTTERSTOCK

Prażucha chłopska na Nowe Lato

Bierzemy kilogram pszennej mąki, podgrzewamy na patelni, aż się przyrumieni. Potem przesypujemy do garnka. Gotujemy litr osolonej wody, a kiedy zacznie wrzeć, wlewamy powoli do mąki, mieszając ją łyżką i rozcierając, aby nie utworzyły się grudy. Kiedy powstanie jednolita masa, wstawiamy ją do piekarnika, aby dojrzała. Następnie łyżką wykładamy zawartość, formując kluski. Polewamy roztopionym masłem albo słoniną z dodatkiem posiekanej drobno, podsmażonej cebuli.

Cielęca ćwierć w śmietanie na szlachecki Nowy Rok

Bierzemy cielęcą ćwierć albo udziec, marynujemy w zalewie z litra mleka, masła rozpuszczonego na patelni, na którym podsmażamy trochę mąki, 2 ząbków czosnku, 4 szalotki, pietruszki, cebuli, bobkowego liścia, 4 goździków, soli, pieprzu, tymianku i bazylii. Przed włożeniem mięsa marynatę podgrzewamy. Cielęcę trzymamy w zalewie 12 godzin. Następnie pieczemy wolno na rożnie, polewając masłem albo bulionem. W tym czasie przygotowujemy sos z bulionu zmieszanego z 2 łyżek octu, 2 przysmażonych na maśle cebul, soli, pieprzu. Wszystko podgrzewamy i gotujemy przez kwadrans. Następnie podlewamy sosem pieczoną cielęcinę.

Mezoterapia – iluzja czy nadzieja. Część II

Mezoterapia kojarzona jest z medycyną estetyczną, ale jej początki to terapia schorzeń niemających nic wspólnego z tą dziedziną.

Może w związku z tym warto się pochylić nad wskazaniami do jej stosowania i przedstawić jej realne efekty.

W medycynie estetycznej mezoterapia ma zastosowanie głównie w zapobieganiu bądź w ich terapii/korekcji defektom estetycznym skóry (głównie twarzy).

Chodzi tutaj przede wszystkim o utratę jej elastyczności, nawilżenia, o pojawiające się drobne zmarszczki. Najczęściej śródskórnie są wstrzykiwane preparaty nieusiecianego kwasu hialuronowego, które powodują czasową jej poprawę. Są też pewne preparaty tego kwasu (wymagają jednak większej ostrożności i wprawy), które dają bardziej spektakularne efekty. Wszelkie inne „produkty” (żeby nie użyć słowa „koktajle”) zawierające witaminy, aminokwasy, minerały etc. czasami może wpływać pozytywnie na skórę (pozytywny może być wpływ samego klucza, przy czym jest to nieprzewidywalne), ale

brakuje na to sprawdzalnych medycznie dowodów.

Techniką mezoterapii aplikuje się plazmę bogatopłytkową – PRP która jest uzyskana z krwi pacjenta, ma działanie biostymulacyjne (czyli pobudzające skórę do bardziej optymalnego funkcjonowania) i jako taka znajduje liczne zastosowania w różnych dziedzinach medycyny (przyspiesza procesy gojenia). PRP oraz niektóre inne preparaty podaje się do owłosionej skóry głowy w celu wzmocnienia włosów – zmniejszenia ich wypadania. Inne popularne, szczególnie za granicą, wskazania dotyczą podawania leków przeciwzapalnych i przeciwbólowych (czasami i innych) do skóry pokrywającej np. małe stawy czy ścięgna lub więzadła, gdy są uszkodzone bądź dotknięte procesem chorobowym.

W pewnych wskazaniach za pomocą mezoterapii aplikuje się także leki rozkurczające mięśnie (przykurcz).

Problemy zdrowotne wynikające z zaburzeń krążenia obwodowego mogą być wskazaniem do podania lokalnego leków wpływających na najdrobniejsze

naczynia, o działaniu np. rozkurczowym. Poprawienie przepływu włosniczkowego to jeden z elementów terapii tzw. cellulitu. Przed laty jednym z głównych wskazań do mezoterapii był lokalny nadmiar tkanki tłuszczowej, obecnie stosuje się inne substancje, które podaje się wprost do niej.

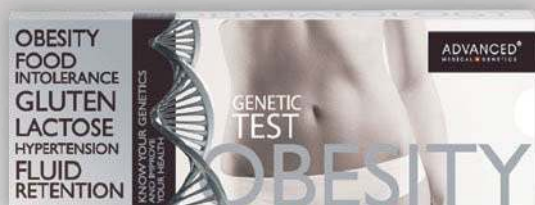
Reasumując: mezoterapia jako technika (bo tylko tyle to oznacza) może być bezpieczna, skuteczna i efektywna, jeżeli są odpowiednie wskazania, diagnoza lekarska, wybrany właściwy lek i jest właściwie przeprowadzona oraz uważnie kontrolowana.

Może być absolutnie nieefektywna, niebezpieczna lub powodować czasami trwałe objawy uboczne (od alergii do zianiniaków), gdy wykonuje się ją „ot tak”, gdy robi to osoba bez odpowiedniego przygotowania medycznego i traktuje się ją jako panaceum na wszystko.



dr Andrzej Ignaciuk

– prezes Polskiego Towarzystwa
Medycyny Estetycznej
i Anti-Aging PTL
www.drignaciuk.pl



NOWY WYMIAR TESTÓW
GENETYCZNYCH
DNA
TERAZ DOSTĘPNE
DLA WSZYSTKICH

ZAPIEKANE BAKŁAŻANY ELŻBIETY JAKUBIAK

Jednym z dań, które chętnie przygotowuję, są bakłażany zapiekane z serem i sosem pomidorowym. Przepis dostałam od znajomych, którzy mieszkali w Holandii i Stanach Zjednoczonych, a po przeprowadzce do Polski odkryli, że u nas mogą przygotować jeszcze lepszą bakłażanową zapiekankę, bo mamy pyszne i tanie warzywa. Zapiekane bakłażany można podać nie tylko na rodzinny obiad, lecz także jako eleganckie danie dla zaproszonych gości.

Składniki:

- dwa duże bakłażany pokrojone wzdłuż na pasy ok. półcentymetrowej grubości
- sos pomidorowy (ze słoika, kartonu lub robiony samodzielnie ze świeżych pomidorów)
- sery – najlepiej dwa, trzy rodzaje: mozzarella w zalewie, twarde sery żółte, ser kozi, może być nawet ricotta
- oliwa z oliwek
- czosnek
- cebula
- przyprawy – bazylia, papryka, sól, pieprz

Przygotowanie

Solimy paski bakłażana, przyciskamy deską, na której stawiamy ciężki słoik. Czekamy, aż bakłażan puści ciemny sok. Następnie osuszamy bakłażana papierem i opiekamy na patelni bez tłuszczu, pilnując, by nie zrobił się zbyt suchy. Jednocześnie przygotowujemy sos pomidorowy. Podsmażamy cebulę i czosnek na dużej ilości oliwy z oliwek (pół szklanki), dodajemy przyprawy i wlewamy sos pomidorowy (dwa, trzy słoiczki lub kartoniki). Gotujemy sos na małym ogniu, aż nieco

zgręsnieje. Spód naczynia żaroodpornego smarujemy sosem, na niego układamy warstwę bakłażanów, potem znów sos pomidorowy i sery (plasterki mozzarelli i inne starte sery). Robimy w ten sposób trzy warstwy. Wierzch posypujemy startym twardym żółtym serem (np. gouda), bo ten ładnie się przypieka. Tak przygotowaną zapiekankę wstawiamy na 30–40 min do piekarnika nagrzanego do 180 st. C. Dzieci chętnie zjedzą ją z serową grzanką, ale świetnie pasuje także do mięsa wołowego lub polędwiczki wieprzowej. Podać można także lampkę ciężkiego czerwonego wina. ©©

(not. anie)

Elżbieta Jakubiak była sekretarzem stanu w kancelarii Lecha Kaczyńskiego, posłem PiS i PiJN, ministrem sportu.



FOT. BARTĘK SYTA / GAST NEWS



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Bar mleczny zremasterowany

Nie zajmuję się w tej rubryce recenzjami lokali gastronomicznych, raz jednak zrobić wyjątek. Ponieważ miejsce jest wyjątkowe, choć nie w ostatnio używanym sensie tego słowa – wspaniałe, rewelacyjne. To miejsce jest o tyle wyjątkowe, że nie znam drugiego takiego. To nie jedna z drogiej eleganckich knajp dla koneserów z wyrafinowanym menu i drogimi winami.

To zwykły bar mleczny w Warszawie przy ul. Puławskiej. Pojawił się w ruchliwym miejscu Mokotowa, przez które przedtem przefrunęły bez sukcesu kilka banków, podejrzany interes pożyczkowy oraz sklep z brzydkimi i drogimi ciuchami. Wszystkie te przedsięwzięcia łączyło jedno – brak klientów.

A teraz wał tu tłumy. Od godz. 12 stoi kolejka studentów, ludzi starszych, uczniów, młodych matek z dziećmi oraz przechodniów, którzy poczuli wilczy głód akurat wtedy, kiedy tędy przechodzili.

Nie, nie jest to powtórka gastronomii z PRL. Nie ma obtłuczonych kubków, tych już kabaretowych sztućców na łańcuchu. Nie ma znaku rozpoznawczego tego typu lokalu – okienka łączącego salę z kuchnią. Nie ma ciężkiego oparu gotowanych kartofli i kapusty. Jest nowoczesne, przestronne i dobrze wentylowane białe-czarne wnętrza, są przyzwoite sztuce i talerze (ładnego plastiku), można płacić kartą. Płacisz przy kasie, zaraz odbierasz swoje danie. Zjesz je na ceramicznym talerzu tutaj albo dostaniesz w plastikowym

zafoliowanym pojemniku, jeśli na wynos. Za 15 zł zjesz obiad, niekoniecznie mleczny.

W karcie cały repertuar dań, które znamy i lubimy. Zupy: pomidorowa, krupnik, szczawiowa, rosół (od 2,50 do 3,50 zł). Leniwe – 5,90 zł, pierogi ruskie, naleśniki z serem. Dla klientów o bardziej



FOT. DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

mięsnych gustach: gulasz wieprzowy – 6,50 zł, klopsy – 7,50 zł, karkówka – 6,50 zł. Na deser kompot.

Czy trzeba czegoś więcej? Nawet wybredni Gastronauki.pl dają Mokotowskiemu cztery gwiazdki.

„Bar mleczny wonieje nabiąłem traktowanym bez miłości, lepiej się nad nim nie zastanawiać, jeśli dysponuje się sumą równowąszą najtańszemu z dań. Mikołaj stawia talerz na półce z ozdobnego marblitu, upstrzonego resztkami makaronu (bary mleczne mają ambicje estetyczne, które obumierają wraz z pierwszym wydanym w nowym lokalu posiłkiem), po czym przykłada się do jedzenia kaszy gryczanej ze zsiadłym mlekiem”.

Jak to dobrze, że ten cytat z powieści Tyrmanda „Życie towarzyskie i uczuciowe” jest już nieaktualny. Przynajmniej w wydaniu Mokotowskiego.

Rodzi się tylko pytanie: Dlaczego takich miejsc nie ma więcej? ©©

NOWY ASX

WYBIERZ SWOJĄ RZECZYWISTOŚĆ



Drive@earth

Już od **675 zł miesięcznie***



UMÓW SIĘ NA JAZDĘ PRÓBNĄ

100th Anniversary

* Cena 675 zł netto. Kalkulację sporządzono na samochód Mitsubishi ASX 1.6 Inform w cenie 69 990 zł brutto w oparciu o stałą stopę procentową z dnia 14.12.2016 r. Opłata wstępna 0 zł, okres kontraktu 60 miesięcy, przebieg całkowity 100 000 km. Niniejsza propozycja nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 par. 1 Kodeksu cywilnego i jest adresowana wyłącznie do przedsiębiorców. Przyznanie finansowania jest uzależnione od wyniku badania zdolności kredytowej ubiegającego się o finansowanie. Szczegóły u sprzedawcy. Dostawcą oferty jest Arval Service Lease Polska Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Wołoskiej 24, 02-675 Warszawa.

Informacje na temat złomowania samochodów Mitsubishi oraz przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na www.mitsubishi.pl.

Emisja CO₂: 135 g/km; zużycie paliwa 5,8 l/100 km.

NASZ TEST: AUDI Q2

Audi Q2 to najmniejszy i najmłodszy członek rodziny SUV-ów z czterema pierścieniami (ma zaledwie 4,19 m długości i 1,79 m szerokości). Kompaktowe auto oferuje to, czego szukają nabywcy crossoverów: nieco podniesiony fotel kierowcy, ułatwiające parkowanie niewielkie rozmiary, a przy okazji ciekawą sylwetkę, która jest oryginalną mieszanką coupé z wyglądem typowej „miejskiej terenówki”.

Zaledwie 14,5 cm prześwitu sprawia, że Q2 nie nadaje się do szaleństw w terenie. Pozwoli za to podjechać pod wyższy krawężnik oraz dojechać nieutwardzoną drogą do domu pod miastem.

W KABINIE

Wnętrze nie jest tak luksusowe jak w przypadku starszych i większych braci (twarde plastyki na bokach auta mocno rozczarowują), ale i tak czuć, że siedzimy w aucie klasy premium (na romantycznej randce możemy zaszpanować np. specjalnym oświetleniem Ambient Light). Deska rozdzielcza jest ładna, a wszystkie funkcje intuicyjne w obsłudze. Auto może zostać wyposażone w wirtualny kokpit z kolorowym ekranem o przekątnej 12,3 cala, który poza informacjami o prędkości może wyświetlać np. wskazówki nawigacji, mapę Google, listę stacji radiowych. Smartfon można naładować bezprzewodowo lub za pomocą USB.

Jak na tak niewielkie auto miejsca w kabinie jest całkiem sporo. Cztery dorosłe osoby z dzieckiem pośrodku tylnej kanapy powinny zmieścić się bez problemu. Siedzący na środku z tyłu wysoki pasażer będzie już miał jednak spory problem z wygodnym ułożeniem nóg.

Jak to w przypadku crossoverów bywa, bagażnik jest niewielki. 405 l pojemności to jednak

minimalnie lepszy wynik od Nissana Qashqai (401 l) i Opla Mokki X (356 l), choć gorszy, niż oferuje Mitsubishi ASX (419 l). Taki kufer będzie wystarczający głównie dla singli i par, choć w razie potrzeby jakieś wozidło dla uśmiechniętego maluszka też da się upchnąć.

JAZDA

W przeciwieństwie do wielu innych modeli małych SUV-ów jazda małym, zwinnym Audi może dawać sporo frajdy. Q2 z silnikiem o pojemności 1,4 l o mocy 150 sprawnych koni mechanicznych potrafi rozpędzić się do setki w 8,5 s. Układ kierowniczy jest precyzyjny, a auto pewnie się prowadzi i pozwala poczuć trochę sportowych emocji. Zawieszenie dobrze radzi sobie z wybojami, a wyciszone wnętrze pozwala na komfortową podróż. Na pochwałę zasługują też bardzo dobre hamulce. Podczas zimowego testu auto spalało na trasie 5,5 l/100 km, a w mieście – 7,3 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Audi Q2 zdobyło komplet pięciu gwiazdek. Wyższa pozycja za kierownicą w naturalny sposób zapewnia lepszą widoczność. Na pokładzie Q2 można zainstalować również wiele wspierających kierowcę technologii, takich jak system ostrzegania przed przypadkową zmianą pasa ruchu, asystent informujący, że mamy kogoś w martwym polu lusterek, a także system wyświetlający na ekranie komputera pokładowego znaki ograniczenia prędkości.

CENA

Najtańsze Audi Q2 z silnikiem o pojemności 1,0 l (116 KM), napędem na jedną oś i sześciobiegową manualną skrzynią biegów kosztuje 96,9 tys. zł. Za mocniejszą wersję z silnikiem 1,4 (150 KM) i automatyczną skrzynią biegów trzeba zapłacić 113,2 tys. zł. Osoby, które wolą, gdy crossover ma jednak napęd na wszystkie łapy, muszą wyłożyć co najmniej 134,7 tys. zł (wersja z silnikiem Diesla o pojemności 2,0 i mocy 150 KM). Za najdroższą wersję Q2 zapłacić trzeba już zaś 150,2 tys. zł (wersja sport 2.0 TDI z silnikiem o mocy 190 KM). Oczywiście do tego można dobrać np. pakiet sportowy S line (za 9 tys. zł) lub wyposażoną trójramienną kierownicę za 1,1 tys. zł. Audi w modelu Q2 w standardzie nie daje nawet tempomatu (trzeba za niego dopłacić 1,4 tys. zł).



Na rynku jest oczywiście wielu tańszych konkurentów. Jeśli ktoś jednak szuka crossovera lub SUV-a, który będzie dawał właścicielowi nieco prestiżu, to mimo wszystko jest to jedna z tańszych opcji.

KONKURENCI

Fiat 500X, Ford Kuga, Mazda CX-3, Mercedes GLA, MINI Countryman, Mitsubishi ASX, Nissan Juke Nismo RS, Nissan Qashqai, Opel Mokka, Peugeot 2008, Renault Captur, Seat Ateca. ©

JACEK PRZYBYLSKI





MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Opozycja bez głowy

MARCIN MAKOWSKI: Najpierw podróż Petru z partyjną koleżanką do Portugalii, teraz skandal z fakturami Kijowskiego. Czarna seria opozycji?

MATTHEW TYRMAND: Czarna seria potknąć o własne nogi albo po prostu „piękna katastrofa”. Od początku powstania KOD mówiłem, że ten twór to grupa politycznych hochsztaplerów, którzy angażując elektorat antypisowski, załatwiają partykularne interesy. Z jednej strony walczą, „żeby było, jak było”, a z drugiej kręcą walki na boku. I to jakie żenujące! Nowy iPhone, laptop, wylot z żoną do Nowego Jorku...

Jeden z paryskich liderów komitetu twierdzi, że opublikuje również faktury za zakup perfum dla małżonki Kijowskiego z pieniędzy KOD, gdy byli na służbowym wyjeździe w Paryżu.

Widzisz, jaka wielka miłość? Same faktury wystawiane na rzekome usługi informatyczne i naprawianie strony po atakach hakerskich też są strasznie mętne. Zawyżone ceny za coś, co wykonywane było w rzeczywistości przez wolontariuszy. Jak taki drobny cwaniaczek może być liderem czegośkolwiek? Dochodzą do mnie głosy, że „kodziarze” nie mogą się

również doliczyć kasy wpłacanej przez Polonię.

Tę samą, która opłuka samochód prezydenta, gdy przyleciał do siedziby ONZ w Nowym Jorku?

Nic mi nawet o tych ludziach nie mów. Po prostu wstyd. Niech się teraz sami między sobą rozliczają z demokracji, to będzie bardzo zabawne. Nie KOD jest jednak ciekawy, ale to, co z niego zostało. Nadal mówimy przecież o wielkiej strukturalnej, która chaotycznie szuka swojej głowy, dlatego jest idealnym celem dla polityków, którzy będą ją chcieli zagospodarować. Schetyna już się do tego przymierza, kpiąc z pojednawczego tonu i prób kompromisu Ryszarda Petru.

Tak odbierasz odmowę udziału PO w rozmowach rządu z opozycją?

Były kilka ciepłych momentów, selfie i wspólna wigilia z pasztetem w Sejmie, ale „zjednoczona opozycja” od początku była mrzonką. Petru po swojej eskapadzie nie może pozować na twardziela, który do końca będzie okupować salę sejmową, natomiast Schetyna, korzystając z jego potknięcia, zrobi wszystko, żeby się wyróżnić. Czyli

przejąć najbardziej antypisowski elektorat KOD, który w miękkim liderze Nowoczesnej dostrzeże zdracę.

Władysław Frasyniuk już zresztą mówi o tym, że Petru za często po rozmowach z Kaczyńskim widzi „światło w tunelu”, które jest w rzeczywistości „pociągami pancernymi” pędzącymi, aby go strącić.

Metafora godna poety. Te nastroje dobrze jednak oddają zamieszanie w szeregach opozycji, która jest obecnie szachowana przez Prawo i Sprawiedliwość po kolei ustępujące z twardego kursu. Nie ma już przecież mowy o zaostrzeniu reguł pracy dziennikarzy, wspomina się o możliwości przyjęcia poprawek budżetowych, wznowieniu obrad Sejmu. Początkowe błędy dało się naprawić jeszcze większymi błędami przeciwników politycznych i manifestacją „kompromisowości”. Może to gra na pokaz, ale sondaże pokazują, że skuteczna.

Muszę cię jeszcze o coś zapytać. MSZ opublikowało niedawno listę osób, które powinny być zapraszane w roli prelegentów do polskich instytucji kulturalnych za granicą. Jest tam również twoje nazwisko, co nie omieszkali skrytykować „Wyborcza” i „Newsweek”.

Moje i chyba jeszcze 150 innych osób. Jeśli pytasz o krytykę, to śmiać mi się chce, gdy ją czytam. A czego oni się spodziewali? Że zaproszą Lisa i Michnika, którzy Kaczyńskiego uważają za dyktatora?

Nie zaskakuje cię jednak, że po ostatnich przejściach z resortem jednak wracasz do łask?

Nie traktuję tego w ten sposób. Ktoś uznał, że mogę być ciekawym rozmówcą, nikomu niczego nie zawdzięczam ani nie obiecuję. Będę nadal mówił, co myślę, i jeżeli MSZ uznaje, że jest nam z tym po drodze, to bardzo się cieszę. Oby jak najdłużej. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

97

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Czekając na męża stanu

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA:

W samym spieraniu się ze sobą w państwie demokratycznym nie ma nic nienaturalnego. To norma, że dyskutuje się o kierunkach rozwoju, o ideologiach, o tym, co jest potrzebne państwu i społeczeństwu. Jednak są wartości fundamentalne, a tym fundamentem jest Polska – niepodległa, suwerenna, jedna!



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

Dla nas wszystkich i dla naszych rodaków, którzy mieszkają poza granicami. Zdecydowałem się złożyć projekt ustawy o narodowych obchodach setnej rocznicy niepodległości i państwa polskiego. Chciałbym, by ta reprezentacja była jak najszerza, by wszyscy byli w nim repre-

zentowani, byśmy mogli razem ustalać przebieg tak wielkich obchodów. Byśmy i przez to pokazali się jako jedno społeczeństwo, jeden naród i silne państwo na arenie międzynarodowej. Także przed naszymi gośćmi, którzy, wierzę w to, będą do nas przybywali w związku z tą rocznicą. Proszę o to, byśmy się wszyscy razem zaangażowali.

Jeszcze dwa miesiące temu, kiedy prezydent ogłosił swoją inicjatywę wspólnych obchodów Święta Niepodległości, najtrudniejsze w jej realizacji wydawało mi się rozwiązanie oczywistego konfliktu z Marszem Niepodległości, którego prezydent chyba nie przewidział, rzucając pomysł swojego marszu. Nie wiem, jak to sobie wyobrażał – może liczył, że organizatorzy Marszu Niepodległości zrezygnują ze swojego, by iść w prezydenckim, może – że pozwolą prezydentowi „przejąć” swój marsz i zrobić z niego coś, w czym zechciałyby wziąć udział środowiska od lewa do prawa. Oba scenariusze są mocno kosmiczne, być może dlatego z prezydencką inicjatywą nic się nie dzieje, a czas leci.

To, co dwa miesiące temu wydawało się mało realne, dzisiaj wydaje się całkiem

niemożliwe, i nie ze względu na możliwy spór z organizatorami Marszu Niepodległości. Obserwuję z rosnącym podziwem spokój, z jakim prezydent pozwala oddać się własnej wizji wspólnych obchodów 100-lecia niepodległości. Zostały niecałe dwa lata, a my jesteśmy już na tym etapie wojny na górze, że nie udało się nawet zebrać wszystkich posłów na tradycyjny sejmowy opłatek, bo „sorry, taki mamy klimat”. Nie wiem, jak pan prezydent sobie wyobraża realizację swojego – zacnego skądinąd – pomysłu wspólnych obchodów, ale trudno sobie dziś wyobrazić, co musiałoby się wydarzyć, żeby politycy dali się prezydentowi namówić na wspólny marsz. Na obecnym kryzysie parlamentarnym stracili wszyscy, ale chyba najbardziej prezydent, prawie w nim nieobecny. Za tę nieobecność. I naprawdę ciekawa jestem, jakimi argumentami za kilkanaście miesięcy prezydent przekona polityków – i rządzących, i opozycję – że naprawdę chce budować wspólnotę. Nie ma lepszego momentu niż teraz, to jest czas mężów stanu. Gdyby się zechcieli obudzić. © ©

PODSŁUCHANE

Herbata z sokiem

No, co tam, Mariusz? Co taki markotny jesteś?

Ech, Jarku... Oglądałeś „Ucho Prezesa”?

He, he, oglądałem. No i co?

No jak to co? Nie widziałeś, jak mnie tam Górski pokazał?

Niby jak? Chyba dobrze, ten aktor całkiem do ciebie podobny.

Ale przecież ja tam wychodzę na jakiegoś tępego lizusa! Jakbym nie był ministrem w ważnym resorcie, tylko jakimś kamerdynerem!

Tu się muszę z tobą zgodzić. Tak jest faktycznie.

Jak to: faktycznie?!

Faktycznie, na takiego tam wychodzisz.

Przecież to kłamstwo!

He, he, he...

Z czego się śmiesz?!

Mariusz, daj spokój, to satyra jest.

Tak, satyra. A jak dzisiaj wchodziłem do ministerstwa, to wszyscy na mnie jakoś tak dziwnie patrzyli. Spotkanie miałem z komendantem Szymczykiem. Jak mnie zobaczył, to się jakoś tak uśmiechnął...

Może się po prostu ucieszył, że cię widzi?

A z czego tu się cieszyć?

No, fakt... No dobrze, poproś tam panią Basię, niech sprawdzi, czy już jest trzeci odcinek, bo chciałbym zobaczyć. I przynieś mi herbaty z sokiem. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„A więc Kaczyński poszedł na wojnę z państwem prawa. Teraz pozostaje już tylko strajk. Strajk posłów, strajk Polaków. Strajk generalny!”

JAN HARTMAN,
filozof, publicysta, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Skok z Trumpoliny

Inauguracja prezydentury Trumpa nastąpi w tym tygodniu przy panikarskiej drżące politycznych „liberałów”, dla których wyborcza klęska establishmentowej cwaniary Clinton była „dopustem Bożym”. Strach potęguje enigma — nikt nie wie co „on” robi, jakie „numery” wewnątrz krajowe i globalne wytnie światu. Lechitów interesuje przede wszystkim czy ten 45. lokator Białego Domu będzie półbogiem dobrym dla Polski. Różnie z tym bywało. W XX stuleciu najwięcej zrobili dla nas Wilson (legendarny „punkt 13” jego orędzia A.D. 1918 żądał Polski suwerennej i z dostępem do morza) oraz Reagan (silnie wspierał „Solidarność”), a najgorzej wspominaliśmy Roosevelta, który sprzedał nas (swych aliantów) Stalinowi. Ja wszelako mam pamięć dalej sięgającą, bo — co zawsze mówię pytającym mnie czemu nie posiadam komputera, komórki, kart kredytowych itp. — wciąż „mieszkałem w XIX wieku”. Bardzo źle wspominałem Lincolna (Amerykanie ciągle go uwielbiają, zresztą Roosevelta też), który pluł na Powstanie Styczniowe i podlizywał się Rosji wszelkimi sposobami (m.in. kazał wyłapywać polskich marynarzy, co uciekali z rosyjskich statków, zaś dziennikarzom kazał antysecesyjnie głosić, że Polska to rdzenna część imperium rosyjskiego). Wdzięczny carat słał mu tony broni i amunicji, dzięki której Unia pokonała Konfederatów.

Dzisiejsze stosunki Rosji z Ameryką są na tyle konfrontacyjne, że możemy się cieszyć. I chyba nie musimy się tworzyć gędzba zrodzoną podczas amerykańskiej kampanii wyborczej, że Trump to admirał Putina, więc poświęci nas dla „dealu” z Kremlem. Gdyby istotnie chciał to uczynić — nie dałby stanowiska sekretarza obrony gen. Mattisowi, rekordowo antyrosyjskiemu „jastrzębiowi” w USA (Mattis swymi deklaracjami nie zostawia suchej nitki na Putinie i ruskim imperializmie). Ale nie wszystko wydaje się tak jasne w planach nowego prezydenta:

Czy Trump spełni swe obietnice wyborcze i uzdrowi USA? Pomijając nawet fakt, że „kielbasa wyborcza” jest zawsze produktem o ograniczonej świeżości, rodzi więc ograniczoną odpowiedzialność — nie będzie mu łatwo jeśli spróbuje, ponieważ Stany Zjednoczone gniją dzisiaj i od wewnątrz, i na zewnątrz. Na zewnątrz to są lata koszmarnych błędów politycznych i militarnych wobec Maghrebu (Afryka północna) i Bliskiego Wschodu. Cała straszliwa katastrofa „wiosny arabskiej” została przecież zmajstrowana przez wspierających pazerny business zbrojeniowy i naftowy idiotów z Wa-

szingtonu (Clinton, Bush Junior, Obama), przy wsparciu ich europejskich kundli (Sarkozy, Merkel, etc.). Weźmy Libię jako przykład — symbol tego procederu. Al-Qaida walczyła tam z dyktatorem Kaddafim, lecz dopiero kiedy „bunt ludowy” (terminologia salonowa) otrzymał pomoc amerykańską plus francuską, państwo zostało rozwalone i stało się areną wzajemnych zmagani różnych muzułmańskich watażków. Ludność płacze teraz do kamer i mikrofonów zachodnich dziennikarzy, wspominając rzewnie dawny reżim, bo „pod Kaddafim żyło się o niebo lepiej, to był raj w porównaniu z chaosem i biedą panującymi dzisiaj”. Główny zysk odniosło Państwo Islamskie, gdyż duże ilości broni ze splądrowanych magazynów armii libijskiej trafiły tzw. „szczurzą ścieżką” (via Turcja) na Bliski Wschód, zaś całą operację przerzutu finansowała Arabia Saudyjska, tradycyjny sojusznik Jankesów, którzy rytualnie przymykają oko kiedy Saudowie wspierają międzynarodowy terroryzm. To się nazywa „hipokryzja” (według etyków) lub „pragmatyzm” (według cyników). Czy



Matthew Tyrmand:

„Gwarantuję, że Trump będzie sojusznikiem Polski”



Trump (według którego Arabia Saudyjska oraz Japonia są członkami NATO, Bruksela to państwo, itp.) uprzyżwici to komitywę między Waszyngtonem a Rijadem?

Szczególnie gorącym kartoflem będzie dla nowej administracji Syria. Tak jak społeczeństwo libijskie oplakuje dziś Kaddafiego — tak społeczeństwo syryjskie modli się za Baszara al-Asada, którego chcą obalić dżihadysty. Nader żarliwie modlą się syryjscy chrześcijanie, których Asad otaczał opieką, a rebelianci ich mordują. Ci kontrasadowscy rebelianci są od paru lat hołdowani przez międzynarodowy Salon, który całkowicie zmistyfikował wszystkie aspekty tej wojny, od terminologii (dżihadystowskie bandyci są zwani „bojownikami o wolność”, również — horrendum! — przez piśmowską TVP) po fakty (gdy rebelianci wytruli masę cywilów bronią chemiczną i winę zrzucili na „reżim”, Salon to kupił i rozpropagował). Ameryka wspiera rebeliantów, udając, że nie wie, iż około 90% sił kontrasadowskich (ugrupowania Jaish al-Fatah, Jund al-Aqsa, i in.) to Al-Qaida oraz jej twory. Czy Trump będzie kontynuował zbrojne wspieranie syryjskiego Dżihadu?

Wewnątrz USA ma on także cuchnący kłopot — szambo lewactwa salonowego. Czyli politpoprawny, agresywnie świecki terror, który deprawuje kolejne generacje i środowiska. Powszechnie się uważa, że ta dumna wystartowała w latach 60-ych od mło-

dzieżowych buntów (hippisi etc., analogicznie do europejskiej rebelii ’68), lecz ja szukałbym źródeł zepsucia wcześniej (o jakieś 20–25 lat), w gabinetach kadry akademickiej uczelni amerykańskich. To prawda, że długowłosi i jajogłowi wspólnym wysiłkiem nakreśliли ekspansję więcej niż liberalnej, bo wręcz nihilistycznej kultury depczącej tradycyjne wartości, lecz siła sprawcza jajogłowych była większa. Oni dali podbudowę teoretyczną gangreny, a hippisi plus ich następcy (wszelkie luzactwo, od feministek do pedałów) wdrożyli to praktycznie. Skoordynowane teoria i praktyka zaprowadziły kulturę (kontrkulturę) i obyczaje (nieobyčajność) do śmietnika cywilizacyjnego. Mentalność setek milionów Amerykanów przeorano kasowaniem norm moralnych niegdyś traktowanych jako święte i niepodważalne, a dyscyplinę społeczną, obowiązki, cnoty, etos pracy itp. zastąpiono relatywizmem, kultem bezwstydu, nadrzędnością przyjemności, selekcjonowaniem wartości zależnie od doraźnych potrzeb — łącznie tą gamą niefrasobliwości i leseferyzmu, który my nad Wisłą zwiemy „róbta co chceta”. Wszelkie dziedziny funkcjonowania społeczeństwa zostały tym spustoszeniem dotknięte, również gospodarka, w której coraz mniejszą rolę jako czynnik wzrostu odgrywa produktywność, a coraz większą zwyżka cen akcji, czyli spekulacja giełdowa.

Trumpowi będzie bardzo ciężko (jeśli w ogóle zechce się tego podjąć) zderatyzować i odtokszyć wspomniane bagno, albowiem główni dzisiejsi kaznodzieje Stanów (czytaj: manipulatorzy, deprawatorzy) to media i uniwersytety, jedne i drugie prawie kompletnie lewackie, salonowe. Rodem z Frankfurtu. Tzw. Szkoła Frankfurcka (Institut für Sozialforschung), której gwiazdami stali się Horkheimer, Adorno i Marcuse, od roku 1923 szerzyła kulturowy marksizm, niejako rywalizując tu z włoskim komunistą Gramscim. Ponieważ większość tej frankfurckiej czerwonej kadry to byli Żydzi, dojdzie do władzy hitlerowców bardzo się im nie spodobało. W drugiej połowie lat 30-ych XX wieku zaczęli gremialnie emigrować, głównie do USA (kolejna fala tej emigracji „frankfurtczyków” nastąpiła po II Wojnie Światowej), i tam obsiedli placówki akademickie tudzież media, z pokolenia na pokolenie coraz bardziej zatruwając sferę kultury oraz informacji propagandą beczelnie lewacką, kontrkulturową, nihilistyczną, serwowaną oczywiście jako humanizm, liberalizm i pacyzm. Trump nie zwalczył tego, bo „nec Hercules contra plures”, ale może przynajmniej potrząsnie tą gnojówką. Czy będzie chciał to zrobić? Nie wiemy. Nie wiemy nawet czy cała ta prezydentura będzie skokiem z trumpoliny na głęboką wodę, czy do suchego basenu. ©©

Waldemar Łysiak

Gramy razem!

start #FRANCJA2017 cel #TOKIO2020

